

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 12 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 11 (350) • ROK XXX • LISTOPAD 2024



LIŚĆ NA SZCZYTACH
DRZEW SIĘ TRZYMA





Wzgórze Kamionek, w położonej pod Częstochową miejscowości Wrzosowa. To częsty cel wycieczek miłośników geologii i kolekcjonerów skamieniałości. W tamtejszym kamieniołomie, zamkniętym już przed wojną, licznie występują skamieniałe prehistoryczne organizmy morskie, jak gąbki, ramienionogi, szkarłupnie czy mięczaki. Odsłonięte formacje jurajskie były też wielokrotnie przedmiotem profesjonalnych badań geologicznych. Okolica ta urzeka też pięknem przyrody o każdej porze roku.

Szczegóły str. 28



27 września 2024 w Teatrze Śląskim w Katowicach miała miejsce premiera spektaklu *Wojna i pokój wg Lwa Tołstoja* w reżyserii Janusza Opryńskiego. Spektakl ma mieć w zamysle twórców charakter współczesny i ponadczasowy. *Wojna*, którą opisał w swym dziele powieściowym Tołstoj bez wątpienia może mieć wiele analogii do czasów nam współczesnych i do tego, czego sami obecnie doświadczamy. W przypadku tej adaptacji teatralnej tekstu Tołstoja można odnieść wrażenie, że otrzymaliśmy wręcz pytanie o ciąg dalszy świata po katastrofie.

Szczegóły str. 31



Ogrody od zawsze były wdzięcznym motywem sztuki malarzkiej. W średniowiecznych przedstawieniach jawiły się jako utracony raj, namiastka wiecznego szczęścia. Malarstwo niderlandzkie, choć kojarzone ze scenami rodzajowymi, pozostawiło po sobie zjawiskowe obrazy martwej natury, prześiknięte bogatą symboliką i głęboką paletą kolorów. Największą fascynację ornamentyką roślinną przyniosła jednak secesja, pozostawiając po sobie pełne kwiatów obrazy, kolorowe witraże, fantazyjne meble czy zadziwiające lekkością elementy architektoniczne.

Szczegóły str. 54



Wraz z wybuchem I wojny światowej narodziło się zjawisko wojskowej fotografii pocztówkowej. Zaistniało głównie dzięki popularności tanich aparatów fotograficznych, zabieranych przez żołnierzy wyruszających na front. Pamiątkowe, grupowe zdjęcia, robione w koszarach, podczas transportu kolejją lub w trakcie pobytu np. w szpitalu można było wywołać i w formie pocztówki przesłać bliskim. Obok jedna z takich fotografii-pocztówek. Obecnie przedmioty te to cenne pamiątki historyczne i ciekawe militarne relikty.

Szczegóły str. 78

Nr 11 (350). Rok XXX. LISTOPAD 2024

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA



MARIAN KISIEL
Redaktor naczelny

TOMASZ BIENIEK
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Sztuka

JAROSŁAW STYPA
Kultura

KRYSTIAN WĘGRZYNEK
Region

TOMASZ KOWALSKI
Redaktor techniczny

KATARZYNA DZIUBAŁA
Korekta

BOGUMIŁA CYRÓN
Kierownik biura

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS
ANDRZEJ JARCZEWSKI
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
GRZEGORZ SZTOLER
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:
TOMASZ BOCHEŃSKI
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIK

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.com

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane teksty

Warunki prenumeraty:
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929

Prenumerata roczna – 144 zł, półroczna – 72 zł, kwartalna
– 36 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 12 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.com

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM
4 Krystian Węgrzynek FILM POWINIEN BYĆ DOTKLIWY. ROZMOWA Z MICHAŁEM ROSĄ
10 Marian Marek Drozdowski EUGENIUSZ KWIATKOWSKI O ŚLĄSKU I JEGO MIEJSCU
W HISTORII NAJNOWSZEJ POLSKI
16 Mirosława Palaszewska ZOFIA KOSSAK – PUBLICYSTKA I REPORTAŻYSTKA
19 Jan Malicki POCHWAŁA ZYGMUNTA BRACHMAŃSKIEGO HONOROWEGO OBYWATEŁA
KATOWIC
22 ARCHIWA PISARZY. WILHELM SZEWCZYK DZIENNIK 1937 (9) Z rękopisu opracował
Marian Kisiel
24 CZYTELNIJA JEDNEGO WIERSZA Mirosława Szott URSZULA KOZIOŁ. ROZMOWA
Z JÓZEFEM BARANEM
28 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa TA DZIURA TO JURA
31 Wojciech Lipowski NIE BYŁO RADOŚCI W DOMU ROSTOWÓW
34 Zbigniew Lubowski TANECZNY JĘZYK SZTUKI SCENICZNEJ
40 Adam Lizakowski KALIFORNIJSKA SOSNA I BRZOZA CHICAGOWSKA
48 Monika Wachowicz SZTUKA W SŁUŻBIE DUCHA I CIAŁA foto kolor
52 Joanna Warońska-Gęsiarz GRA O SENS
54 Martyna Kleszcz OGRODY UKRYTE W SZTUCE
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek FRANCISZEK ZIEJKA W KLESZCZACH MOBBINGU
76 Janusz Plewniak MARKUS
78 Tadeusz Loster FOTOGRAFIE POCZTÓWKOWE – PAMIĄTKI WIELKIEJ WOJNY
80 REFLEKSJE NA KONIEC NUMERU Marian Kisiel CZYTAJĄC KONFUCJUSZA

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: MAGDALENA DUDA – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Krzysztof Kraus TO WSZYSTKO
8 Marcin Mielcarek DWA ZIELONE OGÓRKI
14 Krzysztof Kraus WIERSZE
20 Edna St. Vincent Millay, Amy Lowell, Edward Storer WIERSZE Przełożył Andrzej Szuba
45 CZYTANIE WSCHODU Barbara Farska POEZJA GŁUCHYCH
46 Marian Lech Bednarek WIERSZE
58 Michał Kaczmarek WIERSZE
66 Terra Krzoska WIERSZE
74 Romuald Cudak LIMERYKI
75 DEBIUT William Burn WIERSZE

FELIETONY

- 26 BIAŁE KRUKI Jan Malicki NARRACYJNA TOPOFAKTOGRAFIA FRANCISZKA GODULI
36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA Jan Miodek „WIDZIOŁECH CIEŚLIKA GRAC”
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich LISTOPADOWE SKOJARZENIA
38 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki NUDY NA PUDY
39 WYZNANIA GÓRNOŚLĄZAKA Tomasz Słupik „PANOCKU, U NOS SIE PŁACI INO GOTÓWKOM”
43 MAŁE NARRACJE Tomasz Bocheński HYBRYDY (15)
44 NOTATNIK SPORTOWY Ryszard Jasnorzewski KTO ZJADŁ PICADORA?
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko KOMPOZYTOR ZAMORDOWANY

KSIĄŻKI

- 62 Weronika Górską JAKIE CZASY, TAKI SMOK
63 Natalia Szopa KTOŚ JESZCZE
64 Andrzej Juchniewicz LITERACKIE ZBLIŻENIA NA POWSTANIE
65 Marcin Gacek W LUSTRZE DYSTOPII

Na okładce:

Magdalena Duda, Samoprzytulające drzewo – olej na płótnie, 160x120, 2023

Pismo wspierane
finansowo przez:



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Województwo
Śląskie



KATOWICE
dla odmiany

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Czwarta nad ranem

1

Dzieło sztuki. – Kupiłem tę książkę w bydgoskim antykwariacie (pochodzi ze zbioru dr. Henryka Dubowika, bibliotekarza i historyka literatury) i mój wzrok padł na półdzianę na dole jednej ze stron. Brzmi ono tak: „wyraz wytworu duchowego, który by nie przynosił żadnego odkrywczego momentu w dziedzinie ducha, albo był objawem umysłowej słabości czy moralnego skażenia, wyraz takiego wytworu, choćby najdoskonalszy, nigdy nie będzie posiadał cechy piękna, a więc nie może być dziełem sztuki” (Konrad Górski, *Poezja jako wyraz. Próba teorii poezji*, Księgarnia Naukowa T. Szczepny i S-ka, Toruń 1946, s. 35). – Jak jest to dalece paradoksalne myślenie, dziwne i niemieszające się w dzisiejszych normach naszych lektur, przekonywać nie ma potrzeby. Kiedy czytam dalej, że „prawdziwe dzieło sztuki jest doskonałym (a więc pięknym) wyrazem wytworu duchowego, wartościowego ze stanowiska ideałów prawdy i dobra” (s. 35–36), to zaraz chciałbym przeciwstawić temu stwierdzeniu całą pospolitość świata, w której ideały prawdy i dobra zostały poddane w wątpliwość. Nie ośmieliłbym się odmawiać prawa do miana „dzieła sztuki” jakiemuś utworowi tylko dlatego, że jest „moralnie skażony”. Tym bardziej zdumiewał radykalizm tego stwierdzenia zaraz po II wojnie światowej, Epoce Pieców, łagrów i łagrów, Zagłady i wypierania z pamięci Zła, które było dziełem człowieka niekoniecznie kwestionującego ideały prawdy i dobra. Tak „etycznie” zorientowana teoria literatury sprzed lat była marzeniem o tym, aby brud świata przykryć koronką wartości. Była marzeniem o świecie, jakiego już być nie mogło, bowiem, jak napisał Tadeusz Różewicz (*Proza*, t. 3, Wrocław 2004, s. 41 [seria *Utwory zebrane*]), „Taniec poezji zakończył swój żywot w okresie drugiej wojny światowej w obozach koncentracyjnych, stworzonych przez systemy totalitarne”. – Konrad Górski, wielki edytor Mickiewicza, nie zapisał się na kartach teorii literatury jako twórca ważnych idei. Już

w chwili ich powstania, jego poglądy były anachroniczne, a ich konserwatyzm rodził zdumienie na twarzach formalizujących młodych badaczy. Do nich miała należeć przyszłość.

2

O moralności. – Charles Baudelaire w jednym ze swoich dziennikowych zapisków dał upust (częstym u niego) złości i szyderstwu. Wyśmiał „figowe listki imć Nieuwerkerke’a”, czyli Alfreda Emiliena hrabiego de Nieuwerkerke’a (1811–92), który był nie tylko znanym rzeźbiarzem i kochankiem Matyldy Letycji Bonaparte, ale w czasach II Cesarstwa także – jak czytamy w objaśnieniach tłumacza – „najpierw naczelnym dyrektorem Muzeów Francuskich, a potem superintendentem Sztuk Pięknych. Wstawił się rozporządzeniem o zakrywaniu liściem figowym intymnych części rzeźb i pomników” (*Dzienniki intymne. Biedna Belgia!*, przeł. i komentarzem opatrzył Ryszard Engelking, wyd. 2 zm., Oficyna, Łódź 2023, s. 340). Drwiąc ze świętoszkowości Nieuwerkerke’a, Baudelaire zjadliwie przytoczył następującą anegdotę: „Wszyscy głupkowi Jegomości powtarzający w kółko «niemoralne, niemoralność, moralność w sztuce» i tym podobne bzdury, przywodzą mi na myśl Luizę Villardieu, pięciofrankową kurewkę, która poszedłszy ze mną do Luwru, gdzie trafiła po raz pierwszy, co chwilę się czerwieniła, zakrywała oczy, odciągała mnie za rękaw od nieśmiertelnych obrazów i posągów, dziwiąc się, że takie sprośności można wystawiać na widok publiczny” (tamże, s. 109). – Autor *Kwiatów zła* pisał to gdzieś w połowie wieku XIX, a my dwa stulecia później możemy za nim te słowa powtórzyć, podkładając pod ocalałe nazwisko nieskromnej panny wiele nazwisk politycznych i religijnych obrońców naszej czystości seksualnej. Na szczęście nazwiska dzisiejszych skromnych panien i matron rozwieje wiatr, podobnie jak nazwiska szermierzy z miękkimi szpadami, którzy *pro publico bono* i bez zażenowania gmerają w *dessue* obu płci, powiewając przy tym sztandarami świętego oburzenia. Ciekawe, kiedy owe duety matron i szermierzy zalecą nam – jak w *Poglądach Księdza Hieronima Coignarda* Anatola France’a – „długie i szerokie koszule, posiadające mały, owalny otwór, który pozwala małżonkowi spełnić przykazanie boże dotyczące wzrostu i rozmnożenia rasy ludzkiej bez obrażania obyczajności i nieskromnego sycenia zmysłów nagością ciała” (w: *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*, przeł. Jan Sten, *Poglądy Księdza Hieronima Coignarda*, przeł. Franciszek Mirandola, Wydawnictwo, Kraków 1975, s. 337).

3

Przeczytać jednym tchem. – Ryszard Kapuściński: „Często czyta się to pełne aprobaty, a nawet entuzjazmu zdanie, że książkę czyta się jednym tchem. A przecież to wcale nie jest pochwała! Książkę dobra i ważną czyta się wolno, z zastanowieniem, coraz to przerywając lekturę, rozmyślając o tym, co się przed chwilą przeczytało, nawracając do jej wątków, opisów, refleksji; przez materię książki trzeba brnąć, przedzierać się mozolić, przystawać i odpoczywać, spoglądać, dokąd się zaszło. Gdyby ktoś napisał lub powiedział: tę książkę czyta się długo i z trudem, toteż konieczne są przerwy i namysł – o tak, to by była dobra dla mnie pochwała!” (idem, *Lapidarium IV*, Czytelnik, Warszawa 2007, s. 106). – Myślę podobnie. Ale kiedy widzę tyle książek wartych lektury powolnej, wielokrotnej, z namysłem, których nigdy nie przeczytam, bo braknie mi czasu, ochoty i życia, to nawet cięszę się, że są obok mnie pochłaniacze treści, czytający „jednym tchem”, bez refleksji i zatrzymywania się na myśli, pożeracze fabuł, dialogów i omijające opisów przyrody. Czasami, żeby przemoc zmęczenie, trzeba zwolnić mózg z konieczności myślenia.

4

Zaciemnienia. – Słowo „zaciemnić” (*dk*; „zaciemniać” *ndk*) słowniki definiują czworako: 1. ‘zastonić źródło światła’, 2. ‘osłonić jakieś miejsce przed światłem’, 3. ‘uczynić coś ciemniejszym lub niewidocznym’, 4. ‘utrudnić zrozumienie czegoś’. „Zaciemnienia” można opisywać w każdym z tych znaczeń. To, co ciemne, ale rozjaśniane przez lektora, który nie tylko umie czytać, ale też dzieli się swoimi odkryciami z tym, kto odczytać znaczeń nie potrafił, każdorazowo odświeżając się na indywidualną wyobraźnię. Nie mamy do niej dostępu, to prawda, ale możemy o nią pytać, choć bez gwarancji dobrej odpowiedzi. Dlatego trącamy o tego, który broni nam dostępu do znaczenia, który „zaciemnia” poetycki obraz. Dlaczego to robi? Jaki ma w tym cel? I wiemy, oczywiście, że nie odkryjemy powodu zaciemniania znaczeń. Łudzić się, że go odkryjemy, nie ma potrzeby. Jeżeli więc nie dowiemy się na pewno, dlaczego ktoś ‘zastania źródło światła’, ‘utrudnia zrozumienie czegoś’, to przynajmniej spróbujmy poznać mechanizm ‘uczynienia czegoś ciemniejszym lub niewidocznym’. Jeżeli ktoś ‘osłania jakieś miejsce przed światłem’, to zapytajmy go, w jakim „cieniu” się ukrywa, wiedząc, że „cień” to także ciemność, mrok i duch zmarłego.

Marian Kisiel

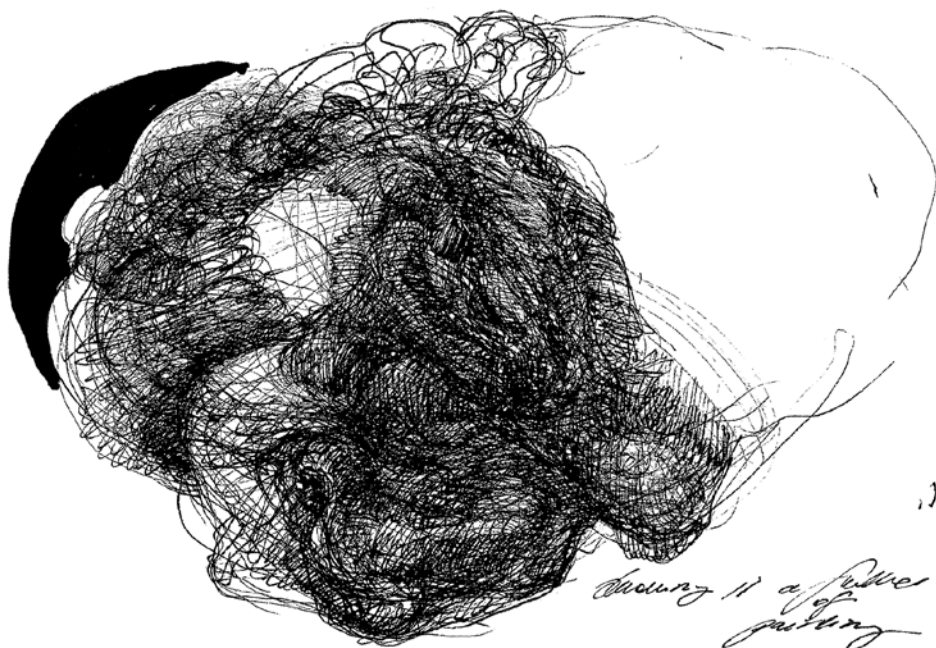
To wszystko

Jest noc zmiany czasu, gdy siedzimy
i na zimnej podłodze kończymy pakować rzeczy.
To wszystko, co do czegoś się nadaje, upychamy w czarnych workach.
To, co schodzone, ale w dobrym stanie.
To, co zapomniane i nigdy nie założone.
To, co kupione kiedyś dla ciebie.
To, co zostanie, i osobno to, co oddamy.

Historia utkana
w spódnicach, żakietach, podomkach,
piżamach, pościelach, podkładach.

Jest północ, gdy wynoszę w noc to wszystko.
Ptaki śpiewają, chłodny powiew. Śpimy dziś
o godzinę krócej. Jak gdyby akurat w tę noc traciła się
godzina życia, nie do odzyskania.
Tymczasem jednak wynoszę na mróz
dwanaście worków, upycham to wszystko starannie
w bagażniku starego forda.

- To wszystko?
- To wszystko. Niczego więcej już
nie ma. Za chwilę wrócę.



rys. Bogna Skwara



Film powinien być dotkliwy

Z MICHAŁEM ROSĄ rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK

Od dawna jest Pan związany ze Szkołą Filmową im. Krzysztofa Kieślowskiego – najpierw jako student, potem jako wykładowca. Wspominał Pan, że Kieślowski prosił studentów reżyserii o sporządzanie notatników. Prowadzi pan jeszcze takowe? Jakie tematy się w nich pojawiały, czy pojawiają?

Sam już nie prowadzę notatników, natomiast uważam obserwowanie i zapisywanie refleksji wokół zadanej grupy tematów za ćwiczenie obowiązkowe dla młodego reżysera. To abecadło tworzącego się filmowego języka, metoda, która pozwala skonkretyzować zainteresowania i stworzyć strukturę opowiadania – bo każdy opowiada trochę inaczej. Oczywiście są pewne stałe punkty, wokół których konstruujemy scenariusze, lecz jeżeli na prosty temat pod tytułem *Telefon komórkowy*, albo *Ławeczka*, zebraliśmy 30–40 opowieści, to jesteśmy w stanie dostrzec, jak bogata jest codzienność. I że wokół *Ławeczki* możemy opowiedzieć o życiu, nie tylko jednej osoby, ale i całego świata. Dodatkową zaletą takiego treningu jest wrzucanie się w selekcję, a istotą opowieści filmowej jest pewien rodzaj redukcji świata do podstawowych treści... A dlaczego już tego nie robię? Bo mnie słowa już zja-

dły. Za dużo słów napisałem, za dużo słów wypowiedziałem. Od dłuższego czasu odmawiałem wszelkich rozmów, ponieważ mam głębokie poczucie, i to nie jest kokieteria, że już wszystko powiedziałem. Ale Śląsk to co innego, z przyjemnością o nim z Panem porozmawiam.

Kiedy oglądałem Pana wczesne filmy, to pomyślałem, że w notatniku Michała Rosy temat „Dzieciństwo” albo „Dziecko” musiał być obwieszony ramką.

I tak, i nie. Debiut to był jednak trochę przypadek. Kiedy kończyłem szkołę, napisałem trzy scenariusze – każdy inny. Dostałem pieniądze na *Gorący Czwartek* – kino społeczne, jak się wtedy o tym mówiło. A mogłem zacząć od kostiumowej opowieści z przełomu wieków, napisanej na motywach opowiadania Nabokowa. Wracając do *Czwartku* – temat podsunęła mi żona, która pracowała z dziećmi, nazwijmy je – wykluczonymi. Kiedyś przyjechałem do Ani na tzw. zieloną szkołę i zobaczyłem, że każdy jej podopieczny to nieprawdopodobna indywidualność. Dostrzegłem w nich nietuzinkową, dojrzałą, własną opowieść. I jak urzeczony w ciągu miesiąca napisałem scenariusz o trójce z nich.

Pana bohater dziecięcy pochodzi ze Śląska. Tak jest i w *Gorącym Czwartku*, w *Co Słonko widziało* i w *Szczęściu Świata*. To przecież nie jest dziecko w ogóle, to jest dziecko na Śląsku! A może i przywołuje Pan obrazy swojego dzieciństwa?

Nie. Moje dzieciństwo było inne. I nie było dzieciństwem śląskim. Ja w ogóle nie jestem Ślązakiem. Żyłem w takiej dziwnej enklawie w centrum Zabrze, w której mieszkała moja rodzina i kilkadziesiąt innych z Biura Projektów, w którym pracował tato. Na całym podwórku było z pięciu Ślązaków. Nawet podstawówka była taka polsko-inteligencka. Śląsk zacząłem poznawać dopiero w liceum – choć przyznam, że wtedy bardziej interesowały mnie miejsca, ulice i kamienice, niż ludzie.

Nic dziwnego, że po maturze zaczął pan studiować architekturę.

Coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że przyszło mi mieszkać w miejscu swoistego industrialnego ładu. I to mnie najpierw zachwycało, a potem dopiero ludzie, znajomi, którzy byli stąd. Moje dzieciństwo było urocze, acz pozbawione ekscesów, a ja szukałem poprzez ludzkie historie, świata dużo bardziej zmitologizowanego. I dopiero po

latach to całe mityczne podglebie znalazłem na Śląsku.

Czyli nie jest tak, jak pisał Kawafis, że miasto dzieciństwa podąża na nami, że „Zawsze trafisz do tego miasta. Będziesz chodził po tych samych ulicach”? A wie pan, że ten wiersz często zadają studentom i proszę o interpretację, ale nie filologiczną, a związaną z pomyśłem, z tematem, który idzie za nami. Bo przecież miasto dzieciństwa idzie za mną, ale przede wszystkim idzie przede mną. Przez Śląsk, ale i przez moje wizyty w górach, skąd pochodzi moja mama i Sandomierz mojego taty. Przez kumpli, dziewczyny, znajomych, miłości, żale i tęsknoty. To wszystko ma własny zapach, smak i miesza się w swoisty amalgamat młodości. Dlatego nie jestem dzieckiem Śląska, ale i nie jestem dzieckiem jakiegoś innego, konkretnego obszaru czy miejsca. Myślę, w każdym z nas łączy się wiele różnych elementów, z których budujemy tożsamość.

Zazwyczaj chodził Pan za brzoiszą ulicą Wolności?

Tak, bo mieszkalem na Placu Wolności, więc chodziłem ulicą Wolności na przykład do liceum.

Liceum, którego patronem jest teraz Religa, wtedy było imienia Lenina?

Tak. Ale to zupełnie przyzwoite liceum było.

Dość powiedzieć, że chodził Pan do klasy z Krzysztofem Koehlerem, Bartoszem Kurowskim, Bogdanem Prejsem... W klasie mieliśmy 43 osoby, z tego 30 samców i trzeba było walczyć, by zaistnieć, by zdobyć choćby chwilową uwagę. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla paru osób to mógł być bardzo dotkliwy czas, a dla mnie był budujący – to była bitwa o miejsce na ziemi. A walczyliśmy nie na pięści, tylko na książki, które się czytało, na obejrzone filmy, na miejsce na piłkarskim boisku, lepsze bądź

gorsze dowcipy, na tysiące rzeczy, które potem człowieka przez życie niosły.

Z kolei moment dziejów, który pokazuje Pan w *Gorącym Czwartku* i w *Co Słonko Widziało* to chyba jednak czas trudniejszy, okres transformacji lat 90. Dzisiaj ogląda się obrazy tamtego Śląska ze ściśniętym sercem. To był koniec pewnej epoki? Mam na myśli chociażby scenę zburzenia Wielkiego Kominu w finale *Słonka*. Jak pan to widział wtedy, jak pan to widzi dzisiaj?

Zacznę od rzeczy najmniej istotnej. Można powiedzieć, że te moje filmy płynęły dwoma nurtami. Jeden to był nurt społeczny, właśnie *Gorący czwartek*, *Farba* i *Słonko*, a drugi to był nurt, powiedzmy, psychologiczny. I *Słonko* jest moją społeczną refleksją dotyczącą Śląska w czasie transformacji.

A było to wówczas szczególnie miejsce na mapie Polski – zubożałe, pozabawione dumy, wymieszane kulturowo – miejsce potrójnego wykluczenia. Okrutny czas zwłaszcza dla ludzi, którzy przyjechali tu za pracę, próbowali się zakorzenić, rezygnując z ze swojego kawałka ziemi gdzieś pod Kielcami lub Zawierciem i których gwałtownie zwalniano, zabierając im nie tylko pracę, ale i świat do którego przywykli, z którym wiązali nadzieje. Kolejne wykluczenie dotyczyło końca pewnego mitu związanego ze Śląskiem jako miejscem, które napędza cały kraj, któremu Polska zazdrości. Politycy i media trąbiły „Dość! Do wszystkiego trzeba dopłacać, a do Was najbardziej”. To bolało, gdyż wyszydzało idee, dla której tu przybyli. Trzecie wykluczenie było wynikiem finansowej zapaści przemysłu ciężkiego, który dotąd był podstawą dobrobytu Śląska – ludzie po prostu zaczęli relatywnie mniej zarabiać, względem rosnącego biznesu. Wszystko to, rzecz jasna, wiązało się z „przemianami” – nazwijmy to tak mocno eufemistycznie – które dotyczyły całej Polski, natomiast te trzy elementy, nawar-

stwiały się na Śląsku w sposób wyjątkowy. Inna rzecz, że rodowici Ślązacy najczęściej sobie z tym radzili...

Różnie z tym bywało.

Pewnie tak, ale przynajmniej ten pierwszy element – zakorzenienia na Śląsku i związanej z tym rodzinnej stabilności – pozwalał przetrwać najgorsze. Dla jednej trzeciej ówczesnego Śląska, która była ludnością napływową, nie było żadnej nadziei.

A zupełnie inny jest Śląsk w filmie, który nosi tytuł *Szczęście świata*. Ten Śląsk jest tak piękny, że aż trudno mi w niego uwierzyć.

To jest Śląsk mityczny. Bo *Szczęście* jest światem wykoncypowanym.

Magiczne obrazy... To trochę odreagowanie po tamtych opowieściach?

Uznałem, że *Słonko* kończy pewien etap w moim życiu. Więcej już tak opowiadać nie chcę. I zacząłem szukać nowej drogi. W *Szczęściu* chciałem dotknąć mitu Śląska jako miejsca na ziemi, które było, czy raczej mogło być wielokulturowym rajem. Parę osób opowiadało o swoim przedwojennym Śląsku, który wcale nie był bogaty, za to różnorodny, jak każde pogranicze. I ja troszkę powłóczyłem się po takich miejscach, w realu i w wyobraźni. Po Kończycach, Pawłowic, Bielszowicach. I z takich opowieści złożyłem *Szczęście*.

Chciałbym w ten mit uwierzyć, ale coś mi nie pozwala. Chodzi mi o czas tej opowieści, w której lokuje Pan koncept Śląsk wielokulturowego. Pomyślałem, że mogłoby się to wydarzyć przed I wojną światową. Ale po plebiscycie i powstaniach, wszystko tutaj, łącznie z Zabrzem, mocno się podzieliło, a te podziały jeszcze bardziej musiały dawać o sobie znać w lipcu 1939 roku. Jak mógłby na przykład Sobański planować wyjazd z Różą do Gliwic? Będę się upierał, że było to możliwe.





Szczęście świata. Na zdjęciu Karolina Gruszka

Ciekawa jest kompozycja – w pierwszej części filmu pokazuje pan atmosferę przedwojennej gorączki, trwającej mobilizacji. A później trafiamy już do Polski komunistycznej, oszczędzona więc nam zostaje ta wojenna groza... To chyba Proust napisał, że „prawdy, które chwytały w świecie w pełni oświetlonym, mają w sobie coś mniej głębokiego od tych przekazywanych przez wrażenie”. Groza pokazana wprost traci moc. Chciałem przywołać gęstniejącą atmosferę tych kilku dni przed wojną. Rosnące ciśnienie, które wręcz fizycznie wpływa na bohaterów, deformując przestrzeń i anarchizując poczucie czasu. Zaczynają wyczuwać dziwne zapachy, rozumieć nieznaną języki, śnić nieswoje sny. Inaczej mówiąc, jesteśmy na pograniczu wyobrażenia, snu i realistycznego, całkiem ludzkiego pogranicza.

A właśnie! W *Szczęściu* poczułem taki klimat jak w opowiadaniu *Sierpień ze Sklepów cynamonowych*, bo tam jest atmosfera takiego miodowego lata. A Bruno Schulz pewnie opowiedziałby, tak jak i Pan, o odmowie.

Jest wiele warstw w tym filmie, ale idea odmowy, która idzie potem za człowiekiem przez całe życie, była dla mnie najważniejsza. Poczucie winy, które skutkuje czymś, co nazywałem pustym miejscem... pustym miejscem po Róży... A te Schulzowe konotacje, są bardzo piękne. Cieszę się, że pan je odnalazł.

Tak jak ten swing, który tam słyszymy kilkakrotnie... A przy okazji *Róży* chcę Pana zapytać o bohaterki Pana filmów. One są silniejsze od mężczyzn: i Róża, i Farba, i Magda, a nie Szymon – bohaterowie *Ciszy* – i Joanna z *Rysy*, a nie Jan... Zawsze kobiety były mi bliższe, dużo bardziej je rozumiałem i pewnie dlatego są pełniejszymi, lepiej stworzonymi postaciami. I nie są może silniejsze, lecz z pewnością niosą więcej. Nie bez powodu większość nagród aktor-

skich za moje filmy otrzymały kobiety. Może oprócz Krzysia Stroińskiego, który ma, tak jak ja, taką nutę kobiecą. W sumie to zawsze były kobiety: czy to Agnieszka Krukówna, czy Kinga Preis, czy Jadzia Jankowska-Cieślak, czy Magda Boczarowska.

Pomyślałem sobie jeszcze, patrząc na Pana film o Piłsudskim i na seriale, że – nie wiem, czy taki był Pana zamiar – ilustruje Pan w zasadzie Polskę XX wieku. Od, powiedzmy, ucieczki Piłsudskiego ze szpitala przez II wojnę pokazaną w *Czasie Honoru*, po PRL w *Osieckiej*.

Piłsudski to jest w ogóle najdziwniejszy film, jaki zrobiłem w życiu. I to jedyny, którego sam nie wymyśliłem. Po prostu mam przyjaciela, Darka Sidora, który mi przez całe życie pomaga – znakomitego kierownika produkcji a później producenta. Zrobiłem z nim pięć filmów. Kiedy został szefem Studia Kadr, to mi wyznał, że zawsze marzył, by zrobić film o Piłsudskim. I tak mnie przekonywał, iż sam się w końcu

do tego przekonałem, że potrafię trochę inaczej opowiedzieć o Piłsudskim.

A mnie zafrapowało to, co pan powiedział na konferencji prasowej, że opowieść o Ziuku i towarzyszach z Organizacji Bojowej PPS, miała przypominać *Chłopców z Ferajny*.

Może to bardziej *Peaky Blinders* (śmiech) Ale tu jest parę problemów. Główny polega na tym, że ja nie dałem sobie przyzwolenia na żadne zmiany związane z biografią. To znaczy uznałem, że jeżeli już robię taki film to – przynajmniej świadomie – nie zafałszuję historii. Zatrudniony jako konsultant, najwybitniejszy żyjący znawca Piłsudskiego w Polsce, profesor Grzegorz Nowik przeczytał scenariusz i miał sto uwag. A myśmy je wszystkie uwzględnili!

A atmosferą *Peaky Blinders* bardziej nasycona jest scena ucieczki z petersburskiego szpitala, czy raczej atak na dworzec w Bezdanych?

Weźmy na przykład te Bezdany. To jest taki klasyczny problem filmowca, który robi, niech będzie, kino historyczne, i ma pokazać fantastyczny napad na dworzec w Bezdanych – tylko że tam na peronie było ledwie kilkadziesiąt osób łącznie z bojowcami, noc była ciemna, padło kilkanaście strzałów, wybuchła jedna bomba i szczerze mówiąc, żeby zrobić widowiskową scenę, to musieliśmy kompletnie zmienić realia historyczne. A trzymając się ściśle prawdy historycznej, zrobiliśmy to tak jak było. Więc, jeżeli był błąd, a pewnie był, to tkwił w założeniu. Bo jeżeli ktoś ogląda *Piękny Umysł*, to nie zdaje sobie sprawy z tego, że tak naprawdę, według historyków, tam jest około 55% faktów związanych z życiem bohatera, a cała reszta jest kompletnie wymyślona i to także rzeczy podstawowe. I tak się robi dobre filmy: trzeba kłamać.



Rysa. Na zdjęciu Janina Jankowska-Cieślak i Krzysztof Stroiński

A ten okres późniejszy pokazywany w Pana filmach?

W filmach fabularnych sam piszę scenariusze, w serialach posiłkuję się zawodowcami. *Osiecką* zdecydowałem się zrobić, ponieważ, po pierwsze podobał mi się scenariusz, szczególnie te jego fragmenty, które napisał Maciej Wojtyczko, po drugie, miałem poczucie, że to jest jedyna możliwość w danej chwili przewidzieć się przyszłości, żeby zrobić serial o polskiej inteligencji lat 50., 60. i 70. Takiej opowieści nie było i chyba – obym był złym prorokiem – nie będzie. To była szansa, abstrahując od tego, jak wykorzystana, żeby przypomnieć fantastycznych ludzi i dotknąć postaci, dla mnie wciąż żywych, a dla większości współczesnych – wyblakłych.

Hłasko, Frykowski, Passent, Przybora...

I jeszcze myślenie o ulicach, domach, knajpach, o Kameralnej, o ZAIKS-ie, o tym, jak ci ludzie się zachowywali, o czym rozmawiali, co jedli, co popijali. Mnie to zawsze strasznie brało. Jestem wielbicielem dzienników, pamiętników, listów – Mętrak, Głowacki, Rudzki, Mycielski, Kijowski – to wszystko nałożyłem na gotowy tekst. Do tego doszła fascynacja polskim jazzem.

Inaczej mówiąc, jak dostałem scenariusz, poczułem, że niezależnie od samej bohaterki, chcę opowiedzieć o tym świecie. To mnie bardziej interesowało, szczerze mówiąc, niż *Osiecka* w tym filmie. (Śmiech)

Na koniec zostawiam pytanie o film, który mnie dotknął najmocniej, o *Rysę*. Przejmujący obraz rozpadu związku między dwojgiem ludzi. Pomyślałem sobie, kiedy oglądałem *Rysę* i *Szczęście Świata*, że stąd już bardzo blisko do poezji kina.

Cóż, kiedyś chciałem być poetą... koledzy się będą ze mnie śmiali.

No bo przecież to nie był film o lustracji, prawda?

Oj nie, zdecydowanie nie. Idea moralitetu, w którym do spokojnego, kochającego się domu, raptownie wdziera się przewina jednego z bohaterów – dawno zapomniana, wyparta, bądź też całkowicie wymyślona – i wbrew najlepszej woli wszystkich stron, swą ciemną siłą niszczy rodzinę, chodziła za mną od lat. Pierwszą wersję opowieści o Janie i Joannie złożyłem do telewizji w 1998 roku. Był to wtedy scenariusz godzinnego filmu – niestety, nikt z moich nie zainteresował się tekstem. Po kilku latach, napisałem rozszerzoną wersję scenariusza zatytułowaną *Skaza*. To według tego tekstu, powstał film.

Rysa to rozpisane na cztery akty studium rozpadu osobowości bohaterki oraz towarzyszący temu procesowi za-



Co słonko widziało. Na zdjęciu Damian Hryniewicz, Tomasz Sapryk

pis walki jej męża o zachowanie resztek godności. Relacje aktorów dramatu ze światem, kontekst polityczny i medyczne subtelności są tu. Istotą filmu jest fundamentalne pęknięcie twardego rdzenia, który dotąd budował Joannę jako człowieka – pęknięcie wynikające z utraty zaufania do najbliższej osoby.

Zdecydowanie czułem się, jako widz, mocno przyduszony. Bardzo sugestywnie udało się wykreować taką atmosferę. Historia opowiadana jest poprzez Joannę – to zmiany w jej psychice wpływają na sposób widzenia rzeczywistości – deformują poczucie czasu i zmieniają właściwości przestrzeni. Idea ta została precyzyjnie zbudowana środkami filmowymi, na poziomie zdjęć i scenografii – fantastyczne zdjęcia Marcina Koszałki i scenografia Jagny Janickiej. Świat, w którym bohaterka czuje się bezpiecznie, zaczyna się redukować od tkanki miejskiej, przez mieszkanie, pokój, słuźbówkę aż do łóżka. Na końcu wydaje jej się, że najlepiej się czuje w terrarium swoich robaczek.

Tak, bardzo naturalistyczna staje się ta opowieść.

Ludzka.

Obejrzałem ten film dwukrotnie. Najpierw niejako kibicowałem mu, żeby ją w końcu przekonał do swojej niewinności. Ale potem obejrzałem go sobie drugi raz z jej perspektywy, zastanawiając się, dlaczego on się nie potrafi do tego przyznać. To jest ten sam film, a to nastawienie odbiorcy zupełnie zmienia odbiór. Słowem – to jest bardzo ciekawie zniuansowana opowieść. I jednocześnie bardzo dotkliwa. Jeżeli film jest dotkliwy, to jestem spełniony. Taki ma być.

Taki jest i on, i inne filmy! To też załuga aktorów, których pan zaprasza

do współpracy. Pewnie bez Krzysztofa Stroińskiego wyglądałyby one zupełnie inaczej.

Krzysztof może jest jedną z bardzo wielu postaci z tak zwanego środowiska, z którą jestem zaprzyjaźniony. Jakoś się udało nam przez wiele lat, nie spotykając się nazbyt często, utrzymać dobrą relację. Krzysztof był człowiekiem, który – kiedy robiliśmy pierwszy film, czyli właśnie *Słonko* – bardzo się przede mną otworzył. Ale i ja się przed nim otworzyłem, a potem już nam było ze sobą dobrze. W związku z tym potrafimy długo ze sobą milczeć, co jest może jedną z najlepszych rzeczy, jakie mi się w życiu przytrafiły, czyli przyjaźń z Krzysztofem – potrafimy sobie usiąść i pomilczeć z godziną nad kawą. I może dlatego udało mi się go namówić do wielu filmów. *Słonko* i *Rysę* pisałem, myśląc o Krzysztofie. Zresztą przy *Szczęściu* też tak było. Jeżeli chodzi o *Piłsudskiego*, to mocno go namówiłem, bo Krzysztof już powiedział, że nie będzie grał. Zaczęłem prosić: „No chociaż przyjedź do mnie na trzy dni”. I dał się w końcu namówić. To już była czysta przyjaźń, a nie jakieś takie filmowe relacje. Ja uważam, że to jest jeden z najwybitniejszych polskich aktorów i jestem szczęśliwy, że go spotkałem na swojej drodze.

I jeszcze pytanie na podsumowanie! W Pana wypowiedziach, czy w opiniach o Panu, pojawiają się stwierdzenia, że tworzy Pan moralitety, że jest Pan moralistą. Czy Pan by się z tym zgodził?

Tak, bardzo chętnie, jestem moralistą na poziomie kandydata na pastora protestanckiego (śmiech). Wierzę w dobre kino, znam i objawiam zasady, a i tak wszystko zależy od łaski widza i krytyków.

Rozmowa odbyła się 24 lipca 2024 roku w Panewnikach.

Dwa zielone ogórki

MARCIN MIELCAREK

Wracałem z Mańkiem na nogach i proszę nie pytajcie skąd wracałem, bo naprawdę nie miałem bladego pojęcia. Oczywiście byliśmy pijani jak bąki i Maniek co chwilę zbaczał z kursu, mówiąc:

– Cholera, chyba zaraz się porzygam.

Ładował w krzakach czy też w zarośniętym rowie, ale ani razu nie słyszałem, żeby wymiotował. Mnie również mdliło, ale trzymałem pawia w ryzach. Staralem się zachować klasę, o której tyle naczałem się w szkolnych podręcznikach, nasłuchiwałem w radiu i naoglądałem w telewizji.

– Cholera, teraz naprawdę się porzygam – rzucił po kolejnych stu metrach, lecąc niemal na czworakach do najbliższego ogrodu.

– Zmień płytę, Maniek.

Znajdowaliśmy się w dzielnicy jednorodzinnych domków, z dala od centrum miasta. Jak tam trafiliśmy, naprawdę nie wiedziałem. W każdym razie Maniek wrócił spod jednego z tych drogich domów z uśmiechniętą gębą i ze skrzynką warzyw w dłoniach.

– Zobacz stary, ktoś to zostawił pod furtką – oznajmił. – Całkiem świeże warzywa. Pomidory, sałata, ogórki, dynia. Chole- ra będę miał żarcia na tydzień.

– Powinieneś to odnieść Maniek – odparłem. – To kradzież. Będziemy mieli przez to kłopoty.

– Przecież to głównie jest nic nie warto.

– Właśnie dlatego.

Było około trzeciej w nocy i nie zastanawiałem się co te warzywa robiły pod czyjąś furtką. Zastanawiały mnie natomiast inne rzeczy. Na przykład takie jak przymusowy pobór do wojska, przeróżne podatki, bezdomność, służba zdrowia, praca na etacie, wyprzedaże w markecie, plastik w oceanie, erozja ludzkiego ducha, powodzie, niedzielne kazanie, bomba atomowa, wycinka lasów deszczowych i tak dalej.

W pewnym momencie znikąd zmaterializował się pies. Podbiegł do nas, merdając ogonem. Brudny kundel bez swojego miejsca na ziemi. Od razu rozpoznał pokrewne dusze. Polizał mnie po rękach, a ja go pogłaskałem. Śmierdział nie gorzej od tych wszystkich kloszardów spotykanych na dworcach.

– Chyba zabiorę go ze sobą – powiedziałem.

– A to nie jest kradzież?

– To altruizm.

Szliśmy teraz razem. Ja, Maniek i pies. Cykanie psich łap rozchodziło się głucho pośród nocnej ciszy. Pies kilka razy zaszczekał na przejeżdżające auta. Kiedy oddychał z wyciągniętym jęzorem wyglądał jakby się uśmiechał. Nie był z niego żaden geniusz, ale jakimś cudem przecież przeżył tyle czasu na ulicy. W końcu to sztuka.

Oczywiście nie zdążyliśmy ująć kolejnych kilkudziesięciu metrów jak pojawiły się gliny. To było oczywiście bardzo ciekawe zagadnienie, kolejna rzecz godna zastanowienia. To że chłopcy w mundurach zawsze pojawiali się w najmniej odpowiednim momencie. Zapytajcie dziewczyn gwałconych na ulicach albo chłopaków, których katuje jakaś zgraja. Radiowóz zajeżdżał nam drogę, włączył świetlną sygnalizację i wysiadło ich dwóch. Jeden wysoki, gruby misio i drugi – komandos pod pięćdziesiątkę. Pies zjeżył się, zaskomlał i dał w długą. Pomyślałem sobie, że powinniśmy zrobić to samo, ale zabrakło nam instynktu przetrwania, którą wykazał się nawet ten niezbyt mądry pies. Psy, to znaczy policjanci, spisali nas i kazali dmuchać. Mieliliśmy niemal olimpijskie wyniki.

– Skąd masz te warzywa? – zapytał komandos. Niebieskie smugi światła polyskiwały na jego łysej głacy.

– Z ogródka babci – odparł Maniek.

Komandos rozkazał mu pójść za radiowóz. Maniek wykonał grzecznie polecenie, w końcu nie zrobił nic złego, chciał sobie zjeść trochę warzyw i tyle w temacie. Czy ubogi, głodny człowiek, chcący zjeść trochę warzyw jest godny represji? Usłyszałem trzy głucho łupnięcia i trzy bolesne stęknięcia Mańka. Po chwili wrócili do nas i komandos znów go zapytał:

– Skąd masz te warzywa?

– Z ogródka babci.

Ponownie poszli za samochód i tam komandos ponownie zdzielił go pałą. Akcja powtórzyła się jeszcze dwa razy. W międzyczasie gruby misio stał, przypatrując mi się bez słowa. Miał gęstą, czarną brodę jak jakiś zbir. Chcąc prze-rwać tę niezręczną ciszę, zapytałem go jakim cudem zdał testy sprawnościowe.

– Nie były takie trudne – odparł beznamyślnie.

– Staralem się kiedyś dostać do służb – wyznałem.

– Oblałeś testy sprawnościowe?

– Nie. Psychologiczne.

– Nawet nie trzeba być bystrym, żeby je zdać.

– Kto by pomyślał.

W końcu Maniek wrócił z komandosem i gliniarz oznajmił, że zabierają nas na dołek. Zostaliśmy zakuci i posadzeni z tyłu. Drewniana skrzynka z warzywami wylądowała w bagażniku, jako dowód i podstawa naszego zatrzyma-

nia. Po drodze

prawie się nie odzywaliśmy, to zna-

czy Maniek w kółko powtarzał, że nie

chce trafić do kicia, że w więzieniu na

pewno go zgwałcą, bo ma taką ładną twarz.

Naprawdę miał twarz jak laleczka. Powiedzia-

łem mu, że dołek to nie ciupa i że na dołku raczej nie gwałcą.

– Raczej?

– Nigdy nie wiadomo na kogo trafisz.

Na miejscu jednak okazało się, że izba jest przepełniona i nie mogą nas puścić.

– Czyli nas puścicie? – zapytał z nadzieją Maniek.

Nie puścili nas. Zamiast tego wywieźli kilka kilometrów od miasta i zostawili w jakimś lesie. Wcześniej w policyjnym radio dyżurny dwa razy wywoływał patrol do zdarzenia. Jakies pobicie i rozbój.

– Nie powinniście się tym zająć? – spytałem.

– Nie.

– I na to idą nasze podatki?

Na pożegnanie zarobiliśmy po kilka razów od komando- sa i po razie od misia. Kiedy mnie bił miał taką przeprasza- jącą minę. Oczywiście, że mu wybaczyłem.

– A moje warzywa? – zapytał Maniek, kiedy gliniarze pa- kowali się już do auta.



O dziwo komandos wysiadł, otworzył bagażnik, wywalił skrzynkę na ziemię, zamknął klapę i ponownie wszedł do auta.

- Tego się nie spodziewałem – powiedziałem.
- Ja też nie – rzucił Maniek, podnosząc skrzynkę.

Radiowóz odjechał i przez chwilę gapiliśmy się na oddalające od nas czerwone światła, licząc, że jeszcze zawrócą – szybko nabawiliśmy się sztokholmskiego syndromu. W końcu ruszyliśmy przed siebie, po kilku minutach trafiając na chodnik. Powrót do miasta zajął nam dobrą godzinę. Skrzynkę z warzywami dzwigał na zmianę.

- Możesz se wziąć ze dwa zielone ogórki – oznajmił Maniek.
- Dzięki stary.

Nie wziąłem oczywiście tych ogórków. Najbliżej mieliśmy do dziewczyny Mańka, więc do niej poszliśmy najpierw. Oczywiście nie była to jego żadna dziewczyna, a zwykła prostytutka z neta, którą Maniek dobrze znał, na tyle dobrze, żeby pomylić to z miłością. Ela miała na imię i już dawno stuknęła jej trzydziestka. Otworzyła nam w pończochach i szpilkach, twarz miała prawie białą od

cowniczych spadła o dwadzieścia dziewięć i to wszystko udało mi się osiągnąć przy redukcji etatów o trzysta procent.

- A co z pierwiastkiem ludzkim?

– Nie rozumiem.

– Chodzi mi o ludzi. Co z tymi, których zwolniłeś? Wszyscy mieli pewnie rodziny, kredyty, chorych krewnych, marzenia, plany wakacyjne albo chociaż plany na weekend.

– Tak jak powiedziałem udało mi się zmniejszyć koszt o dwadzieścia jeden procent w skali roku, zwiększyłem wydajność pracowników w przeliczeniu na godzinę o trzydzieści dwa procent, o piętnaście procent zmniejszyły się urlopy chorobowe i o dziesięć macierzyńskie...

Machnąłem ręką i przestałem go słuchać. Spojrzałem na Elę zastanawiając się jak ona jest w stanie to znieść. Potem się zrelektowałem, myśląc o tym, że przecież jej za to płacę. Mimo tego czułem, że ja sam nie mógłbym zostać kurwą. I nie chodziło o kwestie płci czy tym bardziej kwestie moralne, ale ten piekielny bagaż emocjonalny, który przynosił ze sobą ci cholernie nudni, zbławoznani facci.

Ela zrobiła nam herbatki i wypytała co się stało. Zachowywała się jak kochana ciocia, to znaczy jak kochana ciocia, która siedzi przed tobą w koronkowych majtusiach. Oczywiście Maniek słowem nie wspomniał o incydencie z glinami.

– Przyniosłem ci warzywka – oznajmił, kładąc dłoń na jej kolanie.

- To miłe z twojej strony. Skąd je masz?
- Z ogródka babci.
- To ona jeszcze żyje?
- Wszyscy w rodzinie się jeszcze dziwimy.

Mieszkanie miało duże, w każdym sporo mebli, sporo foteli, ale ściany były zupełnie gołe. Tylko w salonie znajdował się jeden obraz. *Siedząca kobieta z podniesionym kolanem* Ego Schiele.

Nie posiedzieliśmy zbyt długo u Eli, bo temu nudnemu facetowi przypominało się w końcu, że tylko on płaci za wizytę albo wyrzucił nas dlatego, że w końcu zaczęła działać viagra – chwała Bogu i nowoczesnej medycynie. Kiedy się wynieśliśmy zaczynało świtać. Ulice zaczęły pogrązać się w porannej szarości. Wilgotny zapach spalin podział na mnie dziwnie kojąco.

Poszliśmy na przystanek, na którym zastaliśmy czekających dwóch kanarów. Podszedłem do nich i zapytałem czy możemy jechać na gapę.

- O czym ty mówisz chłopcze? – zapytał kanar.

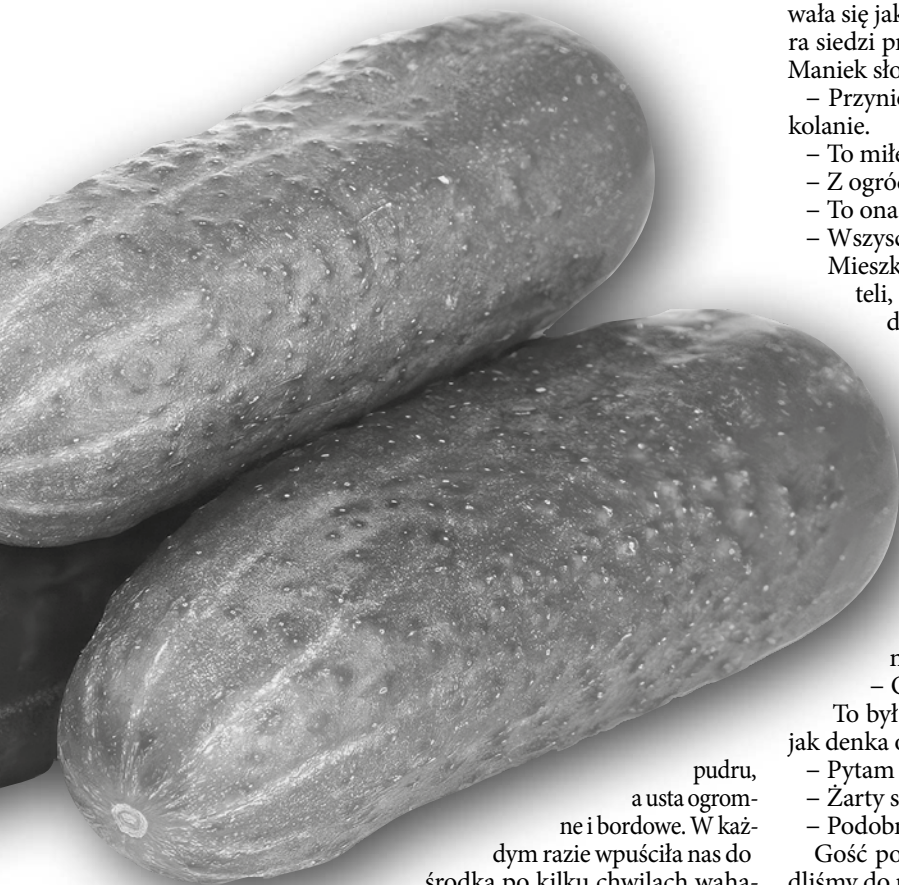
To był jakiś siwy gość, bardzo niski i krępy, w okularach jak denka od butelek.

- Pytam czy pozwolicie nam jechać bez biletów.
- Żarty sobie robisz?
- Podobno szczerść popłaca.

Gość popukał się w czoło. Poczekaliśmy aż odjadą i wsiedliśmy do następnego autobusu. Pojechaliśmy do mieszkania, to znaczy nory, w której wynajmowaliśmy pokoje. Maniek poszedł od razu pod prysznic, a ja zmieniłem tylko skarpetki, zjadłem dwie kromki chleba z masłem i szynką, popiłem ciepłą wodą i wyszedłem z mieszkania. Zbliżała się siódma rano, a ja od trzech tygodni pomagałem w jednym warzywniaku, który prowadził sympatyczny dziadek, chorujący na cukrzycę. Był wdowcem, dzieci siedziały ponoć gdzieś w Stanach i tak naprawdę został mu tylko ten niewielki sklep. Jak to się stało, że zacząłem mu pomagać już nie pamiętam. Przychodziłem na dwie, trzy godziny. Przyjmowałem i rozkładałem towar, sprzątałem i wynosiłem śmieci. Nie brałem od niego żadnych pieniędzy. Honor jednak, coś, o czym moje pokolenie słyszało tylko na szkolnych apelach z okazji wybuchu któregoś z powstań, nie pozwalał mu puszczać mnie z pustymi rękoma.

– Weź chociaż te dwa ogórki chłopcze – powiedział, wciskając mi je do rąk, kiedy miałem już sobie iść.

Przyjąłem je od niego. Tym razem nie udało mi się wymigać.



pu
dru,
a usta ogromne i bordowe. W każdym razie wpuściła nas do środka po kilku chwilach wahan. Kiedy weszliśmy do mieszkania w salonie na kanapie – obłożonej jakimś śliskim materiałem – siedział nieciekawy facet pod sześćdziesiątkę. Siedział sobie w samych gaciach, koszuli, skarpetkach i poluzowanym krawacie. Na serdecznym palcu prawej dłoni miał obrączkę.

- Wykupił całą noc – wytłumaczyła Ela.

Usiadłem obok tego faceta, a kanapa śmiesznie zapiszczała. Gość śmierdzał wodą kolońską, niemal nie dało się oddychać. Nie minęły dwie sekundy jak zaczął do mnie nawijać:

– Jestem dyrektorem polskiego oddziału niemieckiej firmy produkującej części do przemysłu motoryzacyjnego, a konkretniej metalowych części tłoczonych i giętych. Odkąd zostałem dyrektorem zmniejszyłem ogólne koszty o dwadzieścia jeden procent, zwiększyłem wydajność pracowników w przeliczeniu na godzinę o trzydzieści dwa procent, o piętnaście procent zmniejszyły się urlopy chorobowe i o dziesięć macierzyńskie, obroty oddziału wzrosły o osiem procent, a liczba błędów pra-

Eugeniusz Kwiatkowski o Śląsku i jego miejscu w historii najnowszej Polski

MARIAN MAREK DROZDOWSKI

Eugeniusz Kwiatkowski (1888–1974) należy do najwybitniejszych polityków gospodarczych II Rzeczypospolitej. W latach powojennych 1945–1948 sprawował obowiązki Komisarza Rządu ds. Wybrzeża. Pochodził on ze spauperyzowanej rodziny ziemiańsko-urzędniczej polskiego Podola i Krakowa. Swoje wykształcenie zawdzięczał m.in. słynnemu Gimnazjum OO. Jezuitów w Bąkowicach pod Chynowem, Politechnice Lwowskiej i Monachijskiej. W tej ostatniej był zmuszony poprzez sumienną pracę, dyscyplinę studiów i otwartość na współdziałanie ze studentami niemieckimi i liczną grupę studentów japońskich pokazać możliwości twórcze polskiej młodzieży akademickiej, która broniąc swej narodowej tożsamości wchłaniała walory kultury i cywilizacji niemieckiej i japońskiej.

Po skończeniu studiów Kwiatkowski, specjalista chemii przemysłowej, odbył praktykę zawodową w Gazowni Łódzkiej, Lwowskiej i Lubelskiej. Miał on już za sobą aktywną działalność w niepodległościowym „Zarzewiu” i Związku Studentów Polskich w Monachium oraz w Lidze Niepodległości, współpracującej z zalegalizowanymi Drużynami Strzeleckimi [MD, 18].

Jako młody inżynier chemii z niepokojem przyjął uchwałę Reichstagu z 30 czerwca 1913 r. o podniesieniu stanu armii na wypadek wojny do 5 mln żołnierzy, a później wielkie manewry wojsk niemieckich na Śląsku, umocnienie Trójporozumienia (Rzesza Niemiecka, Austro-Węgry i Włochy). Powstały wówczas wątpliwości co do wierności Włoch na wypadek konfliktu wojennego. Gdy Kwiatkowski i patriotyczna młodzież polska, szczególnie skauci, jego ideowego przyjaciela z „Zarzewia” Andrzeja Małkowskiego, przypomnieli setną rocznicę śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, 18 października 1913 r. na polach pod Lipskiem cesarz Wilhelm brał udział w poświęceniu pomnika zwycięstwa koalicyjnego nad wojskami Napoleona, w tym korpusu Poniatowskiego. Dla Kwiatkowskiego była to zapowiedź działań wojennych na obszarze ziem polskich, gdzie zaborcy pospiesznie umacniali wcześniej zbudowane twierdze i fortyfikacje, w tym także na Śląsku [AP, 22–23].

Po wybuchu wojny zgłosił się do Komisji Kwaterunkowej Legionu Wschodniego. Został on rozwiązany pod wpływem agitacji działaczy narodowo-demokratycznych, którzy niepodległość Polski wiązali ze zwycięstwem państw Ententy (Rosji, Wielkiej Brytanii i Francji). 3 kwietnia 1916 r. Kwiatkowski, mając zgodę ukochanej żony, która w 1914 r. urodziła syna Jana, wstąpił do Legionów Polskich, gdzie po krótkim przeszkoleniu pracował w Biurze Werbunkowym w Chełmie, podlegającym płk Władysławowi Sikorskiemu. Wkrótce na polecenie Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego udał się do Łukowa, gdzie objął obowiązki kierownika Głównego Urzędu Zaciągu do Wojska Polskiego, po kryzysie przysięgowym, głównie w I Brygadzie Legionów.

W Łukowie, na łamach redagowanego przez siebie „Głosu Ziemi Łukowskiej”, popularyzował m.in. tradycję Kościuszkowską. W stulecie w 1917 r. śmierci Naczelnika pierwszego narodowego powstania, informował o przebiegu działań wojennych, mając zapis cenzuralny na informację o aktywności powstałego we Francji Komitetu Narodowego Polskiego, pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, o powstaniu Armii Polskiej, do której masowo zgłaszali się Ślązacy i Kaszubi – byli żołnierze armii niemieckiej i o aktywności Wojciecha Korfanteo w Reichstagu i całego Koła Polskiego.

Wkrótce w Łukowie Kwiatkowski był organizatorem Batalionu POW, który brał udział w akcji rozbrajania oddziałów niemieckich i współorganizatorem 22 pułku piechoty. Pułk ten zdobył sławę wojenną na polach bitew wojny polsko-ukraińskiej i polsko-sowieckiej. Z zainteresowaniem śledził aktywność Ślązaków, na czele z Korfantym, na grudniowym 1918 r. Sejmie Dzielnicy Pruskiej i zwycięskie Powstanie Wielkopolskie. 28 lutego 1919 r. w Ministerstwie Robót Publicznych przejął obowiązki starszego referenta w Sekcji VI Mechanicznej.

Po przegranej I Powstaniu Śląskim i zaostrzeniu stosunków politycznych i gospodarczych polsko-niemieckich, w marcu 1920 r., na polecenie swego zwierzchni-

ka, Ministra Gabriela Narutowicza, wyjechał do Berlina na rokowania gospodarcze. Walczył wówczas o gwarantowane wcześniej, pod wpływem interwencji amerykańskich ekspertów, dostawy śląskiego węgla do polskiej gospodarki i bojkotowaną przez stronę niemiecką klauzulę największego uprzywilejowania celnego [AP, 36].

W czasie wojny polsko-bolszewickiej pracował w Głównym Urzędzie Zaopatrzenia Armii przy Ministerstwie Spraw Wojskowych jako zastępca kierownika Wydziału Sekcji Chemicznej. W tym czasie wspólnie z inż. Marianem Płuzańskim opracował „Program gospodarczy w sprawie azotowej”, przewidując udział śląskich zakładów chemicznych w realizacji tego programu, który wymagał znacznych kredytów inwestycyjnych. Podkreślał on, że przemysł chemiczny jest jednym ze środków umożliwiających bezpieczeństwo państwa, wyżywienie ludności, poprawę warunków zdrowotnych i zaopatrzenie kraju w wielu artykułach pierwszej potrzeby. Istotną rolę w tym przemyśle miały odegrać śląskie kopalnie, dzięki którym na masową skalę przemysłową, jak przewidywał 90 lat temu, dojdzie do gazyfikacji węgla, która podniesie bezpieczeństwo energetyczne Polski. W 1920 r. współpracując z Polskim Komisarzem Plebiscytowym Wojciechem Korfantym, opublikował w grudniu studium *Znaczenie górnictwa śląskiego przemysłu przetwórczo-węglowego dla Polski* [„Przemysł Chemiczny” 1920, nr 12, s. 5]. Wspierał on swymi naukowymi przyczynkami działalność Obywatelskiego Komitetu Obrony Górnego Śląska, zaznaczając, że Polska bez Śląska i Pomorza jest skazana na status satelitarnego państwa, uzależnionego od Niemiec.

Po latach pisał w 1931 r.: „Pomorze i Śląsk są podstawą niezależności gospodarczej i politycznej Polski, a jako takie stwarzają mocną zaporę dla germańskiej tendencji parcia na Wschód, a jednocześnie paraliżują swobodę ruchów niemieckich na Zachodzie. W ostatecznym rezultacie są to dwa najbezwzględniejsze i najmocniejsze hamulce przeciwko kontynentalnej supremacji Niemiec w Europie” [EK, 205].

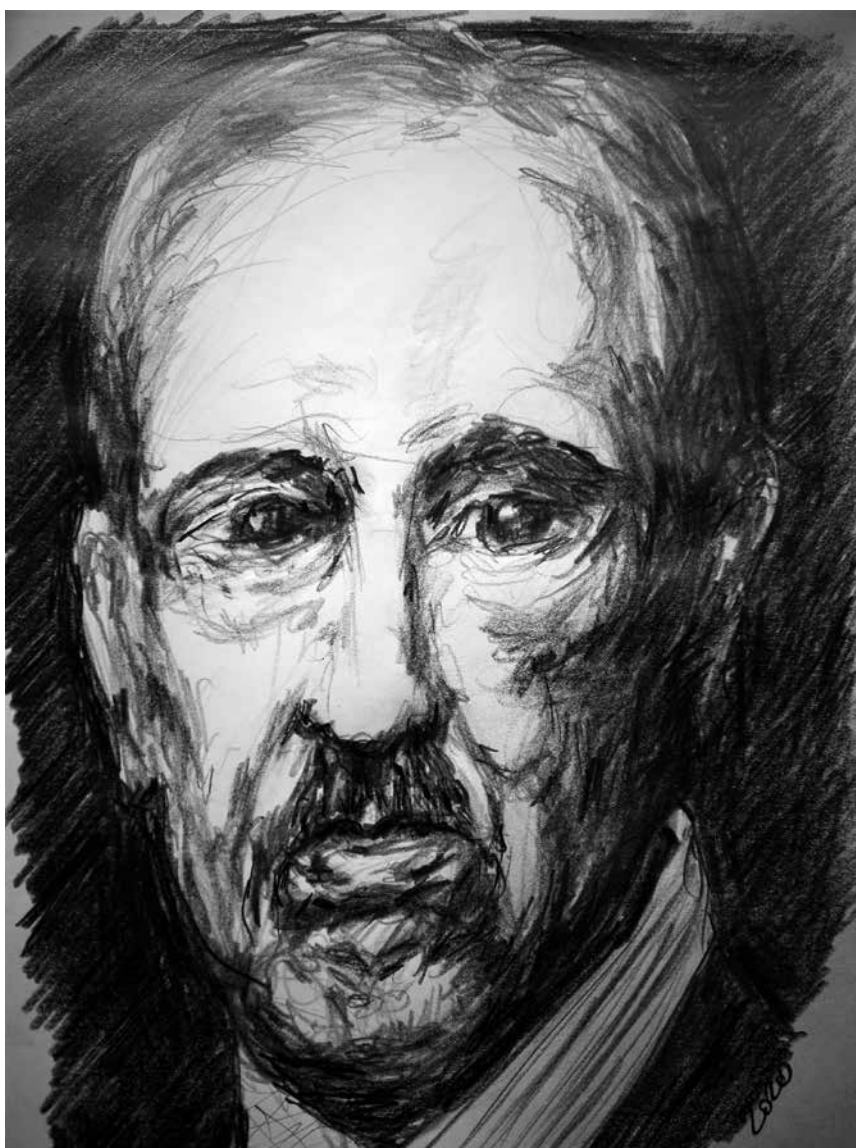
Dzięki III Powstaniu Śląskiemu, pomocy Francuzów i zabiegom dyplomatycznym W. Korfanteo, Rada Ambasadorów przyznała Polsce obszar 3,2 tys. km kw. Na tym terenie znajdowało się 70% zasobów węglowych Polski. W 1923 r. Górny Śląsk dostarczył Polsce 78,9% żelaza surowego, 77,1% stali, 87,7% cynku i 99,7% ołowiu. Bez Górnego Śląska II Rzeczpospolita byłaby kikutem gospodarczym Europy. Mówił o tym jako docent kontraktowy na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej w 1922 r. [AP, 37].

W studium wydanym w styczniu 1923 r. *Zagadnienia przemysłu chemicznego na tle wielkiej wojny*, wydanym przez Chemiczny Instytut Badawczy we Lwowie, zwrócił uwagę na szczególną rolę polskiej części Górnego Śląska w tym przemyśle. Było tu 11 koksowni, przerabiających w nowoczesnych urządzeniach 1,8 mln ton węgla koksującego, 13 gazowni, 2 duże zakłady impregnacji węgla i 13 wielkich prażalni rudy cynku. Przejmując w styczniu 1923 r. funkcje dyrektora technicznego Państwowych Zakładów Azotowych w Chorzowie i piastując ją do czerwca 1926, żył problemami Górnego Śląska na co dzień.

W liście do załogi Zakładów z 20 czerwca 1966 r. tak wspominał ten fragment swojej biografii: „W pamięci mojej przechowuję świadomość, że cały zespół pracowników chorzowskich oraz Ich Rada Zakładowa i Rada Urzędnicza, wybitny zespół inżynierski i techniczny, handlowy i administracyjny wygrał przed wielu laty ciężką bitwę o polskość, o powodzenie techniczne i ekonomiczne tych wspólnych i nowoczesnych zakładów fabrycznych. Gdy przed 44 laty prof. Ignacy Mościcki na polecenie ówczesnego rządu przejmował zakłady chorzowskie, prawie wszyscy inżynierowie i technicy Niemcy opuścili fabrykę, licząc, że załoga polska nie podoła trudnemu zadaniu. Ale stało się inaczej, a Chorzów dobrze zapisał się i zapisuje się coraz lepiej w służbie przodującej techniki i narodowego gospodarstwa polskiego” [AP, 396–397].

Polacy w zakładach chorzowskich uruchomili owalne piece karbidowe, uruchomili także własne wapienniki dostarczające gorący tlenek wapnia do pieców karbidowych i otworzyli w zakładach wielkie laboratorium badawcze prof. Władysława Bobrownickiego. W ten sposób pokazali, że „Polak potrafi” uzyskiwać dzięki nowoczesnej technologii lepsze wyniki ekonomiczno-produkcyjne od tych, jakie istniały w zakładach do 1922 r.

W Chorzowie udało się Kwiatkowskiemu uruchomić we wspomnianym zakładzie nowe oddziały: wody amoniakalne, amoniaku skroplonego, niskoprotentowego kwasu azotowego oraz syntetycznej saletry sodowej. Dbał o interesy ekonomiczne załogi, o jej zaopatrzenie w taną żywność i warunki wypoczynku. Dzięki temu załoga zakładów nie brała udziału w strajku powszechnym na Śląsku w czerwcu



Eugeniusz Kwiatkowski

1924 r. i w spokoju zniosła bolesne koszty antyinflacyjnych reform premiera Władysława Grabskiego, który energicznie wprowadzał progresywny podatek majątkowy.

Szanując wielką reformę walutową Grabskiego, powstanie Banku Polskiego i jego niezależnej od sejmu i rządu Rady, zastąpienie marki polskiej wymienialną złotówką, opartą na złotym standardzie, z entuzjazmem przyjął, inspirowaną przez premiera Grabskiego i ministra przemysłu i handlu Józefa Kiedronia – wybitnego działacza ruchu polskiego na Śląsku Cieszyńskim, uchwałę Sejmu z 11 marca 1924 r. o przyspieszeniu budowy portu w Gdyni i ustawę z 18 czerwca 1925 r. o budowie kolei Śląsk-Gdynia.

„Społeczeństwo polskie powinno być przepełnione ambicją współzawodnictwa w twórczej, codziennej pracy cywilizacyjnej. Bez postępu w życiu gospodarczym grozi bowiem Polsce utrata suwerenności politycznej”. Była to reakcja Kwiatkowskiego [Zagadnienia główne Polski współczesnej, „Drogi Polski” 1924, nr 2] na znaczny spadek zatrudnienia w górnictwie i hutnictwie, na zamknięcie 31 nierentownych kopalń, na zaniedbania inwestycyjne w wielu za-

kładach śląskich, na polityczny konflikt zwolenników Korfanteo ze zwolennikami premiera Grabskiego.

W przemyśle górnośląskim nadal panował kapitał niemiecki, który chciał podporządkować sobie sfrustrowanych przez recesję robotników, przeżywających rozczarowanie do nowych porządków, wprowadzanych przez urzędników nieznających specyfiki śląskiej, do niespełnionych w czasie plebiscytu obietnic socjalnych.

Kwiatkowski w sytuacji konfliktu Korfanteo z wojewodą śląskim Michałem Grażyńskim sprzyjał działalności Korfanteo, kiedy chciał jak największą liczbę Polaków wprowadzić do rad nadzorczych i dyrekcji śląskich zakładów. Sam zorganizował i stanął na czele Stowarzyszenia Polskich Inżynierów i Techników na Śląsku. Starał się on na posiedzeniach Stowarzyszenia przedyskutować z kolegami reperkusje takich wydarzeń jak: układy lokarneńskie, wybór Hindenburga na prezydenta Niemiec, podpisanie w kwietniu 1926 r. sowiecko-niemieckiego porozumienia o współpracy wojskowej i ciągłe łamanie przez Niemcy międzynarodowych zobowiązań.

Przezwrot majowy przeżywał na Śląsku. Rozumiał, że poważnie osłabił on więź tego regionu z Polską.

Kwiatkowski sprawujący w dniach 8 czerwca 1926 do 4 grudnia 1930 r. funkcje ministra przemysłu i handlu znał te podziały. Bolesnie przeżył on m.in. skutki tych podziałów, a przede wszystkim recesji poinflacyjnej w postaci wyników wyborów komunalnych na polskim Górnym Śląsku.

Odpowiedzią Kwiatkowskiego, a także związanego z nim lojalnością prorządową Grażyńskiego, na tę porażkę, było:

- wykorzystanie ożywienia gospodarczego lat 1926–1929, a szczególnie koniunktury na polski węgiel, po strajku górników brytyjskich, dla zwiększenia zatrudnienia w śląskich kopalniach, hutach i zakładach przemysłu chemicznego;

- sprzyjanie ze względów ekonomicznych koncentracji produkcji śląskich zakładów i ich integracji z innymi polskimi zakładami w postaci powołania Ogólnopolskiej Konwencji Węglowej, Syndykatu Polskich Hut Żelaza, Centrocementu, Biura Sprzedaży Polskich Walcowni Rur itp.;

- opracowanie planu ograniczenia wpływów niemieckich w hutnictwie, związanym z przemysłem obronnym i zwiększenie liczby Polaków na stanowiskach kierowniczych w zakładach śląskich przez relegowanie dyrektorów niemieckich znanych z antypolskich zarządzeń;

- rozbudowa zakładów w Chorzowie i wykorzystanie ich kadry inżyniersko-administracyjnej w budowie podobnych zakładów w Mościcach;

- zaangażowanie przedsiębiorstw śląskich w budowę linii kolejowej Śląsk-Gdynia, w rozbudowie katowickiego i tarnogórskiego węzła kolejowego, a także nabrzeży w porcie gdynskim i w budowie polskiej floty handlowej [ED, 167].

W wyborach do Sejmu 16 listopada 1930 r. sukces odniosła lista Katolickiego Bloku Ludowego (Korfantego), która zdobyła, m.in. dzięki poparciu Kościoła, w tym nowego biskupa śląskiego Stanisława Adamskiego, 7 mandatów, Narodowe Chrześcijańskie Zjednoczenie Pracy uzyskało 6 mandatów, w tym mandat dla Kwiatkowskiego, który się go rzekł, lista niemiecka 3 mandaty, Blok Socjalistów tylko 1 mandat [ED, 205].

Polityka gospodarcza ministra przemysłu i handlu Kwiatkowskiego w latach 1926–1929 doprowadziła do wzrostu czynnych zakładów w województwie śląskim z 788 w 1926 r. do 826 w 1929 r., a liczby w nich zatrudnionych z 168,2 do 198,8 tys. to jest o 18,2%. W górnictwie węglowym uruchomiono 2 nieczynne kopalnie, a liczba zatrudnionych w kopalnictwie węgla wzrosła z 78,4 do 87,9 tys. tj. o 12,1%. Największy przyrost zatrudnienia w tym czasie odnotowały na Śląsku przemysły: mineralny – o 69,7%, żelazny i metalowy – 54,8%, garbarski – o 50,0%, poligraficzny – o 42,8%, papierniczy – o 35,2% i spożywczy – o 22,5% [WS, 232].

Województwo śląskie partycypowało w wielkich dokonaniach ministra Kwiatkowskiego lat 1926–1930. Były to:

- budowa portu i miasta Gdyni, magistrali węglowej Śląsk-Gdynia i polskiej floty handlowej;

- rozbudowa potencjału przemysłowego Śląskiego, Warszawskiego, Poznańskiego, Łódzkiego i Staropolskiego Okręgu Przemysłowego;

- rozbudowa potencjału energetycznego kraju;

- budowa kombinatu przemysłu azotowego w Mościcach pod Tarnowem;

- rozbudowa przemysłu obronnego, głównie w Warszawskim i Staropolskim Okręgu Przemysłowym;

- znaczny wzrost eksportu węgla, koksu, wyrobów walcowanych, produktów włókienniczych z okręgu bielskiego;

- zintensyfikowanie procesów inwestycyjno-modernizacyjnych szczególnie w hutnictwie żelaza, w przemyśle cynkowo-olowianym, w przemyśle chemicznym i przemyśle elektro-energetycznym (Zakłady „Elektro” w Łaziskach Górnych) [WS, 238–240].

Udział województwa śląskiego w ogólnym polskim eksporcie wyrobów przemysłowych w latach 1927–1929 zwiększył się z 22,9 do 24,5%, w eksporcie węgla wzrósł on do 84%, wyrobów walcowanych do 91% [WS, 242].

W okresie od 4 grudnia 1930 r. do 12 października 1935 r. Kwiatkowski, po dymisji ze stanowiska ministra przemysłu i handlu, działał na marginesie warszawskich elit politycznych i gospodarczych jako dyrektor Państwowych Zakładów Azotowych w Mościcach. Z perspektywy Galicji Zachodniej obserwował on bolesne koszty głębokiego kryzysu gospodarczego lat 1930–1935, który ze szczególną siłą objął kraje wysoko uprzemysłowione, a także uprzemysłowione regiony Polski: Górnośląski, Łódzki, Staropolski Okręg Przemysłowy [WS, 244].

Liczba czynnych kopalń została zredukowana z 50 do 41, a liczba zatrudnionych pracowników z 87,9 do 47,1 tys. tj. o 46,5%. Bezrobotni górnicy uruchomili 2352 zarejestrowanych szybków, z których wydobywano ok. 100 tys. ton węgla z narażeniem życia i zdrowia. Kryzys dotknął wszystkie dziedziny górnictwa i przemysłu śląskiego. Spowodował poważny wzrost bezrobocia. Już w świetle powszechnego spisu ludności z 9 grudnia 1931 r. było na Śląsku 148,9 tys. bezrobotnych oraz osób na ich utrzymaniu na ogólną liczbę 323 tys. robotników i 50,4 tys. pracowników umysłowych [Mały Rocznik Statystyczny GUS, Warszawa 1939, s. 258–259].

Liczba bezrobotnych na Śląsku znacznie wzrosła do 1934 r. Tę dramatyczną sytuację na śląskim rynku pracy brutalnie od 1933 r. wykorzystywała III Rzesza, która w zamian za zatrudnienie wymagała przynależności do hitlerowskich organizacji.

Najlepiej z kłopotami kryzysowymi radziły sobie zakłady elektroenergetyczne w Łaziskach Górnych i Czechowicach. W latach 1932–1934 zbudowano kilka lokalnych linii przesyłowych energii elektrycznej: Radzionków – Tarnowskie Góry, Tarnowskie Góry – Pniewiec, Tarnowskie Góry – Lubliniec, Herby.

Proces koncentracji produkcji trwał w dalszym ciągu, czego wyrazem było m.in. rozwiązanie w 1932 r. Górnośląskiego Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych i utworzenie na jego miejsce Unii Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego, która koordynowała działalność w kwestiach gospodarczych, technicznych, racjonalizacji produkcji, spraw socjalnych i zarobkowych [WS, 253].

W 1933 r. doszło do powstania Zjednoczonej Fabryki Związków Azotowych z siedzibą w Mościcach, na której czele stanął E. Kwiatkowski, często w latach kryzysu odwiedzający Chorzów. Po katastrofie finansowej Huty Pokój SA w 1934 r. kapitał państwowy stał się głównym akcjonariuszem spółki za pośrednictwem Banku Gospodarstwa Krajowego. Nadzór sądowy i kredyty państwowe umożliwiły przejęcie przez państwo w 1934 r. Wspólnoty Interesów.

W śląskim przemyśle ciężkim kapitał niemiecki w 1933 r. miał 52% udziałów – polski 20%, amerykański 13%, francuski 9%, czechosłowacki 8% oraz inne 2%.

Kryzys ułatwił powolną polonizację przemysłu śląskiego. Z inicjatywy wojewody Grażyńskiego dokonana została w tym czasie narodowościowa lustracja kadr kierowniczych w przedsiębiorstwach śląskich oparta na wprowadzeniu na Śląsku polskiego prawa przemysłowego z 24 marca 1933 r. Znaczną część niemieckiej kadry kierowniczej i inżyniersko-technicznej zastąpiono personelem polskim, lojalnym wobec Rządu RP i Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Komitet prezydialny Unii Przemysłu Górniczo-Hutniczego zdominowany został przez 37 Polaków [WS, 255–256].

Tematyka śląska wielokrotnie występowała w głośnym esejie Kwiatkowskiego „Dysproporcje”, ogłoszonym we wrześniu 1931 r. Wobec martwej pod względem gospodarczym granicy polsko-sowieckiej i trudności w handlu z Niemcami i Czechosłowacją postulował prowadzenie aktywnej polityki bałtyckiej, i znalezienie dla produktów śląskich rynków zamorskich. Szanując głęboki patriotyzm narodu niemieckiego, jego osiągnięcia cywilizacyjne i kulturalne widział także wady tego patriotyzmu w postaci pogardy dla innych narodów, tolerowania militarizmu i braku gotowości do obiektywnej oceny przyczyn klęski w 1918 r. Ubolewał nad faktem popularności w Niemczech polityków, którzy nie chcą pogodzić się z przynależnością Pomorza Gdańskiego, Wielkopolski i części Górnego Śląska do Polski [EK, 107].

W 1931 r. miał on wątpliwości odnośnie zapisów do umowy polsko-francu-

skiej, mocą której utworzono Francusko-Polskie Towarzystwo Kolejowe SA w Paryżu z kapitałem 15 mln Franków [EH, 95].

Przyspieszeniu integracji gospodarczej Górnego Śląska z resztą ziem polskich służyło zjednoczenie 18 maja 1932 r. Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów („Lewiatana”) ze Związkiem Przemysłowców Górniczo-Hutniczych i powstanie Centralnego Związku Przemysłu Polskiego pod kierownictwem Andrzeja Wierzbickiego, który na ogół wspierał politykę gospodarczą E. Kwiatkowskiego w przeciwieństwie do radykalnych zwolenników etatyzmu i interwencjonizmu państwowego.

W styczniu 1933 r. Kwiatkowski – honorowy członek Związku Powstańców Śląskich – napisał przedmowę do głośnego eseju Gustawa Morcinka *Śląsk. Cud nad Odrą*. Podkreślał w niej: „Śląsk postawił przed Polską konieczność rozstrzygnięcia nowych, wielkich problemów, wciągnął całe społeczeństwo jeszcze silniej i zdecydowanie w orbitę cywilizacji Zachodu” [AP, 93].

Kwiatkowski, który gościł w Mościcach Ślązaków z Chorzowa, znał kryzysowe kłopoty tego regionu: arogancję biurokracji miejscowej wobec autochtonicznej ludności Górnego Śląska, brutalną walkę wojewody Grażyńskiego z Korfantym i jego zwolennikami, wykorzystywanie tej walki przez III Rzeszę i jej zwolenników na Śląsku i dlatego wokół programu wyjścia z kryzysu starał się budować mosty między wszystkimi polskimi orientacjami politycznymi. Główne tezy tego programu przedstawił na posiedzeniu Rady Związku Izb i Organizacji Rolniczych 27 lutego 1935 r. Były to:

- zaangażowanie państwowego aparatu do opracowania tego programu i poddania go konsultacji społecznej;
- przeprowadzenie szerokiej edukacji ekonomicznej społeczeństwa, które powinno rozumieć preferencje dla ogólnonarodowych celów gospodarczych przed interesami grupowymi;
- pogłębienie procesów oddłużania gospodarstw rolnych i uruchomienie interwencyjnych zakupów zboża dla zwiększenia dochodowości gospodarstw rolnych;
- opracowanie kilkuletniego planu inwestycji publicznych, celem przebudowy struktury gospodarczo-społecznej kraju;
- kontynuowanie, z czynnym udziałem Górnego Śląska, rozbudowy polskiej gospodarki morskiej m.in. w trosce o rynek zbytu dla towarów śląskich;
- pogłębienie chrześcijańskich zasad życia publicznego, które ułatwiają pokojowe rozwiązywanie powstałych konfliktów ekonomicznych i społecznych [EK, 125–126].

Oddziaływanie Kwiatkowskiego na sytuację społeczno-gospodarczą Górnego Śląska wzmogło się po 13 października 1935 r., to jest po objęciu przez niego funkcji wicepremiera do spraw gospodarczych i ministra skarbu. Wielu śląskich działaczy gospodarczych, z jego inicjaty-

wy, zaczęło pracować w nowych instytucjach: Międzyministerialnej Komisji do Współpracy z Samorządem Gospodarczym, Komisji do Zbadania Działalności Gospodarczej Przemysłów Skartelizowanych oraz w Międzyministerialnej Komisji do Spraw Motoryzacji Kraju.

Przygotowany przez niego projekt budżetu na rok 1936/1937 przewidywał likwidację deficytu budżetowego i ochronę stabilności złotego. Chroniąc Polskę przed inflacją podkreślał: „Inflacja uderzałaby najsilniej w świat pracy, we wszystkie warstwy budujące swą przyszłość na oszczędności i pracowitości, a te reprezentują na pewno w Polsce ponad 90% ludności. Naszą metodę musimy dostosować do struktury społecznej narodu” [EK, 139].

Powszechne wówczas tendencje autarkiczne, ze szczególną siłą reprezentowane przez hitlerowską Rzeszę i Związek Sowiecki, Rząd RP starał się łagodzić przez zawartą 4 grudnia 1935 r. polsko-niemiecką umowę gospodarczą i zawarty 6 listopada tegoż roku polsko-francuski układ o wymianie produktów rolnych i surowców.

Ochronie złotego i opanowaniu paniki walutowej służyło wprowadzenie przez Kwiatkowskiego w dniu 27 kwietnia 1936 r. ograniczeń dewizowych, a później zawieszenie transferu pożyczek zagranicznych.

Górny Śląsk partycypował, w opracowanym przez Kwiatkowskiego i zatwierdzonym przez Sejm RP, czteroletnim planie inwestycji publicznych na okres od 1 lipca 1936 r. do 31 czerwca 1940 r. Jak pisze znany historyk gospodarczy Zbigniew Landau: „Plan przewidywał wydatkowanie na cele inwestycyjne 1650–1800 mln zł [...] Zakładano, że terytorialnie rozproszone inwestycje będą przeznaczone na różne działy gospodarki narodowej, przy zachowaniu priorytetu dla zwiększenia potencjału obronnego, tworzenia warunków do systematycznego uprzemysłowienia kraju, zaktywizowania okręgów na wschodzie i zachodzie” [EH, 302].

Konkretyzacja wspomnianego planu był opracowany przez Ministerstwo Spraw Wojskowych 6-letni plan rozbudowy polskich sił zbrojnych i zatwierdzone przez Sejm RP 5 lutego 1937 r. plany budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, w widłach Wisły i Sanu, przy aktywnym udziale potencjału przemysłowego Śląska [WS, 258–267].

W latach 1935–1939 wojewoda Grażyński, przy akceptacji Kwiatkowskiego, prowadził aktywną politykę polonizacji przemysłu górnośląskiego przez akcję zwolnień z kierowniczych stanowisk urzędników niemieckich i obywateli polskich pochodzenia niemieckiego, przy pomocy ustawy z 23 stycznia 1937 r. o ochronie rynku pracy i ustawy z 7 sierpnia tegoż roku o rozciągnięciu na górnośląską część województwa katowickiego rozporządzenia o przemianowaniu na własność państwa gruntów za niektóre należności pieniężne i ustawy z 7 sierpnia 1937 r. o zniesieniu fideikomi-

su pszczyńskiego. W lipcu tegoż roku wygasły zobowiązania płynące z Konwencji Genewskiej [WS, 267].

Kwiatkowski jako wicepremier kilkakrotnie odwiedzał Górny Śląsk.

W czerwcu 1937 r. omawiał z Grażyńskim m.in. skutki wygaśnięcia Konwencji Genewskiej. Podczas uroczystości poświęcenia Kopca Wyzwolenia w Piekarach Śląskich w dniu 20 czerwca podkreślił m.in. „Tysiące wrogich sił starało się od dawna wykopać przepaść pomiędzy Śląskiem a Polską. Ale okazało się, że wszystkie te siły i moce nie były dostatecznie silne dla pokonania umiłowania Polski przez lud górnośląski. [...] Nie jesteście w tej uroczystości dziś sami. Tak jak Polska długa i szeroka miliony ludzi będą dziś myśleć wspólnie z Wami, oceniając dobrze, czym jest Śląsk dla Niepodległości Polskiej” [AP, 148].

Wobec dominacji wpływów hitlerowskich w organizacjach mniejszości niemieckich na Śląsku, które usilnie zabiegały o utrzymanie autonomicznego statusu Górnego Śląska, Kwiatkowski jako przewodniczący Rady Instytutu Śląskiego w Katowicach, która czasami odbywała posiedzenia w siedzibie Ministerstwa Skarbu – Pałacu Coraziego w Warszawie, wspierał działalność tego Instytutu, jego aktywność wydawniczą w języku polskim i angielskim, jego działalność popularyzatorską i zabiegi o stworzenie Uniwersytetu Śląskiego. We wszystkich większych miastach śląskich Instytut organizował odczyty wybitnych uczonych polskich na tematy historyczne i społeczno-ekonomiczne. W Instytucie Pedagogicznym w Katowicach uruchomił specjalne seminarium regionalistyczne dla nauczycieli i działaczy społecznych [AP, 148–149].

Głośnie echa w kraju i w Europie wywołało jego przemówienie z 24 kwietnia 1938 r. na zgromadzeniu śląskiego okręgu Obozu Zjednoczenia Narodowego. Powiedział wówczas: „Zmienny jest rząd i zmienny jest skład parlamentu, zmienna jest ordynacja wyborcza do Izb Ustawodawczych i do instytucji samorządowych. Zmienny jest każdy element, który nie stanowi pionu egzystencji państwa i rozwoju sił narodowych, szczególnie zaś, gdy stanowić miał przeszkodę w dziele konsolidacji. Nie o pojedynczych ludzi bowiem idzie, ale o cały naród, nie o formy, ale o przyszłość wielkiego społeczeństwa i o wielkie założenia polityczne i gospodarcze” [AP, 184].

Wykaz skrótów

AP – Archiwum Polityczne Eugeniusza Kwiatkowskiego, wstęp, wybór i oprac. M.M. Drozdowski przy współpr. E. Kwiatkowskiej-Obąpalskiej, Warszawa 2002; ED – E. Długajczyk, *Sanacja śląska 1926–1939. Zarys dziejów politycznych*, Katowice 1983; EH – *Encyklopedia historii Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1999; EK – E. Kwiatkowski, *Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, Warszawa 1989; MD – M.M. Drozdowski, *Eugeniusz Kwiatkowski*, Rzeszów 2005; WS – *Województwo śląskie (1922–1939). Zarys monograficzny*, red. F. Serafin, Katowice 1996.

Poco rubato

Tak, tak, to jest to, to jest to tętno miasta,
to rubato zatknięte w tonach betonu.
W przeblaskach szyn crescendo, pył, to
przejechał tramwaj i gorący dmuch tchnie
w umarłe miasto, lecz duch wieje tam, gdzie chce.

Krajobraz miasta. W donicach z betonu
butelki, pożary, zamknięta paczka prezerwatyw –
powody nieistnienia, dowody istnienia. To jeszcze nie koniec
świata, jaki znamy, lecz jest już blisko, skoro
w nieodkrytych ajnfartach, pustostanach,

gdzieś w półotwartych drzwiach, w tym pęknięciu świata
pisze się więcej partytur niż zdążymy zagrać.

23:04

Jest dwudziesta trzecia, a w zasadzie
już cztery po, kiedy ruszamy w miasto.

Obłe kształty kamienic, zamglone okna, ostry
krawężnik oglądany z bliska. Błyska
latarnia, a w szybach tramwaju odbija się
zachód słońca, którego początek w mieście ogrodów
nie świeci już od kilku tygodni. My głodni
zapadamy się, zakładamy się sobie nawzajem
na szyję – zaplątani, splątani na trotuarze.
Zlepek przypadków, nic nieznaczących wydarzeń
przetacza się po torach. Odjechali.

Jest dwudziesta trzecia, a w zasadzie
już dziewięć po, kiedy ruszamy w miasto.

Nie widzę nic ponad to, czym teraz jesteś.
Wstrząs, spazm, skurcz, jęk. Głowę do tyłu
odciągam, podciągam włosy owinięte o lewą dłoń, bo prawą
podtrzymuję półmartwe ciało. Nie będziesz pamiętać
nic. Choć nic to i tak za wiele. Zawieje,
przestanie. I znowu lekki podmuch. Tak lekka jesteś.
Nie wstanę. W oddali słychać samotny dzwon. Złowieszczy, cichy
brzęk, dźwięk wysłany w przestrzeń, by bać się boga,
gdy trwoga, złowroga cisza zalegnie w mieście ogrodów.

Jest dwudziesta trzecia, a w zasadzie
już piętnaście po, kiedy – – – –

Sekunda mała

Nie umiem oddzielić światła od ciemności,
gdy blask latarni przesłania błyski gwiazd.
W kontury miasta mgła wkrada się ukradkiem
Rozcieńcza się w mroku spóźniony brząsk.

Nie umiem zagrać z nut melodii wszechświata,
odnaleźć starych mistrzów, rozczytać tabulatur.
Dlaczego wszyscy słyszą dusze trzewi,
a mnie pozostały dysonans i fałsz?

Wyzuci z wszystkiego, rozebrani

Wyzuci z wszystkiego, rozebrani
do samych siebie, sprowadzeni
z nieba do śluzu i śliny, i krwi,
i potu, i posmaku ziemi, pokryci
lepkim szelestem ciał, zaszydzi

w poszumie oddechów,
pośród westchnień, wetknięć, potarć,
szeptów, liżnięć, smagnięć, zmieszanych
języków, splątanych rąk, ciepłych
dłoni, opuszków palców, przywarci

kurczowo do krzyku zza paznokci
wbitych w skórę, w które
wierzymy jeszcze, że są, choć
powalane mokrą ziemią i niczym
więcej – niczym snem niczym.

Co było, co będzie

Ten krzyk, ten zgrzyt, gdy
brniemy w przód, w bród, w brud
i w krew, we łzy. We sny wejdz, śnij.
W dzień cień przysnie, błysnie

świt. Świt dni, kilka kropel, znów zgrzyt,
wieczoru. Z każdym zmierzchem spada w krąg
kurtyna mroku. Po zmroku wszystko
jest tak wielkie, a jakby tego nie było. Trach.

Strach wykłuwa oczy, choć była
to tylko łamana gałąź w poszyciu
miasta. Po krzyku w pokrzyku
krzyk. Po kroku krok, po mrok.

To dzieje się tu i teraz, nie tam,
nie kiedyś. Tamto odeszło, to dopiero
będzie, choć tylko czymś niewiele
więcej niż prochem. Trochę

szkoda, że świt rosą zasnuje ciała,
rozsunie powłokę nocy – gdy mogłem
w pościeli, w pół bieli zatracić siebie
w szczelinach pomiędzy słowami.

Wargi jeszcze drżą, gną
kant prześcieradła — — —

Po północy

Gdy noc weszła już nad miasto ogrodów,
na dobre, na złe, obojętne jak,
gdy przysłał cię tu sam nie wiem, kto –
gdy dzień, jak dzień, nade mną przepłynął,
jesteśmy tu wciąż jak kiedyś, jak dziś.

Gdy noc weszła w nas jak szept, jak strach
pod kołdrę, pod włos, cicho zaległa –
chodź, choć ciemno, chodź, choć chłód wśród nas –
gdy dzień, jak cień, nad nami przepłynął,
chodź do mnie, chodź, chodź i zostań po świt.

Jesteśmy, lecz czy nie nikim lub nie niczym
więcej niż sobą tu, teraz. Ten raz, ten jeden
raz, dwa – ciała, dwie – krople: potu i łez, bez
tchu, bez snu. Jak dwie krople wody w kielichu,
rozpuszczone w winie, nie mam nic, nie chcę nic, nic.
Niczego poza dotykiem, ponad kilka chwil, kilka mgnień
oka. Patrz, patrz na mnie. Jestem. Przeglądaj mnie
w lustrze, w wodzie zmaczonej kamieniem. Nic więcej
nie zdarzy się, niczego nie ma, nikogo nie będzie.

Czekając na świt

Listopad. Północ. Czas sam się odmierza.
Hałas z autostrady szturmując błony okien.
Półgębkiem w szyby zagląda księżyc,
zmagając się z mgłą. Poza tym nie ma nic,
jakby już nic nie pozostało, tylko czekać
w półmroku. W pół kroku
stąd do końca, do brzasku –
o ile słońca starczy, by jutro przebić się
przez mgły. Z daleka słysząc pociąg. Gwizd,
świst. Listopad.

Triole

Po ulicach hula wiatr. Po szybach deszcz wali.
Miasto zamilkło w nocnym rozedrganu triol.
Elektryczne trzaski mokrej trójki,
ostatni nocny kurs tramwaju.

Zdmuchnięci, zamknięci, pęknięci na pół,
na fortepianie w zamkniętym klubie
szepczemy coś sobie bez słów, bez snów.
Półoddech, półbieg, trzy dźwięki, krzyk, szept, jęk.

Czułość

W kolejce po czułość zmieszaną w smaku chleba,
po dotyk rozmyty w samotnej łzie i zapach wpisany
w okruszki śniegu, po ledwie słyszalne strzępki słów,
jak kocham, przepraszam, nie warto było, po kilka
spojrzeń, mgnień oka, po pragnienie wetknięte
w niedbałe wersy, wklepane w telefon –

jesteśmy, póki jest po co.

W wieczornej suchocie, z oczami w piasku

Jesteśmy tu sami, tu, na tym rozstaju,
pośród łąk bez kwiatów, bez niczego, co
mogłoby chwiać się na wietrze. Spragnieni

jesteśmy bardziej wody niż wina,
świeżego mięsa bardziej niż komunii,
grubych sandałów bardziej niż bielizny. Tak,

jesteśmy tu, na tym rozdrożu, gdzie każda z dróg
prowadzi donikąd, a ta, którą przyszliśmy,
znikąd, zza chmury piasku. Tutaj

jesteśmy sobie pisani wśród skarg i zażaleń,
których nikt nie zdąży rozpatrzeć, nikt
nie będzie chciał wysłuchać.

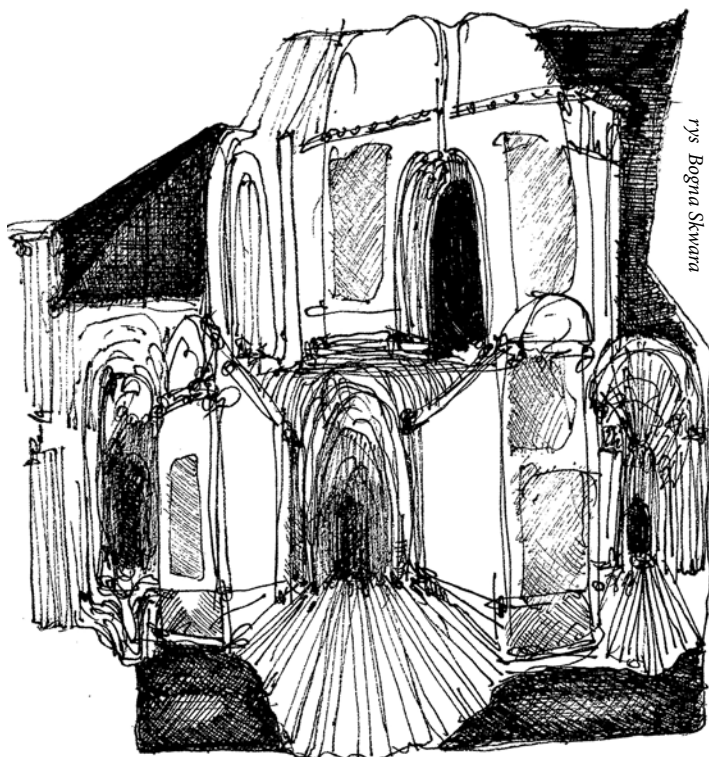
Nie wiem, gdzie mieszkasz, nie wiem,
kim jesteś, nie znam imienia. Przychodzisz,
gdy śpię i co rano szepczesz do ucha

co mogłabyś namalować, gdybyśmy znali się lepiej.
To brzmi inaczej niż wszystko i kiedy wreszcie wstaniesz
chciałbym włożyć ci w usta marzenia. Szepcz mi je co rano.

Co dano raz, tego nie zabiorą, lecz dwa razy mieć, to więcej.
Co jest, jest, lecz tylko między słowami.

Dotknij mnie do żywego, nadzieję mnie, nabierz
mną świata. Niewysłowione, niewyśnione może być
dobrą nowiną głoszoną po cichu, tylko tobie do ucha.

Pochwyć mnie w pół słowa, włóż sobie
pod język jak święty opłatek, obola lub nitro.
Poczuj w ustach jak co rano tężeje mój strach.



Zofia Kossak – publicystka i reportażystka

MIROSŁAWA PAŁASZEWSKA

Wszyscy znamy Zofię Kossak jako autorkę powieści. Mało kto ma świadomość, że poczynawszy od 1912 roku, przez cały okres międzywojenny, lata II wojny światowej i także później pisywała artykuły do prasy. Część z nich doczekała się wydań książkowych.

Zadebiutowała w 1912 roku opowiadaniem *O wilku mowa*, na łamach redagowanego przez Kazimierza Laskowskiego dwutygodnika ilustrowanego „Wieś i Dwór”. W 1912 i 1913 roku ukazały się jeszcze dwa opowiadania opatrzone wspólnym tytułem *Sylwetki przyjaciół (Odzyskany, Kuczechł)*. Jednocześnie w tym samym czasie ukazuje się jej *Korespondencja z kresów* (sygnowany kryptonimem: Z) na temat ludu wołyńskiego (1913 z. 5–6 s. 28–30) i tekst *Z Podola* podpisany: Podolak. Kolejne teksty zaczęły ukazywać się dopiero od 1920 roku. „Słowo Polskie” ukazujące się we Lwowie opublikowało jej tekst *Stare kantyczki. Zapomniane skarby*. W latach późniejszych jej teksty publikował krakowski „Czas”, warszawski „Kurier Poranny”, „Kurier Warszawski”, „Dziś i Jutro”, „Wiadomości Literackie”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Na Tropie”, „Tęcza”, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Kurier Literacko-Naukowy”, „Strażnica Zachodnia”, „Gość Niedzielny”, „Prosto z Mostu”.

Pierwszy reportaż Zofii Kossak, który powstał w Wilnie 18 IV 1924, ukazał się na łamach krakowskiego „Czasu” 27 IV 1924 roku i nosił tytuł *Problem Ziemi Wschodnich*. Autorka podkreślała złożoną sytuacją na ziemiach wschodnich. „Kiedy wojska polskie i polskie władze okupacyjne obejmowały ziemie wschodnie, to pomimo długoletniego rosyjskiego ucisku polska kultura i polski język miały duży urok w oczach miejscowej ludności, cała inteligencja nie napływała była prawie wyłącznie pochodzenia polskiego, znaczna część ludności włościańskiej była polska, a chłop białoruski katolik lgnął do kultury polskiej i mówił chętnie po polsku; jedynie chłop prawosławny pod wpływem swego duchowieństwa odsuwał się od polskości, a gdzie skutkiem kon-

fiskat i przymusowych sprzedaży zabrakło dworów polskich, ludność systematycznie russyfikowana, zapomniała języka polskiego”. Stwierdza, że panuje przekonanie, iż dotychczasowy system stosowany przez władze polskie wydaje niepomysłne rezultaty. Autorka wskazuje na problemy w sądownictwie i administracji. „...prawie cały polski aparat administracyjny składa się z nowicjuszy, uczących się administracji in corpore vili. (...) Wśród niższych organów admini-

oiczyzny bibliofilów. Kobiety nosiły się po śląsku i ten szlachetny strój podnosił nadzwyczajnie ich urodę. Gdy w niedzielę ciągnęły do kościoła w Górkach przez wysoką ławę (mostek dla pieszych) na Brennicy, w śnieżnych bufiastych ka-botkach, wyszywanych złotem renesansowych żywołkach, w szeleszczących jedwabim fartuchach i chustkach – gdy to wszystko skrzyło się i mieniło w słońcu – oczu nie można było oderwać. Obyczaj panował stary, a sporadyczne wy-bryki potępiała surowo zwarta opinia. Ludzie pogodni, życzliwi, mówili gwarą pełną staropolskich słów. Kradzieże zdarzały się bardzo rzadko i były przedmiotem zgorszenia. (...)

Przyroda była wspaniała i sobiepańska. Rzeki i liczne potoki bogate w pstrągi, skakały z wesołym pluskiem po kamieniach i zmieniały koryto ilekroć im się tego zechciało. Po każdej serii deszczów w górach te niewinne strugi zmieniały się w żywioł niszczący. Lasy obfitsze niż teraz [tekst pisany w 1960 roku], stały pełne dostojnej powagi. Brudne papiery i rozbite butelki nie zaśmiecały każdej ścieżki i polany. Poznać ten kraj, a nie pokochać go, było niemożliwe” (Z. Kossak, *Jak się stało, że Morcinek nazywa mnie matką chrzestną?* W: *Gustaw Morcinek. w siedemdziesięciolecie urodzin*. Katowice 1961, s. 16–19).

Zofia Kossak jest autorką wielu opowiadań o Śląsku. Część z nich opublikowano w tomie *Wielcy i mali* (1927), *Nieznany kraj* (1932). W 1930 roku na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” ukazały się cztery artyku-

ły poświęcone Śląskowi. Były to: *Listy ze Śląska*. (1930 nr 16, s. 303–305), *Skrzywdzone miasto* [Cieszyn] (nr 19, s. 360–361), *Wzdłuż granicy* (nr 23, s. 443–444), *Alchemia na wielką skalę: (w kraju pracy)* [Chorzów] (nr 41, s. 859–861). Problematyce śląskiej poświęcone były też teksty, które ukazały się w roku następnym w wychodzącym w Krakowie „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, którego założycielem i redaktorem naczelnym był Marian Dąbrowski.

Autorka „przeprowadziła specjalne studia nad położeniem ludności pol-



Zofia Kossak-Szatowska (Szczucka)

ur. w 1892 r.

Powieściopisarka i nowelistka. Utwory wydane: „Pożoga”, „Beatum scelus”, „Kłopoty Kacperka”, „Wielcy i mali”, „Złota wolność”, „Szaleńcy boży”, „Z miłości”, „Legnickie pole”, „Dzień dzisiejszy”, „Nieznany kraj”.

stracyjnych jest dużo ludzi spoza ziem wschodnich, którzy dużo złego robią skutkiem nieznajomości stosunków...”

Sprawy ziem wschodnich leżały jej na sercu. Na Wołyniu spędziła lata 1910–1919. Potem zamieszkała we Lwowie. Po śmierci męża Stefana Szczuckiego w 1923 roku przeniosła się do rodziców na Śląsk Cieszyński do Górek Wielkich. Śląsk pokochała. „Cudnyż mi się wydał ten kraj. Piękny on jest (...) stosunki panowały tutaj patriarchalne, prymitywne, lecz nacechowane swoistą kulturą, charakterystyczne dla ziemi cieszyńskiej,

skiej pod zaborem czeskim, oderwanej od ojczyzny i osiedlonej dziś po tamtej stronie granicy. Spostrzeżenia swoje, oparte o bezpośrednie obserwacje i wielokrotne zetknięcie się z polską ludnością”.

Artykuły te noszące wspólny tytuł „Ja jestem Czech... mój ojciec Czech...” przedstawiały los Polaków na Śląsku „czeskim”, co – jak pisała redakcja – wywołało atak furii wśród szowinistów czeskich. Pierwszy artykuł z tej serii ukazał się 5 listopada i nosił podtytuł *Czeskie słupy graniczne w żywym sercu Polski* (1931, nr 306, s. 1–2). Granicę polsko-czeską określono w 1920 roku. Decyzją Rady Ambasadorów – bez plebiscytu – poza Polską znalazły się powiaty fredecki, bogumiński, ostrawski, frysztański, jabłonowski i dwie trzecie cieszyńskiego. Polaków zmuszano, aby posyłać dzieci do czeskiej szkoły. Autorka przytacza tu przykład wsi górskiej Łomna, gdzie wieś odmówiła temu żądaniu. Zabroniono więc im pracy przy zwózce drewna i sprowadzono Słowaków. W efekcie 40 górali pojechało do Czech na zarobek. Po jakimś czasie ich żony zapisały dzieci do polskiej szkoły. Jak się mężowie dowiedzieli, powrócili do Polski, zabrali dzieci i odprowadzili do polskiej szkółki. Ostatecznie dzięki staraniom polskich posłów sprawa stała się głośna i Polaków z powrotem przyjęto do pracy.

Kolejny artykuł ukazał się następnego dnia 6 listopada (*Ponura litania gniebionych Polaków*, nr 307, s. 2–4). Pisarka przedstawiła w nim niedzielę polskiego dziecka, w którego umysł wbija się nieustannie nienawiść do Polski wraz z codzienną „litanią”: Ja jestem Czech... mój ojciec Czech... Dowiadujemy się, że Polak, przyznający się do swojej narodowości nie może marzyć o wyższym stanowisku jak prostego robotnika – nie może otrzymać żadnej posady, żadnej koncesji. Okazuje się, że w czasie spisu ludności komisarz namawiał, by mieszkańcy po-



dawali się jako: śląska. Potem sam dopisywał: Czech. Jeżeli nie wymusili na komisarzu zapisu: Polak-Ślązak, zostawał wpisany jako Ślązak Czech, następnie „dla uproszczenia” wykreślano Ślązaka i pozostawał Czech. Nie wszyscy Polacy mieli świadomość takiej manipulacji.

Trzeci artykuł (*Trzy potężne fortece bronią polskości „czeskiego” Śląska*, nr 308, s. 2) przedstawiał twórcze wysiłki społeczeństwa polskiego, zjednoczonego z obronnej walce z czechizacją. „W chwili podziału Śląska na terenie przyznanym Czechom istniało 12 kół Macierzy Szkolnej, utrzymujących z trudem kilka szkół i gimnazjum w Orłowej, subwencjonowane przez rząd austriacki w wysokości ½ kosztów. (...) Macierz Szkolna liczy obecnie 85 kół, a utrzymuje sama bez żadnej pomocy: gimnazjum Orłowskie, dwie bursy, 9 szkół wydziałowych, dwie gospodarcze, 87 powszechnych i 53 ochronki. Mogą one istnieć dzięki składkom robotników i górników i nielicznej inteligencji. Wszyscy Polacy tam mieszkający należą do Macierzy.

Te trzy artykuły zostały przedrukowane w wydanej w Cieszynie w 1932 roku *Kronice Śląska Cieszyńskiego i powiatów: Biała, Żywiec* na stronach 77–93 pt. *Czeskie słupy graniczne w żywym sercu Polski*.

19 grudnia 1931 rozpoczęto druk artykułów Zofii Kossak o Śląsku Opolskim.

„W artykułach tych autorka opisywała dolę i niedolę polskiego ludu żyjącego pod niemieckim panowaniem na niemieckim Śląsku”. Podkreślała, że „Nigdzie bowiem, na żadnym bodaj skrawku ziemi antagonizmy rasowe nie osiągnęły takiego nasilenia jak tu, na Śląsku Opolskim. Bezskuteczność prowadzonej od tysiąca lat walki, doprowadziła umysły germańskie do psychozy stanu patologicznego graniczącego z obłędem. Nienawiść do polskości stała się wiarą, wyznaniem, celem, zatopiła elementarne poczucie prawdy dziejowej i dzisiejszej rzeczywistości”. A na Śląsku milion ludzi mówiło tylko po polsku. Autorka wspomina o wielu przypadkach napadu niemieckich bojówek na polskie instytucje (zob. Z. Kossak, *Pruski obuch nad piastowską ziemią opolską*, „Ilustrowany Kurier Codzienny” 1931, nr 350, s. 1–3).

Kolejny artykuł opublikowany 21 grudnia był poświęcony szkolnictwu na Śląsku Opolskim. „Na podstawie konwencji genewskiej Niemcy zmuszeni byli otworzyć tzw. Szkoły mniejszościowe, czyli polskie. Do szkół tych dali nauczycieli Niemców. Niemcy uczyli po polsku, o Polsce! Uczyli obłudnie, każdym słowem wpajając pogardę dla niej i nienawiść”. Okazuje się, że dzieci uczęszczające do tych szkół stały się ofiarą niemieckiego terroru. Zarówno dzieci jak i ich rodzice spotykają się z docinkami, wyzwiskami szykanami i różnymi przykrościami. Np. dzieci niemieckie spały na nich piasek, wyrastki z brunatnych koszulach oblewały ich ubrania atramentem lub nieczystościami, tłuczono kamieniami szyby w polskich domach. Zdarzały się przypadki pobicia polskich nauczycieli. Z 37 szkół mniejszościowych pozostało 25, a liczba dzieci doń uczęszczających spadła drastycznie z 927 do 302. (zob. Z. Kossak, *Czujna straż polskości na „zapomnianej” ziemi*, „Ilustrowany Kurier Codzienny” 1931, nr 352, s. 2–3).

W trzecim ostatnim artykule omówiła walkę polskiego ludu górnośląskiego o wiarę ojców i narodowość. „Liczni bowiem księża niemieccy, będący pod wpływem nacjonalistów walczą wbrew naukom i duchowi kościoła zaciekle z polskością” (przyp. Redakcji). Ostatnim etapem podróży pisarki było sanktuarium na Górze Św. Anny czyli śląska Jasna Góra.



Górkę, dwór Kossaków

Przedstawiła także sylwetki księży działaczy narodowych: ks. Klimasa, ks. Melza i ks. Koziołka.

Apelowała o „jak najrychlejsze otwarcie polskiego gimnazjum w Bytomiu... Z niego by wyszły szeregi młodej, polskiej inteligencji. Znalazłby się wśród nich i spory odsetek księży, polskich księży. Urzeczywistnienie tego imperatywu nie zdaje się trudnym! To co najważniejsze, najkosztowniejsze – pomieszczenie dla gimnazjum i bursy już jest. Mogłoby być otwarte z początkiem przyszłego roku szkolnego – brakuje jeszcze tylko 200.000 marek. 200 marek! Cóż to znaczy, gdyby się na nie złożył 30 milionowy naród! Ojczyzno! Mniej o jeden brzydki, nikomu niepotrzebny pomnik w Warszawie, o jeden zbiór chłuszczyny w Krakowie – w każdym domu mniej o jedną bytność w kinie, bodaj o jednego papieża! Nie powtarzajmy starych błędów historycznych. Cudzego nie chcemy, naucmy się jednak nareszcie dbać o to, co nasze i bronić tego co swoje” (Z. Kossak, *Cudzego nie chcemy, ale musimy bronić co nasze*, „Ilustrowany Kurier Codzienny” 1931, nr 355, s. 1–3).

Akcja ta spotkała się z żywym odzewem wśród polskich czytelników. „Ilustrowany Kurier Codzienny” donosił 6 czerwca roku następnego, że akcja składkowa zatacza coraz szersze kręgi. Na adres redakcji cały czas wpływały składki z różnych sfer społeczeństwa, „w pierwszym rzędzie zaś z kresów, gdzie poczucie niebezpieczeństwa narodowego, grożącego naszym rodakom zza kordonu pruskiego – jest najsilniej rozwinięte”. We Lwowie powstał międzypartyzyszeniowy komitet pomocy dla bytomskiego gimnazjum.

Otwarcie pierwszego polskiego gimnazjum w Niemczech odbyło się – jak donosiła „Strażnica Zachodnia” – 8 listopada br. [1932] w Bytomiu na niemieckim Górnym Śląsku. Otwarcie tego jedynego zakładu średniego mniejszości polskiej w Niemczech poprzedzone było długoletnimi zabiegami i staraniami władz kierowniczych polskich organizacji mniejszościowych w Niemczech” (zob. *Gimnazjum polskie w Bytomiu*, „Strażnica Zachodnia” 1932, nr 21–22, s. 4–5).

Pisarka w swoim reportażu wspominała ks. Karola Koziołka z Grabiny, otoczonego szacunkiem i czcią ludności, który poświęcił gmach liceum i złożył życzenia pomyślnego rozwoju pierwszemu polskiemu gimnazjum w Niemczech.

Tematykę Śląska poruszyła w książce *Laska Jakubowa (Jakobstat). Wrażenia z V jamboree w 1937 r.* Warszawa 1938 Towarzystwo Wydawnicze „Rój”. Na ten zlot skautów jechała samochodem wraz z działaczami harcerskimi Marią i Henrykiem Kapiszewskimi. Na przejazd przez terytorium Niemiec mieli trzy dni. Udało im się po drodze odwiedzić na Śląsku

obóz harcerski, który stał się obozem wędrownym, albowiem członkowie Gestapo przyszl do nich w Kolankowicach z nakazem likwidacji obozu. Harcerze odwołali się w Opolu i uzyskali zezwolenie na rozbięcie obozu z Taciszowie niedaleko Gliwic. Sytuacja się powtarza. Harcerze są nieugięci. Wędrują z powiatu do powiatu. Po nagłośnieniu sprawy otrzymują wreszcie zezwolenie na pozostanie w Myślinach w powiecie oleskim. Harcerstwo polskie w Niemczech rozwijało się prężnie. W 1935 roku liczyło 700 członków, dwa lata później było ich już 2.500. Kapiszewscy i Zofia Kossak odwiedzili jeszcze obóz harcerek w Toszku.

W maju 1936 roku ponownie znalazła się w Wilnie i uczestniczyła w uroczystościach pogrzebu serca marszałka Józefa Piłsudskiego do grobu jego matki na cmentarzu na Rossie.

Marszałek Józef Piłsudski zmarł 12 maja 1935 roku w Warszawie. Niezwłocznie po śmierci wyjęto z ciała serce i mózg. Jego śmierć wywołała smutek w całym kraju. Maria Dąbrowska pisała: „Trumna Józefa Piłsudskiego, która przez tydzień widzialnie ciążyła nad Polską, stała jednocześnie jak gdyby w domu każdego z nas. Póki nie przeżyło się tego ciosu, trudno sobie wyobrazić, że śmierć tak najdoskonalej publiczna, śmierć Wodza, wskrzesiciela i odnowiciela państwa może być do tego stopnia wstrząsającym przeżyciem prywatnym i osobistym” (M. Dąbrowska, *Elegia*, „Wiadomości Literackie” 1935, nr 23, s. 8). Marszałek został pochowany 18 maja 1935 w krypcie św. Leonarda. Trzy tygodnie po jego śmierci sprowadzono do Wilna proch jego matki Marii Piłsudskiej, pochowanej w Sugintach. Urna z sercem Józefa Piłsudskiego została początkowo zamurowana w ścianie kościoła św. Teresy w Wilnie. W pierwszą rocznicę śmierci jego serce zostało złożone do grobu matki na wileńskim cmentarzu na Rossie. Na czarnej granitowej płycie umieszczono pośrodku wizerunek krzyża i napis: MATKA I SERCE SYNA. U góry cytata z poematu Wacława Juliusza Słowackiego: „Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą / Za innych śladem iść tą samą drogą. Na dole fragment z *Beniowskiego* Słowackiego: „Kto mogąc wybrać, wybrał za miast domu / Gniazdo na skałach orla, niechaj umie / Spać, gdy źrenice czerwone od gromu / I słyhać jęk szatanów w sosen szumie. / Tak żyłem”.

Na ten drugi pogrzeb przybyli Polacy ze wszystkich stron kraju Tekst Zofii Kossak *Matka i Serce* został opublikowany na łamach „Gazety Polskiej” (1936, nr 139, s. 3–4) i przedrukowany w „Na Tropie. Piśmie młodzieży harcerskiej” (1936, nr 10, s. 11–112). Pisała m.in. „Wilno przygotowało się na dwadzieścia tysięcy przyjezdnych. Nie zabraknie dla nikogo strawy i posłani. (...) Ulice, który-



mi jutro przejdzie kondukt żałobny, są już ustrojone. Z wysokich gęsto nabitych słupów powiewają wstęgi Virtuti Militari i Krzyża Niepodległości. Modrzą się i czerwienią na przemian, niekończąca się chwalebna aleja”. We wtorek 12 maja 1936 „Mur widzów zaległ trybuny, dachy, ulice i okna. Defiluje wojsko, artyleria, pułki piesze, konne, podchorążacy... Pustą przed chwilą brukowaną kocimi łbami przestrzeń ulicy, obrzeżoną wstęgami orderów, wypełnia teraz szary bruk hełmów, plecaków. Konie grzeją się i pocą. Rzemienie i siódła skrzypią. Artyleria podzwania miarowo. Małe dobozyszyki wybijają werbel, trębacz trzymają zmkłe trąby tuż przy ustach. Zachwycone oczy tłumu wpatrują się w nadchodzących. (...) Niekończący się wąż sunie przez zastygłe, zapatrzone miasto. Cisza, cisza... Wszelkie życie zamarło. Przestrzeń między murami domów, a kordonem żołnierzy jest wypełniona tak ściśle, że nie przeciągnąłbyś igły. Ludzie ci stoją milczący i patrzą” (Z. Kossak, *Matka i Serce*, „Na Tropie” 1936, nr 10, s. 110–112).

W 1938 roku Śląsk Zaolziański znalazł się w granicach Polski. Temu wydarzeniu poświęciła artykuł *Po dniach uniesień* („Kurier Warszawski” 1938, nr 291, s. 10–11). „Wśród pierwszych [refleksji] górowały дума i zachwyt nad armią. Naszą armią, której zawdzięczamy Śląsk. Nie odzyskałyby go ani dyplomacja, ani manifestacja społeczeństwa, gdyby nie jakość armii. To jej postawa bojowa, gorąca chęć walki o skrawek zaolziańskiej ziemi, przekonały wszystkich o bezowocności oporu. To zapal żołnierzy, rwących się do bitwy, dygocących z niecierpliwości przełamał upór Pragi. Odnieśliśmy najpiękniejsze, bo bezkrwawe zwycięstwo – właśnie na wskroś pokojowe – dzięki temu, że armia nasza mało znajduje sobie równych” Pacyfistom odpowiadała, „że tylko ten może być pewny pokoju, kto posiada silną armię. Jedynie najlepszy żołnierz wygrywa bitwy bezkrwawe” (Z. Kossak, *Po dniach uniesień*).

Pochwała Zygmunta Brachmańskiego Honorowego Obywatela Katowic

JAN MALICKI

Dziękując za zaszczyt przedstawienia Wysokiej Radzie miasta Katowice sylwetki Pana Zygmunta Brachmańskiego, muszę – na początek – podziękować jeszcze za dwie rzeczy. Pierwsza – to ogromna moja satysfakcja, że mogę mówić o człowieku, którego znam od lat, cenię i zwyczajnie po ludzku szanuję. Druga – to moja pokora wobec dokonań wielkiego artysty o imponującym dorobku. Ten dorobek to dla laudatora istne zmartwienie. Co wybrać, by przekonać Wysoką Radę o niezwykłości dokonania Artysty? Proponuję wirtualny, na zasadzie *pars pro toto*, spacer po Katowicach.

Już wychodząc z Urzędu Miasta na Rynek, mamy w zasięgu wzroku „Pomnik Harcerzy Września 1939 roku”, upamiętniający też nauczyciela, a zarazem komendanta śląskiej chorągwi, zgilotynowanego 14 sierpnia 1942 roku w katowickim więzieniu. Skracając na zachód, trafiamy do Akademii Muzycznej, wspaniale odrestaurowanego dawnego budynku pierwszego, przedwojennego Sejmu Śląskiego, a w nim popiersie Karola Szymanowskiego, przy którym wszyscy absolwenci obowiązkowo się fotografują. Za Akademią – Biblioteka Śląska, którą otwierał premier Jerzy Buzek w roku 1998. W niej już zobaczyć można popiersia wielkich Ślązaków, a także kolekcję statuetek towarzyszącym wielkim wydarzeniom kulturalnym: Śląski Wawrzyn Literacki, *Amicus Librorum*, Guliwer w krainie Liliputów. Tę nagrodę otrzymały m.in. Wanda Chotomska, Joanna Papuzińska. Wracamy na pl. Sejmu Śląskiego, mijając po drodze „Obelisk Orłów Śląskich”, wzniesiony w miejscu, w którym stało przedwojenne Muzeum Śląskie. Na samym placu trudno nie dostrzec pomnika Wojciecha Korfante-go. Człowieka, który w plebiscycie „Gazety Wyborczej” na Ślązaka tysiąclecia, zajął pierwsze miejsce, a w Instytucji – Katowice Miasto Ogrodów umieszczone zostało popiersie niezapomnianej Krystyny Bochenek.

To nie koniec naszej peregrinacji po mieście. Jesteśmy w Archikatedrze. W tym dostojnym miejscu znajdują się też i inne ślady artystycznych działań Zygmunta Brachmańskiego. To niezwykle dramatyczna, choć surowa w formie, „Droga Krzyżowa” i płaskorzeźba przedstawiająca pierwszego katowickiego biskupa, z czasem prymasa Polski, kard. Augusta Hlonda. Jednak katowiczanie nazwisko Artysty bardziej kojarzyć będą z ołtarzem na katowickim lot-

nisku podczas pamiętnej pielgrzymki do kraju papieża Jana Pawła II w roku 1983.

Ale jest w naszym mieście jeszcze jedno miejsce, miejsce magiczne, w którym powstawały i te wielkie monumenty, i nie-zwykle statuetki, ale i zachwycające swoją urodą medale. To jego pracownia. Dziś pod opieką Bogumiła Burzyńskiego, równie oryginalnego twórcy, kontynuującego poczynania artystyczne Mistrza, kustosza jego dokonań. Znalazłem w jednym z albumów znakomity opis tego miejsca. Oto on: „Niby zwykłe drzwi do jakiegoś zwykłego pomieszczenia... Jeśli jednak ktoś nie był tu wcześniej i nie wie, czego się spodziewać, nie ukryje zaskoczenia. W bardzo wysokim i rozległym pomieszczeniu, z każdej strony atakują nas bryły. Niektóre jeszcze bezkształtne, inne z wyraźnie zarysowanym zamysłem artystycznym. Różnej wielkości, w różnym odcieniu, podkreślonym przez światło wpadające przez ogromne okna. Minie kilka chwil, zanim odnajdziemy się w pracowni Zygmunta Brachmańskiego. On jednak porusza się wśród swoich rzeźb naturalnie, jak między znajomymi. Choć pracuje z wyraźnym «zaciętrzewieniem». Bo rzeźba, jak mówi, zawsze jest zmaganiem z materią. I nie ma znaczenia, czy to kilkunastometrowy pomnik czy małeńka statuetka. Rzeźba rodzi się długo; od pomysłu, przez projekt i odlew, po ostateczny kształt. Gdy opuści pracownię Zygmunta Brachmańskiego – miejsce niezwykle, choć położone przy spokojnej ulicy w centrum Katowic – dopełni ją przestrzeń, w której stanie” (Henryka Wach-Malicka). Od siebie dodam, że właśnie wtedy rzeźba zmienia też i swój status, dopełniając dominującą funkcję estetyczną innymi, równie ważnymi, społecznie użytecznymi, stając się np. punktem orientującym w topografii miasta.

Jeszcze inną rolę spełniały medale; przyjacielskie, uświetniające przyjaciół, jak słynny „zaorek”, przypominający znakomitego aktora sprzed lat – Ryszarda Zaorskiego, czy dostojne w swej naturze statuetki takie, jak: „Laur Konrada”, wręczany w ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje”, czy „Śląski Wawrzyn Literacki” przyznawany za najciekawsze książki poprzedniego roku. Laureatami są m.in. Tadeusz Różewicz, Olga Tokarczuk, Ryszard Kosiński. Medale i statuetki wykonane przez Zygmunta Brachmańskie-

go, wręczane laureatom festiwalu i konkursów stają się miłym wspomnieniem z naszego miasta. Wpisują się jednak na zawsze w biografię artystyczne laureatów. A przez to stają się czymś na kształt ambasadorów ponadlokalnych przedsięwzięć kulturalnych Katowic. Ukazują też swoim mikrobytem zupełnie inne, nowe oblicze miasta. Jakże odległe o krążącego od lat stereotypu.

Łatwo więc, spacerując po mieście, dostrzec ślady artystycznej obecności Zygmunta Brachmańskiego, rozmawiać o zrealizowanych wizjach artystycznych zawsze zanurzonych w przeszłości historycznej miejsca, odchodzenia od naturalistycznego weryzmu przedstawionych postaci w kierunku uniwersalności. Wielkiej metafory artystycznego trwania. Tego wyróżniającego prawdziwego artystę *signum*. Twórczego podpisu, a jednak często bez podpisu. Ale Artysty nie da się sprowadzić wyłącznie do tej roli. Jest człowiekiem nad wyraz wyrazistym, od pierwszego spotkania, pierwszej rozmowy, pierwszego uścisku dłoni. „Na co dzień – posłużę się słowami Tadeusza Kijonki – jest człowiekiem o ujmującej serdeczności i bezpośredniości. Wysoki, barczysty, z mocno spracowanych dłoniach, z twarzą jakby stworzoną do uformowania dłutem «głowy rzeźbiarza», jest Zygmunt Brachmański wtopiony od lat w pejzaż Katowic i wydarzeń kulturalnych miasta. Jego wyrazista śląskość odczuwana jest także w intonacji i artykulacji, w tym jak mówi i reaguje człowiek w obcowaniu naturalny – z otwartymi ramionami przy powitaniu. To również wymowne jako bezpośrednie świadectwo, kim jest w swojej sztuce”.

Dziś – Wysoka Rado – honorują Państwo najwyższym wyróżnieniem, jakim w imieniu wszystkich mieszkańców, Miasto przyznać może Artystę wybitnemu, rozpoznawalnemu poprzez realizowane wizje twórcze, nade wszystko zaś Człowiekowi skromnemu. Powraca do mnie, niczym refren dawnej piosenki, Cyceronowa maksyma „*sum cuique*”, która w wolnym tłumaczeniu brzmi tak: „każdemu, kto na nią zasłuży”. To pochwała wyboru Państwa i podziękowanie za dzisiejsze święto. ■

Laudacja wygłoszona na uroczystej Radzie Miasta Katowic z okazji wręczenia Zygmuntowi Brachmańskiemu tytułu Honorowego Obywatela.



rys. Bogna Skwara

EDNA ST. VINCENT MILLAY
Przełożył ANDRZEJ SZUBA

WIOSNA

I po cóż ty znowu wracasz, kwietniu?
Uroda to nie wszystko.
Już mnie nie uspokoisz czerwienią
Leniwie puszczejących listków.
Wiem, co wiem.
Słońce grzeje mi kark, a ja
Obserwuję pręciki krokusów.
Jak cudowny jest zapach ziemi.
Widocznie śmierci nie ma.
Ale co to oznacza?
Nie tylko pod ziemią robactwo
Karmi się ludzkim mózgiem.
Samo życie
Jest niczym.
To pusta filiżanka, goła klatka schodowa,
Nie wystarczy, że rok w rok, tym wzgórzem,
Schodzi kwiecień
I jak idiota bełkocze i rozsypuje kwiaty.

Edna St. Vincent Millay (1892–1950), poetka amerykańska, trzecia kobieta, która zdobyła nagrodę Pulitzera w kategorii poezja za tomik *The Harp-Weaver, and Other Poems* (1923). Opublikowała nadto m.in. *The Buck in the Snow, and Other Poems* (1928), *Wine from These Grapes* (1934), *Collected Sonnets* (1941)



AMY LOWELL
Przełożył ANDRZEJ SZUBA

Wytryskując z ust kamiennych posągów,
By rozlać się beztrząsco pod niebem,
W basenach o granitowych krawędziach,
Gdzie tęcza zwilża im stopy
I szepcze do przelotnego wiatru,
Woda napętnia szmerem ogród pośród
Cichych, krótko przystrzyżonych trawników.

Woń wilgotnych paproci w kamiennych tunelach,
Gdzie ciurkają i pluszczą fontanny,
Marmurowe fontanny, pożółkłe od obfitości wody.

Woda – rozbryzgując się na zmatowiałych
Od mchu stopniach – opada;
I powietrze wodą pulsuje,
Jej bulgotem i pędem, jej spazmami
I głębokim, chłodnym pomrukiem.

A ja pragnęłam nocy i ciebie,
Chciałam cię oglądać w basenie,
Biel i blask w cętkowanej srebrną wodzie,
Gdy wysoko na łuku nocy,
Nad ogrodem wędrował księżyc,
A wonne bzy ogarniał wielki spokój.

Noc i woda, i ty, bielusińska, w kąpielu!

Amy Lowell (1874–1925), poetka amerykańska, uczestniczka anglo-amerykańskiego ruchu imagistów. Opublikowała zbiory *Sword Blades and Poppy Seed* (1914), *Men, Women and Ghosts* (1916), *Pictures of the Floating World* (1919), *Legends* (1921) oraz *What's O'Clock* (1925; Nagroda Pulitzera). Pośmiertnie ukazały się *East Wind* (1926) i *Ballads for Sale* (1927). Jest również autorką krytycznoliterackich prac *Six French Poets* (1915) i *Tendencies in Modern American Poetry* (1917), a także wydanej w 1925 biografii angielskiego poety romantycznego Johna Keatsa.

WILHELM SZEWCZYK

Dziennik 1937 (9)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

Wtorek, 23 lutego.

Ogłoszona w niedzielę przez radio, a wczoraj w prasie deklaracja ideowo-programowa płk. Koca interesuje wszystkich¹.

Jedno jest dobre: Koc opiera program konsolidacji społeczeństwa pod sztandarem jednej partii na zasadach czyisto narodowych i na zasadach religii katolickiej. W stosunku do Żydów jest stanowczy o tyle, o ile uważa za słuszne narastanie narodowego samopoczucia gospodarczego po wsiach i miastach.

Ciekawym, czy do akcji Koca przystąpi Stronnictwo Narodowe. Sądzę raczej, że nie. Chociaż niespodzianki dzisiaj są zupełnie naturalnym zjawiskiem i dlatego zupełnie możliwe.

Nie mówiłem jeszcze o tym wszystkim z Czernym. A przecież on na pewno stanie od razu za Kocem. Jest gorącym zwolennikiem ideologii „Zaczynu”, a pismo to jest niczym innym jak pionkiem Koca na szachownicy politycznej Polski².

Władek naturalnie przeszedł nad deklaracją Koca zupełnie obojętnie do porządku dziennego. Nie mogę go zrozumieć. Jego w ogóle nie interesuje ani polityka, ani literatura, ani współczesność. Chyba, chyba... dziewczyny (naturalnie pojęte jako „materiał”).

Wybadam Rysia, co sądzi o Kocu (określam jego nazwiskiem program ideowy nowego obozu). Jako handlowiec powinien się zainteresować stosunkiem Koca do kwestii żydowskiej, a co za tym idzie – do problemu gospodarstwa i handlu narodowego.

W Czerwionce na ogół nie komentuje się tego faktu. Plakaty z tekstem deklaracji stoją osamotnione w szybach wystaw i na murach kopalni. Robotnicy na pewno mówią podobnie jak mój ojciec, że „to wszystko jeno szumne programy, które robotniczego życia nie ulepszą”.

Do akcji Koca zgłosił swój akces ZHP. A więc tym samym do pracy tej zostałem i ja wciągnięty. Chyba dlatego metody pracy harcerskiej doznają pewnych zmian. Zobaczę!...

Gazeta wielkimi czcionkami wypisała: „W Polsce nie ma miejsca na komunizm”. Obok tego jest podobizna płk. Koca. Łysawy mężczyzna o gładkiej twarzy z wielkimi okularami, zakrywającymi głębokie oczodoły.

Gazeta leży przede mną. Na stole. Bieli się czernią ruchliwego robactwa liter. W rękach ojca za chwilę gazeta zasuszczczy przeraźliwie, płosząc rozpiętą w pokoju ciszę.

Na razie ktoś otwiera drzwi. Aha!...

Władek.

– Dobry wieczór. – Po chwili – co piszesz?

Tak sobie.

Naturalnie, tak sobie.

Władek ma myśli zajęte wojskiem. Boi się, że go już na wiosnę powołają. Wypytuje się każdego, czy już nadeszły „ordery”.

Podsuwam mu katalog „Roju”, z którego zamówię parę książek.

– Może zamówisz coś razem ze mną.

– Owszem.

Przegląda pobieżnie katalog. Pociąga nosem.

Wtorek 23 lutego
Ogłoszona w niedzielę przez radio
a wczoraj w prasie deklaracja ideowo-
programowa płk. Koca interesuje
wszystkich.
Jedno jest dobre: Koc opiera pro-
gram konsolidacji społeczeństwa pod
sztandarem jednej partii na zasadach
czysto narodowych i na zasadach religii
katolickiej. W stosunku do Żydów jest
stanowczy o tyle o ile uważa za słuszne
narastanie narodowego samopoczucia
gospodarczego po wsiach i miastach.
Ciekawym czy do akcji Koca przy-
stąpi Stronnictwo Narodowe. Sądzę raczej
że nie. Chociaż niespodzianki dzisiaj
są zupełnie naturalnym zjawiskiem
i dlatego zupełnie możliwe.
Nie mówiłem jeszcze o tym wszystkim
z Czernym. A przecież on na pewno
stanie od razu za Kocem. Jest gorącym
zwolennikiem ideologii „Zaczynu” a pismo
to jest niczym innym jak pionkiem
Koca na szachownicy politycznej Polski.
Władek naturalnie przeszedł nad
deklaracją Koca zupełnie obojętnie
do porządku dziennego. Nie mogę go
zrozumieć. Jego w ogóle nie interesuje
ani polityka ani literatura ani współ-
czesność. Chyba, chyba... dziewczyny
(naturalnie pojęte jako „materiał”).
Wybadam Rysia, co sądzi o Kocu
(określam jego nazwiskiem program
ideowy nowego obozu). Jako handlo-
wiec powinien się zainteresować

– Nie dla mnie.

– Przepraszam. Jest Pitigrilli³ i Dekobra⁴.

– Zresztą nie wiem, jak będzie z pieniędzmi.

Szkoda gadać. Wiem, że to wykryty. Że nie zamówi nic. Że woli wydać pieniądze na rum lub na baby (ileż razy mu to wyrzucałem – przyrzekał święcie, że się poprawi).

– Muszę iść do kolegów. Opytać się, jak właściwie stoi z wojskiem.

Wychodzi.

Siadam sam nad gazetą i nad katalogiem.

Koc patrzy przenikliwie zza swoich okularów. Tytuły książek kuszą mnie najmiłościwiej. Gorzej od wyrafinowanych kobiet.

Chciałbym być Twardowskim. Często o tym myślę. Śmieszne. Ale myślę. Mieć środki na to, czym mógłbym zadziwić świat: wiedzą. Nietrudno byłoby mi nawet zaprzedać duszę. Ale diabeł nie taki głupi, jakim go określają. Nie taki wariat, aby za jedną marną duszę dać to wszystko, czego ta dusza zapagnie.

Na filmie Pan Twardowski byłem również w Czerwionce. Ze Stefą. Film ją mocno zaciękawiał. Potem na ulicy powiedziałem jej od niechcenia, ale z pewną dbałością o niezwykłość tonu:

– A gdyby tak również zaprzedać duszę.

Przyparła do mnie jak wiewiórka do dębu.

– Nie mów tak, brzydoku!...

I podała mi szczęście swoich panińskich ust.

Dużo dałbym za to, gdyby ta chwila się teraz powtórzyła.

W każdym razie to o Twardowskim jest jedynie dziecinym myśleniem. Ale to o Stefie jest gorącym pragnieniem.

Przedemną leży gazeta, której ojciec jeszcze nie wziął do ręki. Przed Stefą może o tej samej godzinie będzie leżała ta sama gazeta. I tak samo będzie na nią patrzył Koc, który w swej deklaracji zapomniał powiedzieć o tym, jak powinien na wyglądać miłość dwojga młodych Polaków z krwi i kości.

Sroda, 24 lutego.

Śpiewaj poezjo, że noc jest urocza; tęsknota przewala się pod oknem, wiatr wygrywa na szybach smętne preludia... Śpiewaj poezjo!... Po mnie to spłynie jak deszcz po barkach kamiennej kariatydy, stojącej w rozszumiałym parku.

Nienawidzę nocy i jej królestwa.

W nocy trapią mnie zmyślenia. Przychodzą do mnie przeraźliwie białe ciała grubych, nieforemnych kobiet.

Wtulam twarz między dwa pocięte obrzydliwych piersi. Kobiety bronią się wstydliwie jak młode panienki. Wyprawiają potem orgie nad trupem dziewiętnastoletniego ducha, nad trupem mojego ducha. Żyje tylko moje ciało obrzydliwie poskręcane w najrozmaitsze sploty w paroksyzmie pożądania.

Nienawidzę nocy. Wyrasta przedemną jak ściana odgradzająca mnie od światła. A w ciemności zawsze dzieją się rzeczy straszne. Zawsze myśli się brzydko. Bo ciemność jest osłoną Arymana⁵.

Nienawidzę nocy!!!...

Okrutny jest szatan i jego państwo rozkoszy. Gdy cię raz chwyci w swoje szpony, trudno jest się z tych kajdan uwolnić. Świat staje się dla ciebie obrzydliwą rozkoszą, błotem, w którym masz doświadczyć najróżniejszych uciech.

Myślę, że jeżeli ktoś ma zwariować, to ten straszliwy los czyha właśnie na niego w nocy. I myślę, że można bardzo łatwo zwariować.

Przekłete niech będą noce, które zamiast ukojenia przynoszą mi zarzewia całodniowych walk.

A Bóg jest taki daleki i taki nieojcowski. Wtedy to właśnie dusza bluźni. Bluźni temu Bogu, który siedzi rozwalony na niebieskim tronie i zamiast pomocy posyła z wyżyn swej wszechmocności jedno, jedyne słowo: „Cierp”. Ależ Boże, jak tu cierpieć z sercem zropiałym od bólu, jak tu dłużej znosić tę mękę przetrwania na ziemi, którą nam przecież stworzyłeś ku naszej radości. Nie chce być bohaterem szarego, codziennego smutku!!! Chcę być bohaterem jaskrawej, codziennej radości!!!!...

Chodzimy do kościoła. Owszem. Ale – po co?... Podłubać w nosie, ziewać i myśleć o świństwach. Chyba. Bo, mój daleki, błękitny Boże, jesteśmy przegrani przed Twoim majestatem. Jesteśmy jak psy, które wyganiają z błogosławionej zagrody, psy krążące dookoła świętego „coś”, czekające chwili, aby się na to „coś” rzucić.

Nie powstrzymam mej duszy. We wściekłości kąsa sama siebie. Widzisz Boże, jak sączy się jej piana z pyska? Ty jesteś sprawiedliwy. Pomyśl, że ona jest tylko nieszczęśliwa.

Moja dusza. Ha, ha!... W nocy rozplywa się w dal. Nie ma jej. Opuszcza moje ciało. Ciało, które zaczyna wyprawiać zmysłom gody. W nocy.

Ty jesteś sprawiedliwy, Boże. Pomyśl, że moja dusza jest tchórzem.

I dlatego daleki, błękitny Boże, rzucę ci w daleką, błękitną przestrzeń nie słowa skruchy, ale wyzwanie. Harde wyzwanie:

– Mea culpa!...

Czemu wyzwanie, pomyślisz. Bo stwierdzeniem mojej winy stwierdzam równocześnie, że nie doznałem Twojej pomocy, którą nam obiecałeś.

A jednak...

A jednak, mój daleki ojczy, przebac. Nie mam sił, ja biedny człowiek, ja po nocach lekkomyślnie puszczający się na sze-

rokie wody zmysłów, nie mam sił walczyć z Tobą. Wprawdzie zdarza się, że dzieło obraca się przeciw swojemu Twórcy i zwycięża go, ale ja, Twój Twór, nie mam sił!...

Szarpię się tylko przeciw Tobie, wyszczerzam kły jak pies na uwięzi. Ale wiem, że wystarczy mnie poczęstować kijem, abym się stał potulny.

Taki już jestem względem Ciebie. Płomień zbuntowany, nieposłuszne dziecko, ale zarazem tchórz, okropny tchórz.

I wiem, że znów pójde do kościoła.

Zacznę się modlić.

Zacznę płakać.

Aby już nigdy nie przeklinać.

Nigdy – strasznie przestrzenne słowo. Aż skóra cierpnie, gdy się pomyśli, że coś zginie na nigdy. Ale w tym wypadku powinienem się cieszyć, że to zginie na zawsze, że nie powinno się powtórzyć już nigdy.

Jedno powtarzam:

Wystarczy mnie poczęstować kijem, abym stał się potulny.

Więc:

– Wydałem wyrok na siebie. Czekam mnie nieszczęście.

Psiakrew!...

Ty jesteś sprawiedliwy, Boże. Pomyśl, że zgrzytam zębami nie bez powodu.

Psiakrew!

Jak to ładnie brzmi, prawda? A mogę przeklinać jeszcze gorzej. Umieć jeszcze dosadniej. Oho!... Ale wystarcza:

– Psiakrew!!!...

Chociaż...

Mimo wszystko okrutny jest szatan i królestwo jego mocy.

Jestem strasznie niezdolny do jakiegokolwiek inicjatywy.

Niech mówi fakt:

Drużyna harcerska w Bełku powinna się ocknąć z zimowego snu. Niestety, ja tego nie byłem zdolny przeciąć. Dopiero chłopcy, moi kochani chłopcy, przyszli do mnie i powiedzieli, że chcą mieć zbiórke. Ucieszyłem się niezmiernie. Bo tym samym podali mi ręce i wywiedli mnie z trzęsawiska niemocy.

Nie mam żadnej ochoty do jakiegokolwiek inicjatywy. Ale tylko obecnie. Jestem pewny, że w przyszłości znów odmłodnię i będę miał dużo pomysłów i wiele inicjatywy.

Przypisy

1 Adam Koc (1891–1966), polityk, płk dypl., legionista, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, w przewrocie majowym opowiedział się po stronie Józefa Piłsudskiego. Komendant naczelny Związku Legionistów Polskich (1936–1938), przewodniczący Obozu Zjednoczenia Narodowego (1937–1938). Deklaracja płk. Koca ogłoszona została 21 lutego 1937 r. i była w powszechnej opinii nacjonalistyczna, antysemicka i skierowana na umocnienie obozu sanacyjnego.

2 „Zaczyn” (1936–1939), pismo nacjonalistyczne, reprezentujące skrajną prawicę piłsudczykowską, skupione wokół marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Postulując tzw. „ideologię państwową”, „totalizm centrowy”, występowało zarówno przeciwko lewicy, środowiskom liberalnym, jak też sanacyjnej prawicy.

3 Pitigrilli, właśc. Dino Segre (1893–1975), włoski pisarz, autor skandalizujących powieści, uważany w owym czasie za pornografa. Popularnością cieszyły się m.in. *Luksusowe zwierzęta* (1920, wyd. pol. 1930), *Pas cnoty* (1921, wyd. pol. 1930), *18 karatów dziewictwa* (1924, wyd. pol. 1930).

4 Maurice Dekobra, właśc. Ernest Maurice Tessier (1885–1973), francuski pisarz, autor licznych powieści awanturnych, m.in. *Aksamitne płomienie* (1924, wyd. pol. 1927), *Dama w wagonie sypialnym* (1925, wyd. pol. 1927), *Purpurowa gondola* (1926, wyd. pol. 1927).

5 Aryman (*staropers.*), Zły Duch walczący z Ahura Mazdą (Bogiem Stworzycielem), uosobieniem dobra. Jedno z podstawowych pojęć religii zaratusztriańskiej.

Urszula Kozioł

Z JÓZEFEM BARANEM rozmawia MIROSŁAWA SZOTT

Urszula Kozioł

Szczęście/nieszczęście

Najszczęśliwszą miłością
jest miłość nieszczęśliwa
struną „gie” zerwaną ze skrzypiec
opłata pamięć
i bierze górny ton
od zapachu róży
lub chryzantem
na twym losie układa się
zdobną bombonierką
z kokardą w kolorze srebrzystym
czułym wspomnieniem
czystych uniesień i melancholii
prosi się o wiersz własny
albo przeczytany przez kogoś

podczas gdy miłość szczęśliwa
trafiona nagłym grotem śmierci
ogałaca cię
skacze w przepaść bez dna
w rozpacz
w stan bez przyszłości
taka miłość, jej utrata
jest jak tsunami
przemienia cię w ślup lodu
już nie żyjesz

tylko zdaje ci się, że żyjesz
a nieistniejące staje ci butem na gardle

Mirosława Szott: W jednej z ostatnich naszych rozmów (dotyczyła wiersza Anny Świrszczyńskiej) stwierdziłaś, że wiele poetek pisze najlepsze wiersze po śmierci swoich mężów. Feliks Przybylak zmarł w 2010 roku. Urszula Kozioł wydała w 2014 roku tomik pt. *Klangor* poświęcony w całości mężowi. To bardzo osobista liryka. Napisała w jednym utworze: „jestem już z innej planety/ już nie stąd” (*Bez vis-à-vis*). W *Raptularzu* (2023) nierzadko powraca do tego tematu. Jak Ty czytasz te wiersze?

Józef Baran: Urszula Kozioł pisała zawsze świetne wiersze. Uważam ją za jedną z najwybitniejszych poetek polskich. Ale gdy kiedyś wgłębiałem się w jej wiersze wybrane z lat 1955–2010 (*Fuga*), które otrzymałem z rąk autorki we Wrocławiu z ciepłą dedykacją „Kochanemu Józku, mieć w Tobie czytelnika moich wierszy Poeto, to czysta przyjemność”, jak i we wcześniejsze tomiki, zawsze miałem wrażenie, że mam do czynienia z poetką perfekcyjną warsztatowo, ale chłodną. A po odejściu męża w zaświaty – objawia się jako poetka bardzo osobista, choć uniwersalna, pełna różnych emocji zrozumiałych dla każdego, kto stracił najbliższą osobę. O ile wcześniej jej wiersze były filtrowane przez intelekt, w jakimś sensie zdystansowane i ogólne, to teraz jest w nich osobisty żar, jest smutek, są wyrażone dość bezpośrednio uczucia, emocje, nostalgiczne. Jednocześnie poezja Kozioł nic nie traci na głębokiej refleksji i na bezradnej mą-

drości. Uważam, że jej wiersze z trzech czy czterech ostatnich tomów są najlepsze w jej twórczości, bo po pierwsze nie ma w nich zbędnego przegadania, po wtóre do zawsze głębokiej refleksji intelektualnej doszło tragiczne przeżycie i ono bardzo zbliża pisarza do czytelnika. Mamy do czynienia z wielkim przeżyciem, wyrażonym zwięzłą formą trochę jakby zapożyczoną od autorów-kłasyków z Dalekiego Wschodu, mistrzów haiku. Słowem – ogromny ładunek przeżycia i lakoniczna, niemal impresyjna forma wiersza dają w efekcie przejmujące efekty.

A co do miłości szczęśliwej i nieszczęśliwej... Słyszałem od psychologów, że im bardziej małżonkowie są parą kochających się nierozłączków, tym trudniej po śmierci jednego/ jednej żyć samemu/samej i radzić sobie w życiu jako singlowi. Nie umie tego, nie nauczyła się, trudno się oswoja z taką sytuacją, dlatego często się zdarza, że po śmierci ukochanego/ukochanej wchodzi natychmiast w związek z kimś innym, „zastępczym”, co budzi zdziwienie, no bo jak to... przecież tak bardzo kochali się!? a tu już, natychmiast znalazł/znalazła sobie kogoś innego? Ale to podobno jedyny ratunek... Łatwiej żyć samemu temu komuś, kto żył w małżeństwie jak luzak i oswoił się z sytuacją luzaka...

MS: Dla Kozioł miłością najszczęśliwszą jest ta nieszczęśliwa, niemożliwa, niespełniona, która się nie wydarzyła. To ona na losie układa się „zdobną bombonierką/ z kokardą w kolorze srebrzystym”. Zobacz, że kiedy pisze o szczęśliwej, długoletniej miłości, skupia się tylko na utracie. Nie ma tu ani jednego pozytywnego konkretnego dla wyobraźni. Śmierć zdominowała jej wymiar.

JB: Słusznie zauważyłaś, że Urszula Kozioł skupia się na utracie. Poeta nie jest filozofem, żeby wypowiadać zdania obiektywne. Poeta poddaje się nastrojom, jest istotą głęboko subiektywną. I to jest jego prawo. Jednego dnia może – jak to mówił Miłosz – wierzyć w Boga i być szczęśliwym, optymistą, innego dnia – być głęboko nieszczęśliwym i pisać wiersze tragiczne, bo poeta jest instrumentem, medium, przepływa przez niego strumień piękna, ale on niekoniecznie musi być Pięknem. Kto to powiedział? Krasiński zdaje się.

MS: Tak, w *Nie-Boskiej komedii*. A jak postrzegasz ten wiersz w kontekście utworu Wisławy Szymborskiej *Miłość szczęśliwa*?

JB: Obie panie poetki były ze sobą zaprzyjaźnione, spotykały się, chyba lubiły; obie pisały wiersze na wysokim intelektualnym diapazonie, tylko że Wisława miała wartość dodaną czyli poczucie humoru, którym dystansowała się do powagi refleksji filozoficznej. Kiedy inaczej się nie dało uciekała w limeryki. Urszula natomiast w ostatnich wierszach drażni zdecydowanie głębiej w psychice człowieka, za to humor, kokieteria nie jest jej specjalnością. Pisze o świecie, losie człowieka bardzo na serio. Zaryzykowałbym, że wiersz Kozioł jest ciągiem dalszym wiersza Szymborskiej, bo na pewno do niego nawiązuje.

MS: Niektórzy krytycy nazywają ostatnie jej książki projektem senilnym. A Anna Nasiłowska pisząc o tomiku *Momenty*, stwierdza: „To są bardzo okrutne wiersze, przy czym bezwzględna jest poetka przede wszystkim dla siebie samej [...]”. Żadnej «pogodnej starości» nie ma, jest tylko samotność i ogołocenie. Wróciłam jeszcze do jej debiutanckiego tomiku pt. *Gumowe klocki* (1957). Na końcu umieszczony jest wiersz pt. *Bajka*:

...Był sobie pan i komuś
była dziewczyna
Tak się zaczyna.
– Jak się bajka skończyła?
– Pan nigdy nie był ni-
komu, ona sobie nigdy
nie była.

Wcześniej nie zwróciłam
na niego uwagi. Ale wydał
mi się ciekawy w kontek-
ście jej obecnych rozwa-
zań i tego, co powiedzia-
łaś o relacjach w związku.
Ta bajka nie ma przecież
złego zakończenia. Oni się
rozminęli. Ona była ko-
muś (ale nie sobie), a on
był tylko sobie (nie ko-
muś). Wydaje mi się, że
każde z nich było nieszczę-
śliwe (samotne), ale – je-
śli założyć, że byli razem
– nigdy nie doświadczy-
li tego ogołocenia, o któ-
rym teraz pisze Kozioł
w wierszu *Szczęście/nie-
szczęście*. Może więc rację
ma, że miłość (ta szczę-
śliwa) wcale nie pomaga.
Albo pomóc może jedy-
nie coś na kształt stoicy-
zmu, „nieprzywiązywa-
nia się do niczego i ni-
kogo”, powrót do chłodu,
uniwersalizmu, choć
nie takiego młodzieńcze-
go, naiwnego, ale prze-
filtrowanego przez wszyst-
kie doświadczenia (w tym
straty)?

JB: Coś Ty tu za dużo
kombinujesz, dziewczyno.
Miłość nadaje sens życiu.
I tyle. Jeśli ktoś jej nie
przeżył, jest ubogi i pu-
sty. Oczywiście chodzi
w ogóle o miłość/pasję,
jako postawę wobec ży-
cia, świata, ludzi. Jesli-
by zbilansować lata szczęśliwe poetki Urszuli Kozioł i na ko-
ńcu nieszczęśliwe, wyjdzie zawsze rachunek pozytywny dla
miłości szczęśliwej. Poetka chce – jak mi się wydaje – po-
wiedzieć, że strata Kogoś, kogo się kochało – jest bezden-
na. „Lepiej, żeby Cię nie było, żebyśmy się nigdy nie spotka-
li” – te słowa wynikają z rozpacz i osamotnienia. Po prostu.
Wiersz Kozioł pochwałą – à rebours – miłości szczęśliwej.

MS: Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Czyli poetka jakby
zaprzecza zasadności krytyki „miłości szczęśliwej”. Jej iro-
nia skierowana jest jakby przeciwko niej samej. A może prze-
ciwko podziałowi na szczęśliwą i nieszczęśliwą miłość? Lu-
bię wiersz Ewy Lipskiej pt. *Miłość*. Końcówka brzmi: „A kie-
dy cię dopadnie/ staraj się być w domu. Albo coś w tym ro-
dzaju. Byleby się spotkać”. Więc jednak: spotkać.

JB: Z kolei Szymborska, która żartuje sobie z miłości szczę-
śliwej, kończy wiersz przewrotną czy woltą w swoim stylu:

Niech ludzie nie znający miłości szczęśliwej
twierdzą, że nigdzie nie ma miłości szczęśliwej.
Z tą wiarą lżej im będzie i żyć, i umierać.



A teraz z innej beczki. Przyszło mi do głowy, że poeci
intelektualni, poeci kultury a nie natury – żyją jakby
dłużej. Intuicjoniści, np. Białoszewski, Harasymowicz,
Grochowiak, Nowak, Śliwiak i paru innych wybitnych –
zwinęli się dość szybko z tego świata. Natomiast Miłosz,
Szyborska, Różewicz, Kozioł są długowieczni i do koń-
ca twórczy... Tak jakby mądrzej żyli. Ale to taka moja
uwaga na marginesie...

MS: Nie wiem, czy mądrzej żyją, bo nie znałam ich (tak
jak Ty) ani ich wyborów. Ale zgadza się, że żyli/żyją dłu-
żej. Jakby wolniej się spalali. To temat na inną rozmow-
ę. Dla Ciebie to wiersz o rozpacz czy bardziej wiersz
o miłości?

JB: Urszula Kozioł po utracie swojej szczęśliwej mi-
łości odczuwa to w trójnásób. I pisze o tym. Pewnie
dziesięć czy piętnaście lat temu napisałaby o mi-
łości szczęśliwej i nieszczęśliwej zupełnie inny wiersz.
Pewnie, gdyby była w małżeństwie nieszczęśliwa, ła-
twiej byłoby jej przeżyć rozstanie z mężem. I o tym
właśnie jest też ten wiersz.

Narracyjna topofaktografia Franciszka Goduli

JAN MALICKI

Przeszłość zawsze pociąga. Mogłbym wręcz uczenie rzec, bo jest „elementem kulturowo ukształtowanego systemu postrzegania i porządkowania rzeczywistości”. Oczywiście rzeczywistości współczesnej badającemu, a tym samym poddawalnemu presji celów bliższych i dalszych. Założonym lub odkrywanym. Nie czas jednak na rozważania historiozoficzne. Ważniejszy jest bowiem sposób traktowania pojedynczych wydarzeń, dostrzeganych procesów społecznych i ostatecznych ocen lub rozstrzygnięć poznanych lub interpretowanych, wreszcie ich rozpowszechnienie, które budować lub jedynie modyfikować będą nowy model świadomości zbiorowej. Akceptowany lub potępiany w czambuł przez społeczność w całym jej zróżnicowaniu. O niegodnym ich wykorzystaniu nie warto wspominać.

Jednak na każdy segment przeszłości można spojrzeć z dwóch perspektyw: naukowej – obudowanej metodologią badawczą, doświadczeniem i warsztatem uczonego, warsztatem adekwatnym do materii źródłowej oraz porównywaną z dotychczasowym stanem badań. I drugiej – amatorskiej, przepojonej entuzjazmem w mozolnym docieraniu do źródeł, często bez ich selekcji i weryfikacji, a potem rekonstruującej dzieje swojej rodziny, miasteczka, okolicy, w której ów czytelnik żyje. W pamięć zapadł mi człowiek, który wiele godzin spędzał w Zbiorach Specjalnych Biblioteki Śląskiej, wertując stare herbarze. Nie wyglądał raczej na uczonego, a więc tym bardziej mnie intrygował. Gdy niebacznie zadałem mu pytanie o to, czym się zajmuje, odpowiedział: „kopię rowy u krwiopijcy”. Jeszcze dzisiaj myślę o nim z ogromną sympatią i szacunkiem.

Górny Śląsk miał przez swoje dzieje całą plejadę takich twórców, którzy z różnych powodów miejsca w stratyfikacji społecznej, studia i wiedzę zastępowali pasją gromadzenia, czytania, opisywania i tworzenia własnych uogólnień. Z pewnością jest to piśmiennic-

-skutkowy, ukazanych w porządku następstwa chronologicznego. Cechą zaś wyróżniającą jest literackość, narracyjność przekazu, przekraczająca granicę beznamiętnej relacji.

Jedną z takich książek jest *Historia handlu i przemysłu Górnego Śląska. Przypisek do dziejów Śląska* autorstwa Franciszka Goduli (1880–1950), nijak nie skoligaconego z Karem, jednym z wielkich twórców śląskiego przemysłu. Ale o Franciszku wiemy sporo, dzięki hasłu zamieszczoneму w Polskim Słowniku Biograficznym. Choć i tak warto przypomnieć prośbę parafii św. Anny w Babicach, nieopodal Raciborza, „Ktokolwiek zna... czyli szukamy śladów Franciszka Goduli”.

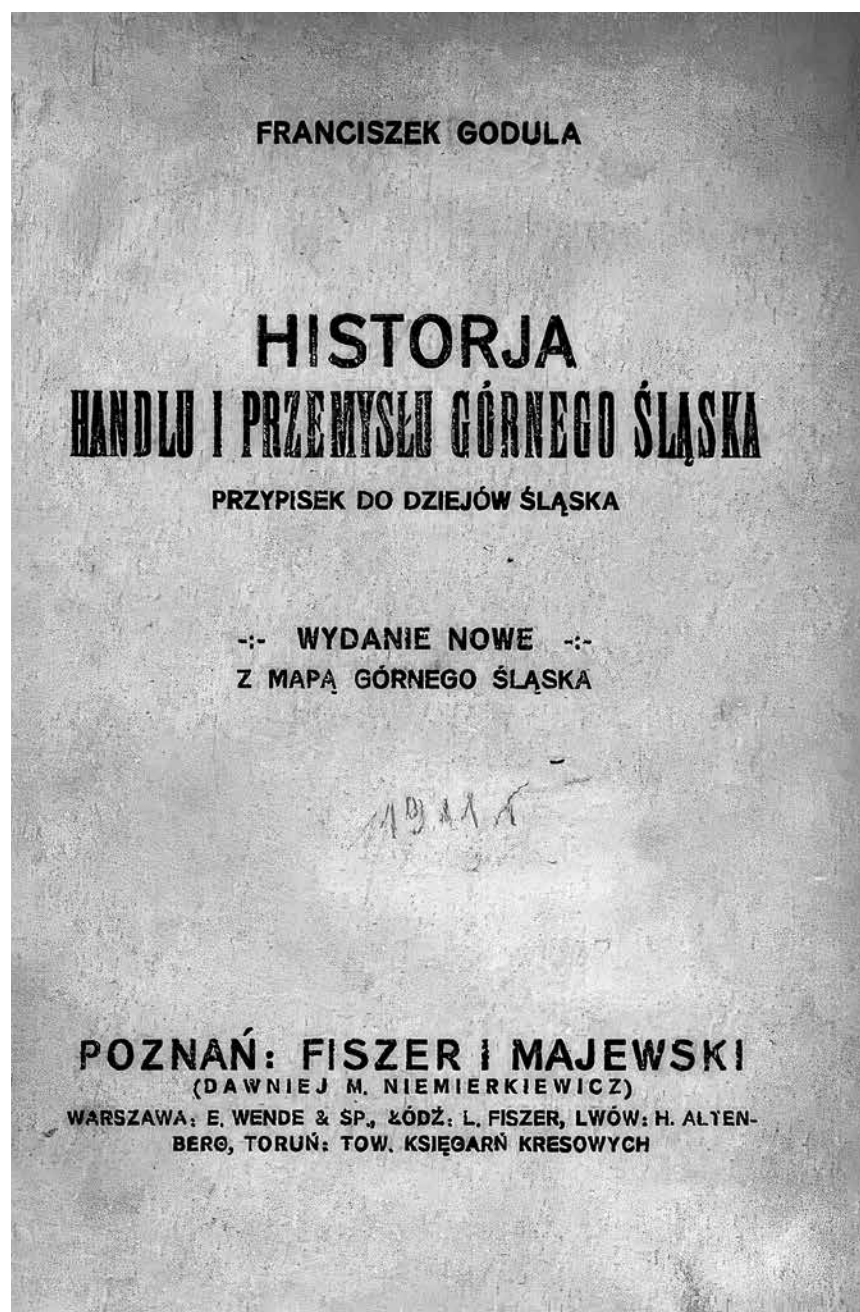
Jego los był typowy dla wielu Ślązaków z jego pokolenia. Szkoła ludowa, nauka sztuki drukarskiej w „Nowinach Raciborskich”, od 1905 roku przeniesiony do Bytomia, gdzie przeszedł wszystkie możliwe szczeble awansu zawodowego – od ekspedienta, poprzez stanowisko księgowego, aż po awans na członka redakcji. Z czasem zaś przeszedł do Zjednoczonego Wydawnictwa Gazet, gdzie pracował aż do wybuchu wojny. I obficie pisał, między innymi w „Górnoślązku. Piśmie codziennym

poświęconemu sprawom ludu polskiego na Śląsku” oraz w redagowanej przez siebie „Ziemi Śląskiej. Miesięczniku poświęconemu przeszłości Śląska”. Nic więc dziwnego, że w roku 1935 został uhonorowany Srebrnym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury, podobnie zresztą, jak ks. Emil Szramek, którego mógł poznać w czasach działalności w Towarzystwie Oświatowym św. Jacka.



two historyczne, dążące do odkrywania prawdy, i tylko prawdy, lecz znacznie różniące się od uczonych dysertacji naukowych, równoległe powstających w środowiskach akademickich. Na użytek tej pracy nazwałbym ten gatunek amatorskiego piśmiennictwa historycznego topofaktografią narracyjną. Jest to bowiem zazwyczaj opowieść o przestrzeni najbliższej, naznaczonej zdarzeniami ujmowanymi w ciąg przyczynowo-

Historia to nie tylko praca, to pasja Franciszka Goduli. I to od lat. A dzieje Górnego Śląska znał doskonale. Poświadczają to publikacje, takie jak: *Historia Opola i okolic*, *Historia Raciborza i okolic*, wreszcie dwukrotnie publikowana *Historia handlu i przemysłu Górnego Śląska*. Ukazała się ona dzięki Zarządowi Zjednoczenia Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu w 1911 roku. I do niej się autor zwracał we wstępie: „Do Ciebie Młodzieży handlowa i przemysłowa się odzywam. Niech ta broszurka będzie dla Ciebie podręcznikiem, z którego wiele nauczyć się możesz. Śledząc ustęp za ustępem przekonasz się niezawodnie o zapobiegliwości i pracowitości naszych ziomków. We wszystkim Ci są gwiazdą przewodnią, według której i Ty się rządzić powinienes”. Ten przesadny dla nas dydaktyzm sprzed niemal 120 lat – odstrasza. Ale wczytując się w tekst 26 artykułów otrzymujemy niezwykle celną i barwną fotografię narracyjną – współczesną i historyczną – całego Śląska. Poczynając od okalających główny zrąb książki informacji o geografii, statystyce, prawie składowym, dziejach przemysłu i handlu, po niezwykle ciekawy rozdział *Przyszłość handlu i przemysłu górnośląskiego*. Mój pech polegał jednak na tym, że słowa Franciszka Goduli o przyszłości zderzyłem nie chcący ze smutną konkluzją ks. Jerzego Myszora, który swego czasu, tak pisał: „Na naszych oczach umiera Śląsk taki, jaki zaprojektowali i budowali od połowy XIX wieku Reden, Godula [Karol – JM], Schaffgotschowie, Thiele-Winkler i Donnersmarckowie. Umiera Śląsk przemysłowy, którego symbolem jest wieża wyciągowa kopalni, hałda oraz kominy hutnicze. Jedni – świadomi tego procesu – próbują na nowo definiować tożsamość Śląska, odwołując się nadal do jego symboli, lecz podkładając pod nie nowe znaczenia. Nic jednak nie odwróci nieuchronnych przeobrażeń rozpoczętych w 1989 roku”. Mógłbym to skwitować paremią o naturalnym przemijaniu świata, ale czytając fragmenty o Odrze, „śląskiej drodze handlowej”, *O przemyśle tarnogórskim*, *Handlu i przemyśle w Raciborskiem* i o miastach: Gliwiczach, Opolu, Katowicach, Rybniku czy Pszczynie, nabieram przekonania, iż owa kasandryczna wizja „zginienia bliskiego” jest jedynie opisem momentu przełomu, w którym dostrzegać należy już dziś refleksy nowego świata w starym miejscu. I ślad przekształcania się, dopełniania, wyznaczania innych jeszcze wektorów przyszłości. Powtórzmy; inny bowiem był świat roku 1911, inny jest dzisiaj. Nawet wtedy, gdy żywe wówczas kopalnie, huty, fabryki stały się szacownymi zabytkami techniki. Słowa te zupełnie zmieniają status książeczki Goduli, która stała się równie szacownym zabytkiem sprzed stulecia.



Ale czy była ona czytana? Zapewne tak, była w bibliotece ks. Jana Kudery, jednej z wybitnych osób dwudziestolecia międzywojennego. Swoją historię ma też egzemplarz, który leży na moim biurku. To wydanie drugie. Jego losy dokumentują pieczętki. Pierwsza: „Stowarzyszenie Biblioteczne Urzędników Polskich Kopalń Skarbowych «Jedność» w Królewskiej Hucie”. Odprysk wielkiej historii przemysłu górniczego. Nie czas przypominać, iż w 1922 roku, w Katowicach, powstał „Skarboferm” (Polskie Kopalnie Skarbowe na Górnym Śląsku), potężny koncern polsko-francuski, skupiający w swoich rękach również kopalnie z Królewskiej Huty. W każdej z nich działała czytelnia adresowana dla innej grupy pracowników i z tego powodu ograniczana liczba dostępnych woluminów. I tak istniejąca od 1926 roku biblioteka w czytelnii „robotniczej” posiadała ledwie 300–500

tytułów; znacznie bogatsza była biblioteka „urzędnicza”, licząca 1966 pozycji. Trzecią część stanowiła biblioteka techniczna. Nie znamy dalszych przedwojennych i powojennych losów mojego egzemplarza, aż do momentu powstania Uniwersytetu Śląskiego, a ściślej rzecz ujmując Wydziału Humanistycznego. Dowodzą tego dwie pieczętki: wydziałowa oraz Instytutu Filologii Polskiej. Zatem „ktoś”, nieznany darczyńca ofiarował tę książeczkę naszej uczelni. Może w roku jej powstania? A jakiś skrzętny bibliotekarz wpisał „Dar” i jego wartość: 5 złotych. Nie wiem, jak długo książka ta leżała na półce w wydziałowej bibliotece. Ja ją kupiłem u zaprzyjaźnionych bukinistów w Ustroniu również za 5 złotych. ■



Ta dziura to Jura

JAROSŁAW KAPSA

Wrzosowa to przedmieście Częstochowy, „rozlewanie” miasta zniosło przestrzenne granice. Mijamy ją bezrefleksyjnie, jadąc „gierkówką” z lub do Katowic, a przez taką nieuważność tracimy coś istotnego. Interesujący krajobraz w pobliżu miasta mógłby być terenem odwiedzanym przez miłośników spacerów i przejażdżek rowerowych, zwłaszcza że w ten krajobraz wpisana jest nasza, lokalna historia.

Idealnym miejscem dla miłośników spacerów jest góra Kamionek; stąd roztacza się perspektywa na jurajskie wzgórza: Sokole Góry, zamek olsztyński, Góry Towarnie. Widzimy stąd także przemysłowy krajobraz huty oraz wylaniające się z zielonego otoczenia blokowiska dzielnic zwanej Wrzosowiakiem. W zieleni zatopione są domy Starego Bleszna. Tu miała swój gród obronny rodzina Biełłów herbu Ostoja, z której pochodzący pleban częstochowski Henryk przekazał stary kościół na Jasnej Górze zakonowi o. Paulinów. Przywilej fundacyjny Klasztoru Jasnogórskiego wydano w 1382 r., pięć lat wcześniej książę Władysław Opolczyk wydał braciom Jaśkowi i Niczkowi przywilej prowadzenia kuźnicy w „pobliżu miasta Częstochowa”. Zdaniem badaczy, kuźnica korzystać miała z bleszneńskich zasobów rud żelaza. Ta zbieżność dat pozwoliła Jerzemu Zimmemu, historykowi hutnictwa, użyć chwytliwego hasła na 600-lecie ist-

nienia Klasztoru i miejskości: *Częstochowa – miasto Czarnej Madonny i żelaza*, wskazując zarówno pątniczy, jak i przemysłowy charakter rozwoju.

Wzgórze Kamionek nie tylko panoramą widokową ugruntowuje nasz związek z przeszłości. Jest tu pozostałość nieczynnego od 1936 r. kamieniołomu, który dla ciekawskich stanowi otwartą księgę. Odsłonięte formacje jurajskie były wielokrotnie przedmiotem badań geologicznych, w ostatnich latach zajmowała się tym miejscem pani Ewa Główniak z Uniwersytetu Warszawskiego. W artykule przesłanym władzom samorządowym gminy Poczesna (w tej gminie leży Wrzosowa), pisała:

„We wrzosowskich «sachtach», jak w rzadko którym kamieniołomie w południowej Polsce, można prześledzić podręcznikowe wręcz następstwo dużej części jurajskich formacji skalnych. [...] Budują je m.in. białe wapienie i margle zasobne w kalcyt (CaCO_3) nazywane nieformalnie «białą jurą». Bezpośrednio pod nimi leżą starsze utwory «brunatnej jury», tj. pakiet rudych twardych skał wapienno-krzemionkowych oraz leżące jeszcze głębiej, ale nie ukazujące się w pełni w kamieniołomie, czarne iły z pokładami sydereytów. [...] Każdy kto był na «sachtach» wie, że skamieniałości są tu liczne. Reprezentują one różnorodne grupy organizmów morskich, jak np. gąbki, ramienionogi, szkarłup-

nie czy mięczaki. [...] Wiele z tych grup zwierząt znamy ze współczesnych mórz i oceanów, lecz dziś reprezentowane są one przez inne gatunki niż te sprzed ok. 160 mln lat. Inaczej jest z amonitami czy belemnitami (grupa mięczaków), które wyginęły całkowicie ok. 65 mln lat temu. [...] Poprzez bogactwo i różnorodność skamieniałości wrzosowskie «sachty» oferują wszechstronne możliwości badawcze, w tym paleoekologiczne. Dość wspomnieć, że to właśnie tu po raz pierwszy odkryto i zinterpretowano występowanie niezwykle rzadkiego zjawiska masowego namnożenia się pojedynczego oksfordzkiego gatunku amonitów rodem z ciepłych mórz jurajskich południowej Europy, który tutaj znalazł sprzyjające środowisko do rozwoju. Odkrycie to pozwoliło jednoznacznie wykazać, że istniejący tu ok. 160 mln lat temu zbiornik morski miał otwarte połączenie z oceanem oraz że amonity chętnie wykorzystywały to morskie połączenie do migracji i nowych zasiedleń. [...] «Sachty» są obecnie najlepszym profilem w Polsce, a i w Europie, gdzie to frapujące zjawisko ekologiczne sprzed ok. 160 mln lat zostało zbadane”.

Mamy więc na tym „niezauważanym” wzgórzu ważne dla geologów miejsce badań, a dla laików rodzaj ilustracji uczących o kształtowaniu się naszego krajobrazu. W odnajdywanych między zaroślami rumowiskach wapiennych, nawet laik bez trudności odszuka interesujące skamieliny. Sąsiadujące i rywalizujące z Częstochową Kielce pokazały, jak takie miejsca przekształcić w „turystyczny produkt”. Nasz region ruszył w ślady świętokrzyskiego. W Olsztynie władze gminy przy współpracy z Państwowym Instytutem Geologicznym udostępniły ścieżkę edukacyjną w dawnym kamieniołomie Kielniki. Cementownia CEMEX w Rudnikach zagospodarowała – urządzając przyrodniczą ścieżkę dydaktyczną – kamieniołom Lipówka. Rozważana jest w Częstochowie sprawa właściwego zagospodarowania kamieniołomów na Złotej Górze, zwłaszcza po niepowodzeniu w stworzeniu tam Parku Miniatur obiektów sakralnych. „Sachty” we Wrzosowej, na malowniczym wzgórzu Kamionek, doskonale uzupełniają tego typu turystyczne inicjatywy.

Szukanie śladów życia sprzed 160 mln lat, dociekanie, jak w miejsce morza jurajskiego powstała wapienna wyżyna, to za-



Góra Kamionek

jęcie uniwersalne. „Sachty” na Kamionku mają jednak także znaczenie lokalne. Trwający proces rozlewania miasta zaciera lokalną specyfikę. Młodszy mieszkający nie kojarzą tego miejsca; najlepszą informacją służy tu pokolenie 65+, dla nich wzgórze kojarzy się z ogniskami „sobótkowymi”, często dodaje się wspomnienie o cementowni, dzięki której powstała Wrzosowa.

Widoczna na Kamionku formacja białej i brunatnej jury znaczy w historii lokalnej coś więcej niż widzą to paleogeologowie. Dla geologów nazwa „brunatna jura” jest anachronizmem, to było obiegowe określenie skał zabarwionych na rudę koloru jonami żelaza, minerałem zwanym syderitem, od greckiego określenia żelaza. Z niego, od pradziejów czasów, w dymarkach zyskiwano metal, bez którego nie sposób sobie wyobrazić zmian cywilizacyjnych. Przywilej z 1377 r., w którym po raz pierwszy wymieniono miasto Częstochowa, wskazywał, że już w XIV w. nasz obszar stał się miejscem wydobywania i przetworstwa rud żelaza. Kopalnie i kuźnie w gminie Poczesna w XV w. przypisywano do kuźnic olsztyńskich. Istniały między XV a XVII wiekiem kuźnie w Osinach, w Poczesnej, w Klepaczce, Łazcu, Nieradzie. W XIX w. tutejsze kopalnie włączono do oddziału blachowieskiego, podlegającego wydziałowi górnictwa Banku Polskiego. Na przełomie XIX i XX w. stały się one źródłem surowca dla częstochowskiej huty założonej przez Bernarda Hantkego. Wydobycie i przetworstwo syderytu stało się częścią tożsamości mieszkańców gminy Poczesna.

Nie dotyczyło to jednak bezpośrednio Wrzosowej. W sąsiadującym folwarku szlacheckim założono w XVI w. hutę szkła, stąd nazwa miejscowości: Huta Stara. W XIX w. rozpoczęto tam wydobywanie rud żelaza; osada robotnicza zdominowała sąsiedztwo, w niej ulokowano siedzibę gminy, obejmującej dzielnice obecnej Częstochowy: Błęszno, Wrzosowiak, Raków, dawną osadę Bór – Kazimierzów i folwark Brzeziny. Istotne znaczenie dla rozwoju gminy miała decyzja ówczesnego właściciela folwarku Huta Stara, by w 1819 r. część ziem sprzedać kolonistom z austriackich Moraw. Tak powstała „niemiecka wieś” – Huta Stara A.

Wrzosowa była na uboczu tych trendów rozwojowych. Dla niej nowy okres bytu nastąpił w końcu XIX w., wiązał się z wykorzystaniem innego zasobu, z formacji „białej jury”. Impuls zaś przyszedł z Anglii, gdzie w trakcie zmian zwanych rewolucją przemysłową, opracowano technologię produkcji cementu portlandzkiego. W kolejnych dekadach technologia ta upowszechniła się we Francji i Niemczech. W 1857 r. w oparciu o zasoby jurajskie powstała pierwsza w Królestwie Kongresowym

cementownia „portlandzka” w Grodźcu pod Będzinem. Eksperymentowano wówczas z dwoma rodzajami. Ludwik Ertel pisząc w 1871 r. o użyteczności cementu, wspominał: „Mamy dwa gatunki cementów krajowych: Jeden – naturalny, wyrabiany pod miastem Sławkowem w powiecie Olkuskim guberni Kieleckiej, na dawnej kopalni galmanu, na osadzie Kozioł; cement ten ma kolor cynamonowo-brunatny, na powierzchni i w wodzie twardnieje i ma tę zaletę, że będąc więcej jak inne gliniasty, jest do tynków lepszy, bo się daje wolno i gładko obciążać. Drugi – sztuczny, wyrabiany na sposób angielskiego Portland w dobrach Grodziec, powiecie Bendżyńskim Guberni Petrokowskiej, ma kolor popielato-szary podobnie jak cement angielski Robinsa. Obie te fabryki są własnością Rzeczywistego Rady Stanu Ciechanowskiego. Pierwsza z nich założona została w roku 1853, a druga w roku 1857”.

Nowy materiał z oporami przyjmował się na ziemiach polskich; na eksperymenty z jego zastosowaniem zdecydowali się zarządcy kolei warszawsko-wiedeńskiej. W 1859 r. powstał z wykorzystaniem cementu z Grodźca pierwszy most betonowy, w miejscu symbolicznym, nad Przemszą między Sosnowcem a Katowicami. Upowszechnienie cementu przy budowie kolei, a raczej przeniesienie do niego projektantów rosyjskiej sieci „dróg żelaznych”, otwarło wielki rynek dla produktów z Kongresówki. W roku 1885 wybudowana została druga fabryka cementu – „Wysoka” pod Łazami, korzystająca z miejscowych zasobów kamienia, margli i glinek. Następnie w roku 1895 buduje się cementownia „Firley” pod Lublinem oraz, dzięki kapitałowi francuskiemu, fabryka „Rudniki” pod Częstochową. W kolejnych latach zbudowano 6 nowych fabryk cementu: „Kłucze” koło Olkusza, „Łazy” przy stacji Łazy, „Opoczno” pod Opoczmem, „Wrzosowa” pod Częstochową, „Ogrodzieniec” w okolicy Zawiercia i „Kielce” w Kielcach. W 1913 r. w Ogrodzieńcu powstała nowa cementownia „Wiek”.

Cementowania we Wrzosowej powstała w 1897 r., związana była organizacyjnie z cementowniami w Łazach. W 1902 r. produkcja we Wrzosowej szacowana była na 120 tys. beczek cementu, podobnej wielkości była produkcja w Rudnikach. Unowocześnienie „Rudnik” i powstanie cementowni „Wiek” stanowiło istotną konkurencję. Z tego względu przedsięwzięcia związane z Łazami, nazywane towarzystwem akcyjnym „Wysoka” zrezygnowały z udziału w syndykacie, odwołując od wspólnego ustalania wielkości produkcji i związanej z tym ceny produktu. Niestety, to usamodzielnienie, nastąpiło zbyt późno. W 1914 r. po wybuchu wojny cementownie znalazły się pod okupacją niemiecką, tracąc

swój rosyjski rynek. Czasowo wstrzymano produkcję we Wrzosowej. Problem utraty rynku wschodniego, przy jednoczesnym małym zapotrzebowaniu na cement w Polsce niepodległej rzutował także na dalsze losy Wrzosowej, nadal związanej z towarzystwem akcyjnym „Wysoka” w Łazach. Przedwojenne województwo kieleckie stało się centrum produkcji cementu. Florian Barciński w *Geografii gospodarczej województwa kieleckiego* wskazywał, że na 16 cementowni w Polsce, 8 znajduje się w Kieleckiem. Tu były najlepsze warunki produkcyjne, ze względu na zasoby mineralne i bliską dostępność złóż węgla; w ówczesnej technologii produkcja 100 kg cementu wymagała zużycia 60 kg węgla. Barciński pisał: „Techniczne urządzenia fabryk w ostatnich latach wykazują bardzo poważną poprawę. Większość z nich posługuje się nowoczesnymi piecami rotacyjnymi. Pionowe piece z obrotowymi rusztami zastosowano po raz pierwszy w Łazach. Fabryki w Ogrodzieńcu, Kluczach i Wrzosowej mają piece szachtowe, a w Łazach piece szachtowe automatyczne. Dzięki daleko posuniętej modernizacji urządzeń, i przeszło półwiekowemu bogactwu doświadczeniu, oraz dzięki doskonałym surowcom gatunek produkowanego cementu jest bardzo wysoki w niczym nie ustępuje zagranicznemu. [...] Rozwój produkcji przemysłu cementowego posuwa się w tempie szybkim”. Z książki Barcińskiego poznać można potencjał cementowni w województwie kieleckim w 1928 r.: „Wysoka” zatrudniała 491 robotników, produkcja 200 tys. ton; „Grodziec” 390 robotników, produkował 105 ton; „Ogrodzieniec” 316 robotników, 70 tys. ton; „Wiek” 187 robotników, 60 tys. ton; Wrzosowa, 297 robotników, 33 tys. ton; Rudniki 261 robotników 26 tys. ton. „Całkowita wytwórczość fabryk cementu w woj. kieleckim, przy 2.671 zatrudnionych robotnikach, wynosiła 593.000 ton, co w stosunku do ogólnokrajowej wytwórczości stanowiła bez mała 54%. Ponieważ pojemność wewnętrznego rynku jest jeszcze mała, przeto przemysł cementowy musi sobie szukać zagranicznych rynków zbytu. Miejscowe cementownie wysyłają cement do Gdańska, Łotwy, Szwecji, Estonii, Rumunii, a nawet do Chin, Palestyny i Egiptu”.

Po wojnie dopiero w 1924 r. udało się przywrócić przedwojenny poziom produkcji – 1 000 000 ton. W latach dwudziestych nastąpił wzrost zainteresowania wykorzystania cementu w betonowych konstrukcjach domów mieszkalnych i obiektów przemysłowych. Popularyzacji służyła duża prezentacja cementowni na pierwszej Krajowej Wystawie w Poznaniu w 1929 r. Wrzosowa prezentowała się na wspólnym stoisku cementowni Tow. Akc. „Wysoka”, z zakładami pod

Łazami i na Wołyniu. Niestety, wkrótce zaczął się wielki kryzys, a wraz z nim spadek inwestycji i zapotrzebowania na cement. Moce polskich cementowni wynosiły w początkach lat 30. 2 400 tys. ton; krajowe zapotrzebowanie było poniżej 1 mln ton. Zdecydowano o likwidacji mniejszych wytwórni, a do nich należała Wrzosowa. Zakład ratował się inwestując w pracownię chemiczną produkującą, w oparciu o miejscowe minerały, dwuchromian sodu i dwuchromian potasu – cenny surowiec dla produkcji barwników. W 1936 r. zaprzestano produkcji cementu; po wojnie Polska dysponująca poniemieckimi zakładami na Opolszczyźnie nie była zainteresowana odbudową Wrzosowej. Zasoby tutejszej siły roboczej stały się niezbędne w planach rozbudowy Huty im B. Bieruta.

Z dziejami wrzosowskiej cementowni wiąże się postać jej dyrektora Józefa Rutkowskiego. Urodzony w 1872 r. pod Iłżą, pochodzący z rodziny ziemiańskiej, gimnazjum ukończył w Warszawie. Umiejętności zawodowe zdobywał pracując w farbiarniach w Łodzi i Zgierzu; dostrzeżono tam jego zdolności wysyłając na koszt pracodawcy na studia w Szwajcarii. Dyplom inżyniera chemika zdobył w 1899 r., w tym też roku objął stanowisko kierownicze w nowej cementowni we Wrzosowej. W 1902 r. mianowano go dyrektorem zakładu. Ceniony przez pracodawców jako fachowiec i dobry organizator, był dyrektorem wyjątkowo nietypowym; związał się bowiem z PPS-em i ruchem robotniczym. W czasie rewolucji 1905 r. w cementowni urządził „konspiracyjny” magazyn broni przeznaczonej przez bojowców z terenu Niemiec. Rewolucyjne zaangażowanie łączył z maksymalnym wykorzystaniem legalnym szans poprawy bytu robotników. W 1907 r. był inicjatorem i współ-

założycielem spółdzielni spożywców „Wiara”, a w 1918 r. – ochotniczej straży pożarnej we Wrzosowej. W czasie I wojny światowej należał do Komitetu Obywatelskiego powiatu częstochowskiej, w tym trudnym czasie organizował dożywienie robotniczych dzieci oraz opiekę lekarską nad nimi. Działalność społeczną kontynuował także po powstaniu Polski Niepodległej. W swoim prywatnym mieszkaniu urządził bibliotekę dla robotników, wspierał finansowo organizację pikników i zabaw dla robotniczych dzieci. W latach kryzysu, w 1932 r. pisało o nim „Słowo częstochowskie”:

„W r. ub. dyrektor Rutkowski, akcjonariusz cementowni wrzosowskiej, dożył na swój koszt ponad 80 dzieci z rodzin najbiedniejszych, w roku bieżącym z tej dobroczynności dyrektora korzysta 85 dzieci. Obywatelski czyn dyrektora Rutkowskiego podkreślamy, jako wzór dla innych osób zamożnych, które mogłyby pójść temi śladami i nieść pomoc najbiedniejszym. Warto zaznaczyć, że cementownia wrzosowska zapisała się trwale w życiu kulturalnym, towarzyskiem i dobroczynności we Wrzosowej – akcjonariusze cementowni pp. Holenderski i Ewest ofiarowali od siebie w r. ub. na rzecz straży ogniowej po tysiącu złotych, a przed kilku laty udzielili bezpłatnie kamienia na budowę domu ludowego. Dyrekcja cementowni żywo interesuje się strażą ogniową, darząc ją należytem poparciem przy wszelkich poczynaniach”.

Ma Józef Rutkowski swój trwały pomnik we Wrzosowej w postaci stojącego przy trasie DK-1 osiedla domów fabrycznych dla robotników. Domy zbudowane „jurajską technologią” z łamanego kamienia wapiennego i cegły, zaprojektowano w sposób zabezpieczający zdrowotne warunki mieszkańcom. Pomyślano także o otoczeniu ich terenami zielo-

nymi, służącymi zabawie i rekreacji najmłodszych wrzosowiaków. Rutkowski, zmarły w 1951 r., administrując cementownią, spowodował, że fabryka stała się dźwignią dla lokalnej społeczności, zapleczem służącym lepszemu życiu ogółu. Może dlatego, wśród starszych mieszkańców Wrzosowej, tak silna jest pamięć o zamkniętym w 1936 r. zakładzie, zmieniającym małą wioskę w dużą osadę robotniczą, będącą od 1931 r. stolicą gminy.

Po wojnie granice administracyjne Częstochowy przesunięto prawie pod wzgórze Kamionek. Nowym centrum gminy stała się Poczesna, a rozwój miejscowości związany był z eksploatacją syderytów. Sąsiedztwo trasy DK-1, tradycje przemysłowe i bliskość dużego miasta powodowały, że w czasach III RP dynamicznie rozwijała się tu prywatna mała i średnia przedsiębiorczość. Zamożność gminy sprzyjała tworzeniu się tożsamości lokalnej. Dużym zainteresowaniem cieszą się artykuły i książki przypominające tradycje tutejszego górnictwa rud żelaza. Z sentymentem wspomina się zakłady w Osinach produkujące „osinobusy”, przewożące robotników do śląskich kopalń. Istnieje koło genealogów zainteresowanych „niemiecką” przeszłością Huty Starej A. Władze gminy wspierają tego typu inicjatywy. Realizowana jest ścieżka rowerowa prowadząca po dziedzictwie dawnych kopalni rud. Dzięki pracy pani Główniak wyznaczono na Kamionku ścieżkę dydaktyczną; projektowana jest jej rozbudowa z udostępnieniem wapiennych odkrywek. Być może włączy się także Częstochowa czyniąc z Bleszna atrakcyjny teren spacerowy. Może w ramach tych prac pojawi się tablica przypominająca cementownię tworzącą Wrzosową i jej dyrektora – współtwórcy obywatelskości robotniczej osady. ■



fol. Wernicla

Nie było radości w domu Rostowów

WOJCIECH LIPOWSKI

W tym domu wszyscy żyli razem. Wspólnie spożywali posiłki siedząc przy długim stole. Toczyli tam spory, radowali się, kłócili, smucili, ale też milczeli, gdy zranione dusze nie pozwalały inaczej. Wznoszono toasty i nieważne, jakie ktoś zajmował miejsce czy pozycję społeczną, majątkową, współlistniała wspólnota, dotycząca w równym stopniu żywych i zmarłych, gdyż ci ostatni niczym nie różnili się od pierwszych. Silna była także pamięć. Doprawdy nie ma znaczenia, że goście ze zaświatów wchodzili do pokoju stołowego przez ogromne rozświetlone drzwi. To raczej podkreślało znaczenie nieobecności, sens trwania i siłę powtórzenia, jaką niosła ze sobą reaktywacja spraw dokonanych, dawno minionych. Tak niewiele w gruncie rzeczy się pamięta, a czasem coś powraca nieoczekiwanie razem z bogactwem faktów i szczegółów, o które trudno podejrzewać zawodną pamięć.

Za plecami wojna, a tu ludzie uwikłani w problemy, namiętności, trudną miłość. Rozpaleni żarem sporów o rzeczy ważne i te mniej istotne. Dwie rodziny, spolaryzowana dwujędźnia, Rostowowie i Bołkońscy. W środku Pierre Bezuchow, z boku hrabia Rostow, gdzieś dalej Dołochow, Andrzej Bołkoński. Są i damy: Natasza, Maria, Lisa, Helena, która za chwilę stanie się złowieszczą Nemezis. Od razu widzimy, że znaleźliśmy się gdzieś w środku *Wojny i pokoju* Tołstoja, której fragmenty wzbogacone innymi tekstami, kameralnie, wręcz intymnie przysposobił i wyreżyserował na początek sezonu w Teatrze Śląskim uważny lektor kanonicznych dzieł literatury światowej Janusz Opryński.

Tekst sztuki jest bogaty i bardzo trudny do pełnego rozczytania, bo po pierwsze trudno dziś wierzyć, aby ta przepastna powieść Tołstoja była szeroko znana i czytana, po drugie lokalizacja innych odwołań tekstowych wymagałaby pewnie stosownych przypisów. Mamy tam fragmenty *Wojny peloponeskiej* Tukidydesa, recytowane w spektaklu przez Generała K. ślącego podwładnych na pole walki jako przykład kanonicznego archetypu ludobójstwa, mamy inspiracje płynące z esejów autora *Wojny i pokoju*, tekstu Simone Weil, czy pracy Nicolì Chiaromontego *Tołstoj i paradoks historii*, o których wspomina autor adaptacji.

Spektakl ma mieć w zamyśle twórców charakter współczesny i ponadczasowy. Wojna, którą opisał w swym dziele powieściowym Tołstoj bez wątpienia może mieć wiele analogii do czasów nam współczesnych i do tego czego sami obecnie doświadczamy. W domu Rostowów rozmawia się, rzecz jasna, nie tylko o wojnie, ale o sprawach jak najbardziej ludzkich, codziennych, uznawanych za oczywiste: życiu, śmierci, miłości, pragnieniach, kłopotach. Kompozycja spektaklu stworzona przez Opryńskiego posiada funkcję referencjalną, bowiem odsyła do rzeczywistości zachowanej w pamięci i doświadczeniu. W tym wypadku doświadczeniu i wiedzy Narratora, który oprowadza nas niejako po rzeczywistości zdarzeń, jakie zachowały się w jego pamięci. I tu można zapytać: pamięci narratora też samego z autorem opowieści?

Można domniemywać, że taka była intencja reżysera. Artur Świąs jako przewodnik po tym dawno zapomnianym domostwie jest niezrównany, oszczędny w ekspresji wrażeń, ale też, kiedy trzeba wścibski, krytyczny, komentujący, dawkujący napięcie, bowiem to właśnie dzięki jego interpretacji scenicznej możemy uwierzyć w autentyczność, choć może tylko pozorną, historii nam ukazanych. Jeśli przyjmiemy, że jest to *alter ego* Tołstoja, *porte-parole* jego poglądów, to trzeba przyznać, że pamięta on bardzo dużo, jego opowieść jest niezwykle barwna, a szczegóły przywołują morze skojarzeń i odniesień do różnych źródeł.

Jeśli w teatrze można coś szkicować, to chyba *Wojnę i pokój* w Teatrze Śląskim możemy określić mianem teatralnego szkicu. Jeśli ktoś spodziewa się intensywnego, mieniącego się barwami dużego obrazu będzie zawiedziony. Temu spektaklowi od strony formalnej bliżej do form Czechowa niż panoramy. Otrzymaliśmy w sumie dość oszczędny w kompozycji, skromny w formie tekst. I bardzo dobrze. Oczywiście barw w nim nie brakuje, scenografia, kostiumy i światła Katarzyny Stochalskiej bardzo dobrze opisują świat Bołkońskich i Rostowów, wypełniają go, nadają mu intensywność towarzyszącą emocjom, a także rodzącym się i gasnącym namiętnościom. Bardzo pociągające są przy tym, wpisane w dialogi bohaterów, tak bardzo Tołstojowskie nieoczywistości rozstrzygnięć różnych spraw. Udało się reżyserowi oraz aktorom uchwycić na scenie to co oczywiste na kartach powieści, ale trudniejsze na scenie, czyli poetykę i styl lektury możliwą podczas spotkania z oryginałem. Można powiedzieć, że dzięki niezwyklej wrażliwości autora otrzymaliśmy pojemną w znaczenia repetycję literackiego wzoru.

Inscenizacja, co już wspomniano, eksponuje bardzo ciekawie ukazany motyw przenikania się dwóch światów: żywych i umarłych. Wojna zabiera ludzi, żywi przechowują pamięć i patrzą w ogromne, leżące na ziemi lustro, jakby chcieli w nim odczytać nieodległą przyszłość, ale ona jest zakryta, niewiadoma. Włączenie tego elementu kompozycyjnego w dyskurs dotyczący destrukcji świata



fot. Przemysław Jendrośka



ta, jaką niesie każda wojna, skutkuje gorzką refleksją zbudowaną z bogactwa faktów i szczegółów zaczerpniętych z życia bohaterów powieści. Dyskusja o wojnie, która toczy się przy zastawionym stole, później już pustym, pozbawionym atrybutów pokojowej egzystencji, przypominającym polowy szpital, gdzie umierają ranni; staje się continuum stanowiącym oś narracyjną całości zdarzeń. Trzeba przyznać, że ten element *Wojny i pokoju* stanowi poruszający fragment spektaklu. Przypomina się *Wielopole*, *Wielopole* Tadeusza Kantora i ten stół w pokoju, obok którego przeszła historia rodziny i ojczyzny bohatera. Dom jako ostoja spokoju i bezpieczeństwa, pęka w posadach, twarze niektórych domowników bledną, stają się maskami i już wracają po to, aby z innego wymiaru egzystencji przynieść przestrożę, czasem przypomnienie tym, którzy zostali.

Poetyka spektaklu, mimo że wojenne inferno pełne jest tragicznych tonów, ma w sobie kojącą nutę spokoju, znaną z kart powieści Tolstoja nostalgicznie, a może wyraża też akceptację, zgodę na doświadczenia, które przynosi los. Świat ma także swój powab. Szczególnie zanim zniszczą go pociski. Zwiewne

suknie dam, wykwintne ubrania mężczyzn, ale też leżący gdzieś z boku piękny, przewrócony żyrandol, w którym powoli gasną światła jako wspomnienie dawnego bogactwa, spokoju, etykiety. A na proscenium ziemia z pola bitewnego, w którą za chwilę zanurzą się dłonie rannych żołnierzy. Zmieniają się plany, zmienia perspektywa patrzenia narratora, zmienia i traci kolorowy dawny spokojny świat. Bardzo ciekawie i przejmująco pokazał to w swojej wizji dzieła Tolstoja Janusz Opryński. Najpełniej wybrzmiały te akcenty, gdy na scenie pojawiła się Nemezis, świetnie naszkicowana emocjami, zagrana z wyczuciem nastroju przez Aleksandrę Przybył, bogini zemsty i sprawiedliwości. Będzie towarzyszyć wszystkim aż do końca.

Osobne miejsce zajmują w tym świecie kobiety. Ukazane, chciałoby się rzec namalowane, w całej paletce emocjonalnych barw. Pozornie słabe, ale emanujące wewnętrzną siłą, szczególnie wobec zdarzeń tragicznych jakich doświadczają na równi z mężczyznami. Zjawiskowe, młode, stare, zamknięte, pełne życia. Pełnia kolorów, doświadczeń, namiętności, miłości. Są odważne i mądre, przenikliwe i wrażliwe. To właśnie

w ich usta autor włożył fragmenty esejów Tolstoja, by wybrzmiały niczym pacyfistyczny manifest, wypowiedziany gromkim głosem sprzeciw wobec wojny w jakimkolwiek wymiarze i miejscu. To właśnie role kobiet pozostaną z pewnością na długo w pamięci widzów: Katarzyna Brzoska, która w roli Marii wygrała wszystkie możliwe emocje; Aleksandra Fielek przejmująco oddała tragizm postaci Nataszy; Natalia Jesionowska kreśląca z dystansem słabą naturę odtwarzanej Lisy; Anna Lemieszek zjawiskowa Sonia; Violetta Smolińska mistrzowsko budując portret Hrabiny pełnej empatii i poczucia tragizmu wobec płynących wydarzeń.

W salonie męczyzn galeria postaci. Bardziej i mniej wyrazistych. Można odnieść wrażenie, iż mieli nieco mniej materiału do lepienia figur swoich postaci. Ich świat pełen jest tu wrzenia, niepokoju, nie wolny od nienawiści, zazdrości, pożądania. To oni są ofiarami wojny, przychodzą pełni ran, tych fizycznych i psychicznych. Ich życie także jest kruche i splekane od wstrząsów. W końcu oczy pełne przerażenia, niepokoju stygną podobnie jak marzenia, oczekiwania. Nie sposób wymienić wszystkich, każdy to osobny, wartościowy, pełen treści, emocji portret. Zapamiętamy Bartłomieja Błaszczyńskiego pełnego sprzeczności Andrzeja Bołkońskiego; znakomitego Wiesława Sławika jako Hrabiego Rostowa; rozedrganego, drżącego od emocji Pierre'a Bezuchowa w dobrej interpretacji Michała Rolnickiego; Jerzego Głębina w przejmującej roli Starego Bezuchowa; Mirosława Książka jako wyzbytego emocji, bezwzględnego Generała K. Cały zespół gra w tym spektaklu jak nieźle zestrojona orkiestra.

Ktoś może zapyta o przesłanie tej bogatej w znaczenia całości. Zawsze porównanie tekstu prozatorskiego i teatralnej adaptacji dzieła wybitnego wyzwala szereg konotacji, kieruje naszą uwagę w stronę możliwych tropów i aluzji funkcyjnych w tradycji kultury. Kwestia ta musi być brana pod uwagę, jeśli chcemy dotrzeć do szczerości intencji autora każdego utworu. W przypadku adaptacji teatralnej tekstu Tolstoja można odnieść wrażenie, że otrzymaliśmy raczej pytanie o ciąg dalszy świata po katastrofie. Wobec destrukcji porządku znaczeń, jaki przetrząsnęła wojna nie możemy pozostać bezradni, możliwe jest odrodzenie, bo towarzyszy mu nadzieja. W przeciwnym razie rzeczywistość byłaby nie do zniesienia. ■

Wojna i pokój
wg Lwa Tolstoja
Scenariusz i reżyseria Janusz Opryński
Teatr Śląski w Katowicach
Premiera 27 września 2024





Taneczny język sztuki scenicznej

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Była pierwszą w dziejach kobietą uhonorowaną nagrodą Nobla. Dwukrotnie otrzymywała to prestiżowe wyróżnienie naukowe za imponujące dokonania w różnych dziedzinach wiedzy. Urodziła się w Warszawie, ale miejscem jej owocnej działalności naukowo-badawczej był Paryż. Teraz Maria Skłodowska-Curie (1867–1934) stała się sceniczną bohaterką niezwykłego widowiska tanecznego *Curie – trzy kolory* na deskach Teatru Rozrywki w Chorzowie.

Filmy i spektakle o legendzie

O podwójnej noblistce (1903 fizyka, 1911 chemia) nakręcono już w przeszłości mnóstwo filmów biograficznych zarówno w Polsce, jak i w innych krajach. Trudno się temu dziwić: odkrycie przez nią dwóch nowych pierwiastków – radu i polonu – stawia ją wszak w rzędzie wybitnych ludzi nauki. Maria była jednak nie tylko sławną badaczką, ale i głośną skandalistką obyczajową, o której sporo pisano w swoim czasie na łamach francuskiej prasy bulwarowej.

W 2018 roku południowokoreańscy twórcy teatralni zaprezentowali światu musical *Marie Curie* (reżyseria Tae Hyung Kim). Fabuła intrygującego przedstawienia skupiała się nie tylko, co bezwzględnie warto odnotować, na sukcesach naukowych polsko-francuskiej uczzonej, lecz i jej burzliwym życiu osobistym. Znany polski reżyser i choreograf Artur Żymelka nie chciał powtórnie teraz sięgać do musicalowej formuły spektaklu. Stworzył więc oryginalne przedstawienie taneczne, odbiegające od wszelkich dotychczasowych schematów inscenizacyjnych.

Pionierka feminizmu

Bohaterką chorzowskiego widowiska jest kobieta z krwi i kości, która jawi się widzom niekoniecznie jako kultowa ikona nauki, która zdołała przełamać bariery w zdominowanym przez mężczyzn świecie akademickim, ale przede wszystkim – powiedzmy to wprost – jako pionierka feminizmu, symbol wolności i niezależności piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Cały ciężar dwuaktowego spektaklu spoczywa na solistach, tancerzach kreujących główne role

oraz na wieloosobowym zespole baletowym. Z założenia nie ma partii wokalnych, a artyści posługują się wyłącznie sugestywnym językiem gestów i tańca.

W postać Marii Skłodowskiej-Curie wciela się z powodzeniem Sofia Popowa, utalentowana tancerka pochodzenia ukraińskiego. Partneruje jej natomiast Łukasz Majowski w scenicznym wcieleniu Piotra Curie, męża głównej bohaterki, współtwórcy naukowych osiągnięć Marii. Reżyseria, choreografia, scenografia i oprawa świetlna widowiska stanowią zaś efektowne dzieło Artura Żymelki, który dał się dotąd poznać z różnorodnej pracy twórczej na muzycznych scenach Bytomia, Łodzi, Poznania, Szczecina, Warszawy i Wrocławia. W Chorzowie artysta spełnia – rzadko spotykaną w Teatrze Rozrywki – rolę wszechstronnego „człowieka-orkiestry”.

Od Chopina do Pink Floyd

Wykonawcy tańczą przy dźwiękach utworów z różnych szuflad muzycznych, od klasycznych etiud Fryderyka Chopina i monumentalnych kompozycji Wojciecha Kilara, a także jazzowych nagrań Leszka Możdżera aż do rocka progresywnego z repertuaru niezapomnianej formacji brytyjskiej Pink Floyd. Nie brakuje też popularnych piosenek francuskich (*Maria żyła przecież w okresie rozkwitu słynnego kabaretu paryskiego Moulin Rouge*) oraz współczesnych przebojów Madonny czy... Kuby Banacha. Autorem takiego rozbudowanego montażu dźwiękowego (kolażu) nagrań z różnych epok i gatunków muzycznych jest pianista, kompozytor i aranżer – Wojciech Sanocki.

Głosy i kolory

Spektakl nie obywa się jednak całkiem bez słów. Istotne znaczenie dramaturgiczne dla publiczności mają rozbrzmiewające z ust wyodrębnionej grupy sześciorga aktorów tzw. głosy zdarzeń. Tworzą one niepowtarzalny koloryt barwnej opowieści scenicznej z przełomu wieków. Fragmenty artykułów z francuskiej prasy brukowej, cytaty z listów rozmaitych osobistości życia publicznego, zwykłe plotki i ploteczki towarzy-

skie oraz pełne negatywnych emocji opinie wrogów Marii – pozwalają widzom wczuć się w atmosferę jej czasów, obfitujących m.in. w uczuciowe pasje i namiętności.

Tytuł chorzowskiego spektaklu nawiązuje zaś do kolorów francuskiej flagi – niebieskiego, białego i czerwonego. Symbolizują one – jak przekonuje reżyser widowiska – trzy niezłomne wartości: wolność, równość i braterstwo, będąc również odległym echem pamiętnej trylogii filmowej Krzysztofa Kieślowskiego. Przedstawienie na pewno nie jest nudne, choć momentami – przynajmniej – nie do końca zrozumiałe dla publiczności nieobeznanej z pikantnymi zdarzeniami z biografii noblistki, w tym zwłaszcza jej gorącym romansem z Paulem Langevinem (w tej tanecznej roli – Mateusz Wróblewski).

Emocjonująca choreodrama

Na słowa najwyższego uznania zasługują umiejętności taneczne zespołu baletowego kierowanego przez Natalię Gajewską. To prawdziwy kunszt artystyczny. Ekspresyjne widowisko taneczne na kanwie życiowych losów Marii Skłodowskiej-Curie wydaje się majstersztykiem sztuki scenicznej. Taniec wyraża wszelkie możliwe emocje – satysfakcję, radość, smutek, frustrację, poniżenie, ból, depresję, a wreszcie ulgę z racji naukowego zwycięstwa. Dobitnie odzwierciedlają tę sinusoidę namiętności atrakcyjne pod względem wizualnym kostiumy zaprojektowane przez Małgorzatę Słoniowską.

Chorzowski spektakl ma bezspornie nowatorski charakter. Fascynującemu przedstawieniu o niestereotypowej kobiecie – uczzonej, ale także żonie, matce i kochance – nadano frapującą postać choreodramy. Tego jeszcze nie było nigdy w blisko 40-letniej historii Teatru Rozrywki!

Curie – trzy kolory

Reżyseria, choreografia, scenografia, reżyseria światła Artur Żymelka
Światowa prapremiera
Teatr Rozrywki w Chorzowie
13 września 2024 r.



JAN MIODEK

„Widziołech Cieślika grać”

Lipcowy odcinek „Śląskiej ojczyzny polszczyzny” nosił tytuł „Ino Wilimowski” i był to fragment jednej z wypowiedzi Gerarda Cieślika. Dziś nazwisko piłkarza 50-lecia 1921–1971 weszło do tytułu – cytatu zdania mego kolegi ze szkolnych lat, który takim właśnie wykrzyknieniem, co doskonale pamiętam, poinformował mnie o swym wielkim kibicowskim przeżyciu, jakim było zobaczenie pierwszy raz na żywo legendarnego napastnika chorzowskiego Ruchu.

Do zdania *widziołech Cieślika grać* można dołączyć identyczne składniowo konstrukcje: łacińskie typu *video puerum ire* – „widzę chłopca iść”, *vidi puerum legere* – „widziałem chłopca czytać”, niemieckie *ich sah ihn spielen* – „widziałem go grać”, a i zdarzające się w tekstach staropolskich *uczynił je błędzić, widząc go już być w męskich leciech, wystawiając go być rozmaitej dobroci*. Jak pisał Stanisław Rospond w swej „Gramatyce historycznej języka polskiego” z r. 1971, „w XVI wieku tacy humaniści, jak Górnicki, Orzechowski i inni (ale nie Jan Kochanowski ani Rej), chętnie się taką składnią posługują, co jest oczywistym dowodem wpływu łaciny”.

Wszystkie zaś przytoczone zdania są przykładami składni zwanej z łacińska *accusativus cum infinitivo* (ACI) – „biernik z bezokolicznikiem”, charakterystycznego dla niektórych języków, zwłaszcza łaciny i greki klasycznej, odpowiednika zdania dopełnieniowego lub podmiotowego, składającego się z wyrażenia rzeczownikowego w bierniku (łac. *accusativus*) oraz bezokolicznika (łac. *infinitivus*).

We współczesnej polszczyźnie ogólniej powyższym przykładom nadali-

byśmy kształt następujący: *widziałem, jak gra Cieślik (widziałem grającego Cieślika), widzę, że chłopiec idzie (widzę, jak chłopiec idzie; widzę idącego chłopca), widziałem, że chłopiec czyta (widziałem, jak chłopiec czyta; widziałem czytającego chłopca), widziałem go, że gra (widziałem go, jak gra; widziałem go grającego), uczynił, że błędzili (uczynił ich błędzącymi)*.

W polszczyźnie śląskiej syntaktyczne struktury typu *widziołech Cieślika grać* są ciągle obecne, zwłaszcza w języku pokolenia starszego, o czym informuje chociażby „Mały słownik gwary Górnego Śląska” z r. 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec, przytaczając na s. XLII połączenia typu *widzieć kogoś iść (jechać), słyszeć kogoś godać (śmiec się, śpiewać)* i przykłady: *widziołech go tyndy przechodzić, czyś rano słyszoł śpiewać ptoki?, zawołaj mie ino, jak ich tam usłyszysz larmować*. Autorzy słownika przywołują też ogólnopolskie odpowiedniki tych konstrukcji: *widziałem, jak tędy przechodził; czy rano słyszałeś śpiewające ptaki (albo że ptaki śpiewały)?; zawołaj mnie, gdy usłyszysz, że hałasują (krzyczą)*.

Na utrzymywanie się składni ACI na Śląsku na pewno miał wpływ język niemiecki, w którym ten model syntaktyczny jest językową codziennością – tak jak na pewno składniową kalką z języka naszych sąsiadów były jakże częste w czasach jeszcze mego dzieciństwa pytania w rodzaju *mają oni?, widzą oni?, słyszą oni?* (niemieckie *haben Sie?, sehen Sie?, hoeren Sie?*) – odpowiedniki standardowych *czy pan, pani ma?, czy państwo mają?, czy pan, pani widzi?, czy państwo widzą?, czy pan, pani słyszy?, czy państwo słyszą?*

Za składniowy germanizm uznaje się śląskie zwroty typu *tyś jest ale głupi (du bist aber dumm)*, w których *ale* pełni funkcję partykuły wzmacniającej, obecne również w słowniku Cząstki-Szymon, Ludwiga i Synowiec: *ty to ale poradziś tańcować!, przeca go znocie ale; przeca go ale znocie*. „Podobne konstrukcje występują w mówionej czeszczyźnie i języku słowackim – dopowiadają autorzy słownika. Wzorem tu był język niemiecki” (s. XL). A mnie przypomina się w tym momencie fragment „Skargi umierającego”, utworu znanego z dwóch średniowiecznych przekazów – plockiego (1463) i wrocławskiego (1461–1470), będącego prawdopodobnie przekładem czeskiej pieśni „O rozdzieleniu duszy z ciałem” (po roku 1422): „Zażżycieź mi świeczkę ale, moi mili przyjaciele” – z takim samym charakterystycznym *ale* i z archaicznym rozkaznikiem *zażżycieź mi!* – „zapalcieź mi!”.

Wracając zaś do charakterystycznych zjawisk składniowych mowy śląskiej, przywołajmy jeszcze takie formy, jak *ogródek od naszego ujka, bryle od babki, od niej cera, od nich chałpa*, którym w języku ogólnym odpowiadały połączenia „ogródek naszego wujka”, „okulary babki”, „jej córka”, „ich dom”.

Wreszcie – szerszy też jest zakres używania przyimka *do*, występującego w takich konstrukcjach, w których w języku ogólnopolskim występuje *dla*, np. *kupilech fajka do starzyka, móm nowe lacie do taty, jutro zaś polecóm filmy do dzieci, nasza pani jest dó nos dobro, sprzedawczka tako uczynliwo do ludzi* (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwiga, Helena Synowiec: op. cit., s. XLI).

Listopadowe skojarzenia

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Listopad w naszej polskiej tradycji kojarzony jest z miesiącem upamiętniania i pamięci. Znajduje to swoje odzwierciedlenie w dniu Wszystkich Świętych, kiedy czcimy pamięć tych i tylko tych, którzy już osiągnęli zbawienie i w konsekwencji przebywają w niebie, oraz w Dniu Zaduszych, który – zgodnie z liturgią – informuje o „obcowaniu świętych, zmartwychwstaniu ciał i życiu wiecznym”. Zatem oba dni pozostają w swoistym układzie komplementarnym. Ale dzień 2 listopada ma też utrwalone i bogate tradycje ludowe, w tym konkretne aksjologiczne, co odnajdujemy w dokumentacji etnograficznej i jakże pięknie w cmentarnym obrzędzie w utworze *Dziady* Adama Mickiewicza. Ale kto z nas wie o istotnej różnicy między tymi dniami?

Oba dni to czas pochylania się nad udekorowanymi – ostatnio barwnie i bogato – grobami tych, którzy odeszli. A byli przecież wśród nas. Niegdyś razem z nami tworzyli rzeczywistość, która jednak minęła. Wszak wszystko przemija. Razem tworzyliśmy niegdyś wspólnotę. I rodzinną, i regionalną, i narodową. Ta przeszłość przynależy już do czasu minionego, ale w tym kontekście rodzi się też często szersza refleksja o przemijaniu, także myśl o ciągłości, trwaniu i zmianie.

Listopad to w naszych realiach, zwłaszcza medialnych, również miesiąc dyskursu nad historią narodu i państwa polskiego. Te przekazy mogą łączyć, wywoływać pytania i rozterki, ale też niestety dramatycznie dzielić, gdy ulegamy populistycznym uproszczeniom okraszonym politycznymi ambicjami. Dziś gdy pójdziemy na cmentarze, do grobów zmarłych krewnych, ale też osób publicznych, pomyślnie nie tylko o Nich, ale także o nas. Nie w kontekście przemijania, lecz realnej rzeczywistości w której jesteśmy coraz bardziej podzieleni i to nie tylko w sensie politycznym.

W naszym górnośląskim regionie od kilkunastu lat coraz gwałtowniej, a w innych regionach Polski jeszcze silniej, zanika tradycyjny system wartości, kulturowo usankcjonowa-

ne wzory zachowań – w tym obrzędy, zwyczaje i obyczaje, a wreszcie religijność. Dlatego warto przypomnieć słowa św. Marka, który mówił dosadnie i pięknie: „Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem (...). Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Nie ma innego przykazania większego od tych” (Mk 12,28-31). Czy o tym wiemy? Czy pamiętamy z nauki religii? A może to wiedza niepotrzebna? Przecież zawsze nasza religijność była ułomna w zakresie wiedzy religijnej. Do tego trzeba uwzględnić współczesny proces laicyzacji, który ma różne natężenie i różne oblicza.

Wspomniany zaś problem „drugiego” to zjawisko obecne od wieków w wypowiedziach myślicieli i filozofów i w wyobrażeniach artystów. Dziś wszystko to wyraźne odzwierciedlenie znajduje w „filozofii dialogu”, czy w tym, co inni nazywają „filozofia spotkania”. W perspektywie ostatnich kilkudziesięciu lat przywołać należy, choćby przykładowo, rozważania Martina Bubera, austriackiego filozofa i religioznawcy pochodzenia żydowskiego, czy Emmanuela Lévinasa, francuskiego filozofa również żydowskiego pochodzenia. I wreszcie Polaka, ks. Józefa Tischnera, autora wielu interesujących dzieł, w tym *Historii filozofii po góralsku*.

W naszej regionalnej tradycji, w filozofii „typu ludowego”, ludowej ontologii warto przywołać znamieną myśl, którą skierował do mnie przed wielu laty górnik (rocznik 1888) z Katowic: „Każdy jest wart yno tyła, znaczy wedle boskiego porządku, jak sie zachowuje i co robi do inkszych ludzi, w familoku, w robocie, znaczy zawsze”. I właśnie teraz przychodząc na cmentarz musimy się zachować, jak mówi zaprzyjaźniony ksiądz, w sposób godny. Mówi, aby każdy nad grobem modlił się za zmarłych, ale też myślał o swoim zachowaniu. W tym upatruję sens tych dwóch dni. A wedle dawnej ludowej śląskiej tradycji: „Człowiek musi być do drugiego człowieka jak mu nakazuje religia. Nie może go obgadywać, godać

mu jedno a blank inksze o nim do innych; musi mu jak potrzebuje pomagać, o czym wyi każdy hajer...”.

Wielu moich rozmówców w czasie badań etnologicznych, a zwłaszcza antropologicznych, boleje od kilkunastu lat nie tylko nad zanikiem różnych tradycji, ale przede wszystkim nad istniejącymi i pogłębiającymi się podziałami między ludźmi. Zławsza nad rodzącą się wzajemnie niechęcią, agresją, a nawet nienawiścią. To według nich narasta, pojawia się także w życiu rodzinnym. Boli ich zanikanie granicy między Dobrem i Złem. Boli ich brak myślenia o tych negatywnych zjawiskach, a przecież dawniej wszystko to relacjonował lokalny folklor, w nim wszystko nazwane było jednoznacznie.

I tu nasuwa mi się myśl pisarza z Drohobycza, Brunona Schulza, który powiadał, że co nie nazwane – nie istnieje, a przecież dziś ustawicznie rezygnujemy z nazywania konkretnych faktów, zjawisk i procesów. W takim przypadku żyjemy w jakiejś dziwnej grze. Jakże istotną rolę odgrywają ci, którzy widzą Zło, a pozostają w strefie milczenia. I przypomnijmy, że o tym też śpiewały śląskie pieśni ludowe. To wszystko zawarte było także w ludowej religijności krytykowanej przez wielu teologów, a tylko św. Jan Paweł jeszcze w czasie sprawowania swojego pontyfikatu mówił o tej formie życia z szacunkiem, choć dostrzegał ułomności tej tradycji.

Oczywiście sens zachowują słowa papieża zawarte w jakże ważnej encyklice *Fides et ratio* z września 1998 roku, gdzie czytamy: *Wiara nie lęka się rozumu ale szuka jego pomocy, pokłada w nim ufność*. A przecież wiedza nie była obecna w religijności ludowej, ale ta opierała się na silnej wierze, bezgranicznej ufności i jakże silnym przeżyciu religijnym.

A czego uczy nas współczesny polski Kościół? Jego hierarchowie też są podzieleni. Zostawmy to. Kiedy rodzą się rozterki, skorzystajmy z wypowiedzi górnośląskiego arcybiskupa. Zatem proponuję: słuchajmy i czytamy ks. abp. dr. Adriana Józefa Galbasa. I wierzący, i ateści, i agnostycy. Warto.

Nudy na pudy

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I „Chamstwo zaczyna się straszliwie nudzić. Widzę, że nudzenie się jest cechą charakterystyczną hołoty, zarówno biednej, jak bogatej. Nudzić się może tylko prawdziwy cham, a intensywność nudzenia się jest wprost proporcjonalna do wewnętrznego prymitywizmu” – pisał Andrzej Bobkowski. No cóż, tylko nudni ludzie się nudzą... Przeczytałem to gdzieś? Usłyszałem? Nie pomnę.

II Związki wymyślnych społecznych utopii (kiedy to wszystkim będzie dobrze i będą szczęśliwi) i nudy nie wydają się bynajmniej oczywiste. Niemniej, jeśli już je dostrzec, to okazują się mocno powikłane. Wszak w założeniach najbardziej wpływowej nowoczesnej utopii, czyli komunizmu, świat miał uwolnić się nie tylko od alienacji (taki ówczesny „konik”, dzisiaj w modzie są inne koniki), ale i – niejako przy okazji – także nudy. Według Karola Marksa w komunizmie: *Spółczesność reguluje ogólną produkcję i przez to właśnie umożliwia mi robienie dziś tego, a jutro owego, pozwala mi rano polować, a po południu łowić ryby, wieczorem paść bydło, po jedzeniu krytykować, słowem – robić to, na co mam ochotę*. Jak wyglądała utopia w działaniu, kiedy ruszyła już z posad bryłę świata? Zostawmy na boku poważne dzieła bardziej i mniej poważnych socjologów i historyków. Zajrzyjmy do powieści noblisty Saula Bellowa *Dar Humboldta*. Jej bohater, Charlie Citrine daje w niej streszczenie swojego ciągle pisanego wielkiego eseju o roli nudy w dziejach Zachodu – jej tytuł to *Wielcy nudziarze współczesnego świata*. Esej ten choć zjawisko nudy traktuje uniwersalnie – zaczyna wszak od Sokratesa, znajduje w swych refleksjach miejsce i dla historii, i literatury, i ezoteryki – to przecież nieprzypadkowo podkreśla znaczenie czasu tworzenia rewolucyjnego projektu, a także czasu, kiedy widać utopię w działaniu, u władzy. Píše Bellow: „Intelektualną przeszłość Europy ukształtowali ludzie przesiąknięci nudą, ukształtowali pisma więźniów. [...] Z rewolucją polityczną we współczesnym świecie nuda ma o wiele więcej wspólnego niż sprawiedliwość”. I dalej: „Czy było coś nudniejszego niż te długie kolacje u Stalina, które opisuje Dżilas? [...] Goście pili i jedli, i znowu jedli i pili, a potem do dru-

giej nad ranem musieli zasiąść do oglądania jakiegoś amerykańskiego westeru. Siedzenia ich bolały. W sercach czaił się strach. Stalin gawędząc i dowcipkując, wybierał w duchu tych, którzy mieli dostać w łeb, a oni przeżuwać, parszając i chłając, dobrze o tym wiedzieli, oczekiwali, że wkrótce zostaną rozstrzelani”. Czy rzeczywiście było to takie nudne widowisko? Wspominałem już chyba kiedyś w tych felietonach, jak to Teresa Torńska rozmawiając z jednym z czołowych polskich stalinowców, Jakubem Bermanem, natknęła się na intrygujący szczegół, który zupełnie zmieniał sens opowieści, której słuchała. Otóż w pewnym momencie Berman, wspominając jedną z rytualnych kolacji u Stalina („Kolacje zaczynały się o dziesiątej wieczorem?” – w grę wchodzi zatem pewna regularność), powiedział, że tańczył z Mołotowem. „Chyba z Mołotową?” – zareagowała natychmiast Torńska. Ale nie – tańczył z Mołotowem, i inni działacze partii komunistycznych też tańczyli (musieli tańczyć) ze sobą w wyłącznie męskim gronie. Tańczyli, czy mieli na to ochotę, czy nie. Bawił się Stalin – ale sens tej zabawy znacznie wykracza, jak się wydaje, poza potoczne rozumienie tego pojęcia. Najwyraźniej to taka specjalna, sowiecka forma zabawy – na szczytach władzy. Na dłuższą metę mogła jednak mogła chyba znudzić kogoś, o nieco większych wymaganiach niż oglądanie poniżenia i przerażenia w oczach gości.

III Charliego Citrine’a zajmuje nuda jako „narzędzie panowania nad społeczeństwem”. Powiada: „Władza jest władzą narzucania nudy, wiązania [...] zastoju z udręką. Prawdziwa nuda jest zawsze zaprawiona trwogą i śmiercią”. Rewolucja jest, by tak rzec, akuszerką utopii u władzy. I o ile łatwo może przyjść do głowy, że ludzie nieco nudziliby się jednak w pocziwych utopiiach Tomasza Morusa, to rewolucja, dni, które wstrząsają światem, wydawać się musi czymś tak spektakularnym, że z definicji wykluczającym nudę. Wiele mówi się o rewolucyjnym romantyzmie, nie mniej – o emocjach, jakie towarzyszą rewolucji, która przedstawiana bywa jako przeżycie pokoleniowe, naznaczające na trwałe ludzkie biografie. Gdzie tu miejsce na nudę? Timothy Garton Ash w swej książce o polskiej rewolucji „Solidarności”

z lat 1980–1981 powiada, że starym refrinem rewolucji jest powtarzanie i utwierdzanie się w przekonaniu, iż „szczęściem było przeżyć tamten świt...”. Ale jest też inne podejście. Píše Bronisław Łagowski: „Dziwi mnie, że żaden z wielkich pisarzy kontrrewolucyjnych, ani Burke, ani de Maistre, ani Bierdiajew nie zwrócił uwagi na to, co jest główną cechą jakości życia podczas rewolucji. Dopiero Sołżenicyn zbliżył się tu do istoty rzeczy. Tą cechą jest nuda, dogłębna jałowość duchowa. Pozory przemawiają przeciw temu spostrzeżeniu. Przecież wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie. Co chwila sensacja, niespodziewane kariery, widowiskowe upadki, ten uciekł, tamtego schwytano. Do tego dochodzi niepewność czegośkolwiek i prawie nieustające zagrożenie. Tak, ale właśnie w takiej sytuacji głębsze funkcje umysłu przestają działać, człowiek staje się na przemian „to tępy jak pień, to niespokojny jak leśne zwierzę”. Może dlatego Talleyrand, człowiek, który przeżył *ancien régime*, Rewolucję, Dyktariat, Cesarstwo, Restaurację, monarchię lipcową, mógł oświadczyć z taką pewnością, że nie zna słodczy życia ktoś, kto nie żył przed Rewolucją. Stare chińskie przekleństwo – „obys żył w ciekawych czasach”, zyskuje tu nowoczesne konteksty.

To rzeczywiście interesująca perspektywa. Bo chyba się nie pomyłę, jeśli zaryzykuję stwierdzenie, że czytelników książek historycznych zwykle bardziej przyciągają studia opisujące i analizujące czasy niespokojne – przewroty, zamachy stanu czy – właśnie – rewolucje. Zatem – czyżby interesujące dla czytających potomnych czasy społecznych rewolucji, były dla ludzi, którym przyszło rewolucyjnych katastrof doświadczyć na własnej skórze, ciekawe – by tak ująć – „inaczej”? Czy możliwe jest, by w rzeczywistości – paradoksalnie czy też: pozornie paradoksalnie – rewolucyjne czasy po prostu tchnęły nudą?

IV Niedawno natknąłem się na pogląd, że to nuda właśnie jest tym elementem, który człowieka czyni człowiekiem. Zamiast więc próbować uwolnić się od nudy, powinniśmy raczej stan znudzenia kultuwać. No cóż, znudzony człowiek jest może ciekawy, ale tylko na stronicach eseju czy powieści. Każdy, kto o nudzie nie tylko czytał, ale się na nudzącego się człowieka natknął, wie o tym doskonale.

„Panocku, u nos sie płaci ino gotówkom”

TOMASZ SŁUPIK

Wakacyjny pobyt z córką w Zakopanem był dla mnie przeżyciem niemalże miśtycznym. Trafiłem tu po ponad 20 latach. Naszym głównym celem były piesze wycieczki po Tatrach, jednak nie dało się ominąć takich atrakcji miasta, jak słynne Krupówki. Spacer po tej wizytówce Zakopanego sprawił mnie kilkakrotnie w osłupienie. Pierwsze zdziwienie dotyczyło tzw. nowej architektury, a mianowicie wciśniętych minidomów handlowych w balansujący na granicy kiczu styl neozakopiański. Jakby nie było tutaj kogoś odpowiedzialnego za urbanistykę. Ten swoisty postmodernizm w przestrzeni był jednak niczym w porównaniu z kolejnymi atrakcjami. Stoiska z tandetą obliczone na wycieczki szkolne, kolonie i turystów, którzy koniecznie muszą przywieźć do domu ciupagę albo góralski kapelusz; naganiacze do skorzystania z bryczek, głośno zachwalający swoje usługi; budki oferujące sery i lokalne produkty spożywcze, przed którymi ustawały się długie kolejki amatorów oscypka z żurawiną. To tyle w temacie nawiązującej do tradycji góralszczyzny, jako najpewniej tradycji wynalezionej.

Zdziwienie numer dwa to gabinet figur woskowych z galerią takich sław, jak niezyskująca królowa brytyjska Elżbieta II. Kolejne moje zaskoczenie wywołała sytuacja, kiedy – wiedziony wspomnieniami – chciałem zobaczyć budynek Hotelu Giewont. Jakaż była moja konfuzja, gdy odkryłem, że w miejscu, które wspominam z sentymentem i rozrzewnieniem, swoją siedzibę znalazła jedna ze znanych polskich marek odzieżowych. Surrealistyczny obraz całości uzupełniali turyści ubrani w foliowe peleryny (akurat padał deszcz), które wyglądały, jak worki na śmieci. Dosłownie na palcach jednej ręki można było policzyć osoby w kurtkach przeciwdeszczowych lub z parasolami. Wisienką na torcie była oferta gastronomiczna. W wymiarze ilościowym niezwykle bogata. Z jakością już było gorzej. Za podsumowanie niech posłuży fakt, że za dwuosobowy obiad zapłaciłem prawie dwa razy tyle, co we Włoszech czy Hiszpanii.

Jednak nie był to czas stracony, ponieważ na głębszym poziomie pozwolił mi na wgląd na polską duszę, snującą (po 1989 roku) marzenia o kapitalistycznej utopii i zamożności w głębokim poważaniu mającą Innego i takie widzimisie, jak dbałość o krajobraz miejski i uporządkowaną przestrzeń. Tego typu cudzoziemskie fanaberie zarezerwowane są dla

Włochów, Holendrów, Hiszpanów czy Niemców. Wszak szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Ostatnie trzy i pół dekady to skok ekonomiczny Polski i Polaków, który objawia się coraz większą zamożnością głównie klasy średniej i wyższej, a od 2015 roku klasa ludowa ma się również dużo lepiej. Jak każdy deptak w górskiej miejscowości, Krupówki są miejscem prezentowania swojego statusu, pozycji społecznej, zamożności – takim klasycznym targowiskiem próżności. I tutaj nie mogło być inaczej. Dumni panowie z jeszcze bardziej dumnymi paniami i zwielokrotniającymi tę dumę dziećmi, przechadzali się lepiej ubrani lub trochę gorzej. W ich kroku, postawie, a przede wszystkim spojrzeniach, widać było dumę, satysfakcję, a w skrajnych przypadkach ekstazę. Że oto trafiliśmy do raj, a właściwie do polskiego raj, gdzie żadna wraza Unia Europejska nie będzie nas uczyć jak mamy żyć. W końcu jesteśmy dumnymi Słowianami, czyli kimś najlepszym w całej słowiańskiej rodzinie. Fundament naszego jestestwa tworzą wódka, pierogi, oscypki i bigos. Możemy nosić folię i wyrzucać ją, gdzie nam się podoba. Kto bogatemu zabroni. Po wąskich uliczkach Zakopanego jeździmy paliwożernymi SUV-ami, prezentując nasze przywiązanie do ekspresji indywidualizmu i kompletną obojętność wobec praw innych ludzi i przyrody. To wszystko podlane jest bogoojczyźnianym sosem, papieżem Polakiem, przeświadczeniem, że Polska jest najważniejsza, a nawet więcej – wieczna. W pewnym momencie puściliśmy wodze fantazji, że gdyby obudził się ze śmiertelnego snu twórca nowoczesnego, polskiego nacjonalizmu Roman Dmowski, to stwierdziłby, że właśnie to miejsce, ci ludzie i te wartości są najlepszą realizacją jego politycznego marzenia. Jednak żeby nie było tak cukierkowo, dla przeciwwagi wyobraziłem sobie przerażonego Witkacego, przechadzającego się Krupówkami i mamroczącego pod nosem o zbydlęceniu, Polakach niezdolnych do poważnego myślenia i końcu wszelkiej metafizyki i wartości.

Z tej medytacji wyrwał mnie Pan, inkasujący opłatę na jednym z licznych parkingów w tym mieście. Zapytany, czy mogę zapłacić kartą, z rozbrajającą szczerością i podhalańskim zaśpiewem, odpowiedział mi: „Panocku, u nos sie płaci ino gotówkom”.

Zmęczony tym miejskim pandemonium, myślałem, że znajdę wytchnienie w górach. Jakież było moje zaskoczenie, gdy wybrali-

śmy się na wycieczkę do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Wspólnie z córką zadbaliliśmy o każdy szczegół: od parkingu w Palenicy Białczańskiej, poprzez plan wycieczki i ewentualne warianty alternatywne w razie załamania pogody. Dotarcie do parkingu okazało się dziecinnie proste, jak na polskie warunki infrastruktura i organizacja były na zadowalającym poziomie. Jednak kilkukilometrowa droga do Morskiego Oka, a konkretnie szlak wiodący do Wodogrzmotów Mickiewicza był nie lada przeżyciem. Do tego momentu myślałem, że panowie w sandałach i skarpetkach z reklamówkami (bardzo znanej w Polsce sieci handlowej) wypełnionymi złocistym trunkiem i z dumnie wypiętym torsem są tylko zgrabnie zmontowanymi memami przez niepozabawionego poczucia humoru grafika. Nic bardziej mylnego. Takich przypadków było całe mnóstwo. Naiwnie myślałem, że jak zagłębimy się w uroczę, przyrodniczo bajkowe, przestrzenie Doliny Roztoki, to będziemy mogli odetchnąć pełną, łąkącą górskich wrażeń turystyczną pierśią. I tu znowu kolejne zdziwienie dotyczące ubioru odpowiednio dopasowanego do trudności górskich wędrówek. A konkretnie rzecz biorąc chodzi o buty. Większość reprezentantów dumnego narodu znad Wisły i Odry maszeruje i to nawet po dość wymagających górskich szlakach w sandałach, najróżniejszych adidasach, kłapkach, łaczkach i co tam może ułańska fantazja podpowiadać. I już zupełnie na koniec, kiedy zmęczeni marszem wspinaliśmy się pod słynną Sikławę, moim oczom ukazał się obraz godny pędzla mistrza Breughela. Oto pani co najmniej siedemdziesięcioletnia asekurowała swojego męża na dość stromej ścieżce, właściwie mozolnie stopień po stopniu wciągała go coraz wyżej i wyżej. Kiedy zbliżyliśmy się do tej przykuwającej naszą uwagę pary, skierowaliśmy wzrok na wycieńczonego nadludzkim wysiłkiem pana, a konkretnie na jego twarz. Komunikowała ona to, co himalaisci opowiadają o tzw. strefie śmierci, czyli przebywaniu powyżej 8 tysięcy metrów, gdzie ludzki organizm poprzez ekstremalny wysiłek balansuje na granicy życia i śmierci.

Ja też przez te kilka dni balansowałem na granicy realnego, nadrealnego i hiperrealnego. Drogi czytelniku, zanim połkniesz zakopiańską pigułkę, skonsultuj to z lekarzem lub farmaceutą, gdyż może to grozić Twojemu życiu i zdrowiu.

Kalifornijska sosna i brzoza chicagowska

ADAM LIZAKOWSKI

Ukazała się korespondencja dwóch poetów: Czesława Miłosza i Tymoteusza Karpowicza. Epistolografia nieobfita, lecz już za ich życia poetów zaliczano do najświetniejszych i ta opinia utrzymuje się do dziś. Obaj zasługują na miano „poeci poetów”. Analizowanie ich listów, to analizowanie dwóch postaci i ich relacji wobec siebie nawzajem i wobec czytelników ich wierszy. Znajomość ich musiała być oparta na jakiś zasadach i nie mogła polegać tylko na tym, że jeden i drugi jest poetą. Co miał z tej znajomości Czesław Miłosz, a co Tymoteusz Karpowicz – niejednen czytelnik tych listów może zadać sobie takie pytanie. Jasnej i jednoznacznej odpowiedzi nie znajdują. Korespondencja zaczęła się od prośbą (ponagleniem) do Karpowicza w sprawie czterech wierszy, a zakończyła się listowną prośbą Miłosza do Ministra Kultury o pomoc dla młodszego kolegi. Ostatnie listy stały się bardzo prywatne, dominuje w nich ton przygnębienia i bezradności wobec starości naznaczonej chorobami, a na końcu śmierć dochodzi do głosu i to ona stawia kropkę.

*

Czesław Miłosz, Europejczyk, nie chciał zostać Amerykaninem, ale piętnaście lat później będzie już mieszkańcem przepięknego przedmieścia San Francisco Berkeley. W nim na wzgórzu niedźwiedzi grizzly zapuścił korzenie na ponad trzydzieści lat i będzie profesorem na renomowanym kalifornijskim uniwersytecie przez niecałe dwadzieścia lat. Zacznie nauczać Amerykanów literatury polskiej i rosyjskiej poprzez geografię geopolityczną, politykę a przede wszystkim historię. Swoją profesorską pracę rozpocznie od przekładów współczesnej poezji polskiej i wydania antologii, wśród wybranych poetów znajdzie się też Tymoteusz Karpowicz z Wrocławia, którego nazwie młodym poetą, a z czasem młodszym kolegą.

*

Tymoteusz Karpowicz urodził się w roku 1921 kilka kilometrów od Wilna, w Polsce i nie miał problemów ze swoją tożsamością, był Polakiem. Czesław Miłosz urodził w 1911 roku w Sztejniach, które znajdowało się

w carskiej Rosji. W Ameryce podawał się za obywatela Wielkiego Księstwa Litewskiego, Litwina, którego rodzina od pokoleń mówiła po polsku. Będąc profesorem na kalifornijskim uniwersytecie układał historię literatury polskiej i poezji, czuł się jej gospodarzem i na jej na strony zapraszał (lub nie) gości, którzy według niego powinni się na niej znaleźć. Miłosz jest stroną, która pierwsza coś oferuje, przekłada wiersze Karpowicza, z czasem zaprasza do Stanów Zjednoczonych, pisze mu rekomendacje. Karpowicz ma zamiar napisać książkę o Miłoszu, także zaprasza go już po nagrodzie Nobla na konferencje poświęcone Norwidowi, Leśmianowi i Przybosiowi do Chicago. Przybóś stanie się „problemem” przyjaźni obu poetów, która mogłaby się zawiązać, a tak korespondencja będzie w tonie wzajemnej uprzejmości i szacunku, nawet, jeśli się nie zgadzają, ale to jest taki amerykański sposób, bardzo powierzchowny, i raczej chłodny. Z listów przebija troska obu twórców o polską poezję i czytelnik jest przekonany, że obaj robią wszystko, co tylko jest możliwe, aby literatura polska była jak najszerszej znana w świecie amerykańskim.

*

San Francisco i Kalifornia to zupełnie inna kraina niż Chicago i Illinois; nie mam na myśli tylko natury, bo to wiadomo, Kalifornia klimat śródziemnomorski, a Illinois to zimna północ. Przede wszystkim ta „inności” jest pod kątem polskości w obu wymienionych miejscach. Miłosz przebywał w środowisku amerykańskim, a Karpowicz nie. On jest – mimo wszystko – w bardziej dramatycznej sytuacji, w bardziej niezwykłej, bo miejsce, w którym się znalazł od półtora wieku jest skrawkiem polskości na ziemi amerykańskiej. Ta niezwykłość może polegać na tym, że poeta w środowisku ciężko pracującej Polonii to postać bezbronna, a z braku siły nie może przeciwstawić się światu, zarządzanemu przez ludzi, dla których kultura to ostatnia rzecz na ich długiej liście potrzeb. Poeta zachowuje się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał z Wrocławia. Píše wiersze całkowicie oderwane od rzeczywisto-

ści, w której się znalazł, jego aktywna egzystencja nie dostrzega ich, ani tego, co oni czują i myślą, będąc tak blisko siebie, praktycznie nie interesują się sobą nawzajem.

*

Studenci poety z Berkeley to przede wszystkim rodowici Amerykanie, dla których Polska to naprawdę egzotyczny kraj, większość z nich nigdy nie widziała Polaka, ani nie miała żadnego kontaktu z polskością. Uczenie ich literatury i kultury polskiej wymagało nie lada sprytu i podejścia – takiego, co nie zniechęciłoby ich, ale wręcz przeciwnie zachęciło do nauki. Studenci profesora z Oak Park spod Chicago to emigranci solidarnościowi albo dzieci pierwszego pokolenia Polaków, których rodzice tak na dobrą sprawę nigdy nie nauczyli się języka angielskiego. Na pewno były też osoby, niemające nic wspólnego z tą częścią Europy, której kulturę chciały poznać i studiować literatury słowiański i bałtyckie.

*

W książce jest dwadzieścia siedem listów. Znajac Miłosza, można powiedzieć, że lubił pisać i jego jedenaście listów do poety z Chicago to naprawdę bardzo mało. Jest też sporo „dziur czasowych nawet dziesięć lat” i nie była to czarna dziura, która, jak pisał znajomy Miłosza Albert Einstein, zakrzywia czasoprzestrzeń tak bardzo, że człowiek może jednocześnie zobaczyć swoje narodziny i śmierć, a nawet własne plecy; jednym słowem całe życie.

*

List pierwszy rozpoczyna się irytacją tłumacza z Berkeley tym, że Karpowicz zamiast wyrazić zgodę na publikację jego czterech wierszy w powstającej antologii polskiej powstałej po XX wojnie światowej, zaśłania się Zaiksem, tak jakby miał obawy przed komunistami, że bez ich „błogosławieństwa nic nie można”. W następnym liście dziękuje tłumaczowi za przekład i pamięć, przy czym skarży się: „na Zachodzie tłumaczy się moje wiersze [z] okresu wcześniejszego, «publicystyczne», tak bardzo dla mnie, w zasadzie nietypowe.

Trudno” (s. 40). Nie wiemy, kto jeszcze poza Miłoszem tłumaczył wiersze poety z Wrocławia na Zachodzie, ale list kończy się serdecznym podziękowaniem i najmiłszymi pozdrowieniami.

List szósty jest z marca 1971 roku. Ósma dekada XX wieku jest w korespondencji dwóch poetów wyjątkowa, zachowało się dziewięć listów. Poeta z Wrocławia pisze w nim o ewentualnym zaproszeniu go do pracy na którymś z uniwersytetów amerykańskich. Gdyby nie przypis wyjaśniający, że to Leon Szwed, przebywający w Stanach w latach 1970–1971, nawiązał kontakt z poetą z Berkeley i to on zasugerował mu, aby pomógł poecie z Wrocławia, list szósty byłby zagadką. Karpowicz chce wyjechać, ale jest „obłożony pracą i obowiązkami”. Musi dokończyć rozpoczęte prace, pisze, że może nie teraz, lepiej później, bo dopilnowałby wydania tomu wierszy *Odwrócone światło*, a także oddałby do druku książki Leśmianie i Przybosiu. Jest zajęty i to mocno, praca go pochłania. Wspomina, że gdyby się spotkali, to mogliby porozmawiać o „skompletowaniu materiałów do mego studium o Panu” (s. 47). Z tego listu możemy się dowiedzieć, nad czym poeta pracuje; oddanie Leśmianowi i Przybosiowi zostanie z nim do końca jego życia. Pomiędzy listem piątym a szóstym jest „dziura trzech lat”.

List siódmy napisany jest przez Miłosza. Raz jeszcze dowiadujemy się, że Karpowicz ma poważnie zamiary napisania książki o nim, ale poza jego nazwiskiem wymienia jeszcze Leśmiana i Przybosia. Miłosz zastanawia się, dlaczego Przyboś i sugeruje, że poeta z Wrocławia zbyt poważnie go traktuje, przecież: „Jakże mogę przedstawić siebie, że podoba się Panu moja poezja, jeżeli cokolwiek jest w niej dobre, jest karygodną zbrodnią według poetyki Przybosia – i na odwrót” (s. 51). Miał jakieś uprzedzenia do niego jeszcze sprzed wojny, podzielał nie najlepsze zdanie o Przybosiu Aleksandra Wata, którego bardzo wysoko cenił jako człowieka i pisarza. List kończy się genialnym wycuciem sytuacji dotyczącej Polski lat siedemdziesiątych. Miłosz, jako gospodarz, martwi się zbyt dużym zamiłowaniem do poezji anglosaskiej w kraju, „a także niskim” poziomem tłumaczonych wierszy, stwierdza, „**że dobrych poetów na Zachodzie niewiele**” (s. 51). Gospodarz polskiej literatury przeczuwa, że w następnych dekadach amerykańska poezja, przede wszystkim tzw. szkoła nowojorska przekładana nagminnie, tak bardzo zdominuje polską, że poeci urodzeni w latach 60. zafascynowani nią stworzą dziesiątą wodę po kisielu poezji amerykańskiej, tym samym obniżając poziom poezji polskiej.

Czesław Miłosz / Tymoteusz Karpowicz / Korespondencja /

[1965–2003]



List dziewiąty. Karpowicz odpowiada na siódmy list, jest on najdłuższy w całej korespondencji. Karpowicz wyjaśnia w nim, dlaczego właśnie Leśmian, Przyboś, Miłosz. List datowany na 24 grudnia 1973 pisany w Iowa City ma aż 42 przypisy, małe arcydzieło samo w sobie. W liście jedenastym Miłosz wraca do siódmego listu, w którym raz jeszcze pięknie uzasadnia, co jest, a co nie jest, według niego, literaturą i dowiadujemy się, że Mickiewicz nie jest literaturą, ale są Żeromski, Reymont, Kasprzowicz. Raz jeszcze powraca nieszczęsny Przyboś, któremu przeciwstawia Gombrowicza.

List trzynasty. Wraca Przyboś, w nim poeta z Berkeley pisze: *Ładnie, że Pan bronisz Przybosia, brzydko, że na niego napadam* (s. 84). W liście czternastym jest jeszcze więcej o Przybosiu, Miłosz powołuje się na wspomnienia Wata i wciąż nie jest przekonany, co do Przybosia, nazywając jego „poezję głęboko i mimo woli konieczną, łącznie z całym systemem «dyskretnych» rymów” (s. 90). Przyboś nie daje spokoju Miłoszowi i przez to

Karpowicz jest jakby cały czas podejrzany o to, że próbuje gospodarzowi „sprzedać coś, czego on tak naprawdę nie potrzebuje”. Ten Przyboś jest taką „małą kością niezgody”, a także przeszkodą, co „głębszej znajomości”. Jednak w trzecim wydaniu swojej antologii w 1983 roku znajduje miejsce dla jego twórczości.

List siedemnasty, to następne arcydzieło samo w sobie. Miłosz pisze w nim o amerykańskim systemie nauczania, a także daje swoje profesorskie wskazówki młodszemu koledze, jak on widzi amerykańskich studentów i jak należy do nich podejść pod względem nauki literatury słowiańskiej. W dalszej korespondencji temat ten nie powraca, widocznie Karpowicz nie za bardzo zgadza się z Miłoszem, co do nauczania Amerykanów literatury polskiej. List datowany na 14 sierpnia 1974 roku, czyli po czternastoletnim doświadczeniu poety z amerykańską młodzieżą, jest rozpisany w punktach: od jeden do czterech, z tym, że ten czwarty jest dla nas najciekawszy, ma podpunkty abc, oraz d. Poeta pisze: „Uczenie polskiej literatury jest

przedsięwzięciem niemal beznadziejnym, bo **kogo** ma Pan uczyć – to za-
sadnicze. Umysły to zupełnie dziecin-
ne i należałoby wyliczyć **błędy** najpo-
spolitsze wykładowców”. Czy Karpo-
wicz zgadza się tu z Miłoszem, tego
nie wiemy, sprawa ta w listach już nie
wraca. Miłosz wymienia całą gamę pro-
blemów w nauczaniu, podają nazwi-
ska literatów od Jana Kochanowskie-
go do Witolda Gombrowicza, tytuły
książek. Kończy się to stwierdzeniem,
że „Ogólna obserwacja: nie chceć im
wyłożyć za dużo. Utrzymać się na po-
ziomie dla nas najzupełniej elementar-
nym, pamiętając, że dla nich to są już
pojęcia zawile” (s. 103).

List 21 jest krótki, ale bardzo tre-
ściwy, napisany został w Monachium
11 lutego 1978, i to już ostatni list tej
burzliwej ósmej dekady. Karpowicz roz-
pocznie w nim wielką rodzinną/oso-
bistą tragedię obu poetów, która roze-
gra się na przestrzeni nadchodzących
dwóch dekad. Zacznie się ona od cięż-
kiej choroby żony Miłosza. Autor *Sło-
jów zadrzewnych* nawet by się pomo-
dlił za jej szybki powrót do zdrowia,
ale – jak pisze – jest osobą niewierzą-
cą. Jednak bardzo pragnie znowu uj-
rzeć ją w cudownym ogródku kwiatów,
które wspomina z poprzedniej wizyty.

List 22 z maja 1983 roku rozpoczy-
na dziewiątą dekadę XX wieku, jest to
ważny rok, bo sto lat wcześniej zmarł
Cyprian Kamil Norwid. Rocznicą jest
okrągła i Karpowicz nie może przepu-
ścić takiej okazji. Miłosz jest trzy lata
po Nagrodzie Nobla. Jest duża dziura
czasowa pomiędzy listem 21 a 22, bo
aż pięć lat. Co przez ten czas się dzia-
ło, nie wiemy. Karpowicz przygotowuje
się do konferencji, poświęconej poecie
zmarłemu w przytułku św. Kazimie-
rza, właśnie próbuje zaprosić Miłosza
do Chicago. Miłosz na słowo Chicago
dostaje ciarek na plecach, zaraz my-
śli o Polakach i Polonii amerykańskiej,
którą – podobnie jak Przybosią – wcale
a wcale nie darzył sympatią. Na szcze-
ście dla niego kłopoty finansowe prze-
rosły organizatora, milionowa Polonia
chicagowska nie pomaga, ale i tak kon-
ferencja odbywa się, choć bez Miłosza.

*

Następny list 23 to list Karpowicza do
Miłosza, datowany na 27 grudnia 1991
roku. Karpowicz przygotowuje się do
następnej, trzeciej konferencji nauko-
wej, poświęconej tym razem Julianowi
Przybosiowi, która ma się odbyć wio-
sną następnego roku. Chicagowska Po-
lonia nie jest z tego powodu zbytnio
zadowolona, jak zawsze mało poma-
ga finansowo, a nawet utrudnia. Przy-
boś przecież to komunista, dlaczego
Karpowicz lansuje w stolicy Polonii
świata komunistę? Argumenty profe-
sora, że to wielki poeta, lingwista, je-

den z najważniejszych poetów awan-
gardy, na nikim nie robiły większego
wrażenia, on po prostu był komuni-
stą, synem chłopskim, który jak ty-
siące innych synów chłopskich sko-
rzystał z okazji i wspiał się po drabi-
nie awansu społecznego. Komunista,
karierowicz nic więcej, a jego twór-
czość i życie były nierozłączne z wła-
dzą komunistyczną. Polonia widziała
tylko dwa kolory: czarny i biały, in-
nych nie znała i nie zna. Zapowiadała
się wielka burza, ale wiadomo – z wiel-
kiej chmury mały deszcz. Ani władze
Kongresu Polonii Amerykańskiej, ani
władze Polskiego Związku Narodowe-
go nie powiedziały stanowczego „nie”.
Finansowo chyba nie pomogły, zresztą
organizacje polonijne nigdy nie mia-
ły pieniędzy, tym bardziej na kulturę.

*

Wracając do Miłosza. Karpowicz po
wielu latach zrozumiał, że Przyboś
i jego twórczość nie są tym, co mo-
głoby zainteresować poetę z Berkeley.
W liście do niego pisze wprost: „Zna-
jąc Pana stosunek do Przybosi, nie
zaprosiłem Pana do grona prelegen-
tów” (s. 119). Mimo tego, że wiedział,
co Miłosz myśli o Przybosiu, awan-
gardzista raz po raz pojawia się w ko-
respondencji.

W roku 1991 przypadła 70 roczni-
ca urodzin poetę, w związku z tym
uroczystość odbyła się w konsula-
cie polskim w Chicago. List gratula-
cyjny od Miłosza. Karpowicz najwy-
raźniej się ucieszył, ale wydawał się
być zaskoczony. Dla niego Miłosz był
już po drugiej stronie barykady, miał
własne zdanie i swoją drużynę, która
miała udowodnić lub zwrócić uwagę
czytelników, że jest jeszcze inna dro-
ga, prowadząca w las polskiej poezji
w XX wieku. Miłosz zakończył swój
list słowami, które naprawdę mogą
się podobać, że pisze do niego „nie
jak do profesora, ale jak do kolegi po-
ety” (s. 143).

*

Ostatni, 27 list, jest z dnia 21 września
2003 roku, obaj panowie przeżyli strasz-
ny XX wiek, wkroczyli w XXI z choro-
bami. Żona Miłosza Carol już nie żyje,
rok później, w kwietniu, umrze żona
Karpowicza pani Maria, a 14 sierpnia
tego roku Miłosz. O Karpowicza śmierć
upomni się rok później, pod koniec
czerwca. Ale zanim to nastąpi, napisze
on do Miłosza: „z głębi mojego wileń-
skiego (wciąż!) Serca dziękuję Panu za
upomnienie się o moją twórczość i «byt
ekonomiczny» u ministra Dąbrowskie-
go” (s. 127). Dzięki aneksowi dowia-
dujemy się, że w lipcu 2003 r. poetka
Anna Frajlich z Nowego Jorku napisała
list do Miłosza, w którym przedstawiała
katastrofalną sytuację Karpowicza, na-

zywając ją „finansową niezaradnością”
(s. 144). Pomijając kwestię finansową, sy-
tuacja rodzinna profesora też była nie do
pozazdroszczenia: „żona chora na raka
od kilka lat na chemoterapii a On jest
opiekunem, pielęgniarzem, kucharzem.
Wszystko jedną ręką” (s. 144).

Aby dodać pełny obraz, trzeba po-
wiedzieć, że Karpowicz w dzieciństwie
stracił lewą dłoń, nie miał samochodu
(prawa jazdy), bez którego życie w Ame-
ryce jest niemożliwe. Przerażające jest
to, że polskie placówki dyplomatyczne
w Ameryce, ambasada i konsulat w Chi-
cago, nie wiedzą, że organizator mię-
dzynarodowych konferencji poświęco-
nych literaturze polskiej mieszka kilka-
naście kilometrów od siedziby konsu-
latu, nie wiedzą o jego istnieniu. Pani
Anna pisze: „W konsulacie nikt nawet
nie wie, kim jest Karpowicz i nawet nie
wiedzą, że tam mieszka” (s. 144). Mi-
łosz odpowiedział błyskawicznie, na-
pisał list do Ministra Kultury z proś-
bą o pomoc w uznaniu zasług dla po-
ety promującego polskość w Ameryce,
a ten w liście do Noblisty z 3 września
2003 poinformował go: „postanowiłem
przyznać prof. Tymoteuszowi Karpowi-
czowi – w uznaniu doniosłych dokonań
literackich, naukowych i dydaktycznych
– order „Zasłużony dla Kultury Polskiej”
wraz z nagrodą pieniężną w wysokości
20 tysięcy złotych” (s. 148).

Tak lapidarnie – można powiedzieć
– kończy się korespondencja dwóch
czołowych poetów dwudziestego wie-
ku. Miłosz powrócił do Polski na sta-
łe, przywitał go krakowski dwór zna-
jomych redaktorów czasopism i wy-
dawnictw, przyjaciół z Uniwersytetu
Jagiellońskiego, zjazdy tłumaczy i in-
terpreterów jego twórczości. Rozpo-
częły się krakowskie spotkania poetów,
z czasem Festiwal Miłosza. Jego osoba
i sława, twórczość przynosiła i nadal
przynosi zyski, poeta dwadzieścia lat
po śmierci wciąż żyje i jego duch krą-
ży po Krakowie. Karpowicz po śmierci
żony, skazany na podwójną samot-
ność, w depresji, nie myślał o powrocie
do Polski. Poczul się bardzo zraniony,
że *Słoje zadrzewne* nie przyniosły po-
kładanych w nim radości, nie wywołały
takich dyskusji, jakich by chciał. Cho-
roba, nieobecność w kraju, brak mar-
ketingu i fachowej pomocy zawodow-
ych sprzedawców i handlarzy książ-
kami, to efekt słabego odbioru wśród
krytyków i czytelników. Po prostu Kar-
powicz zapomniał o stworzeniu dworu
we Wrocławiu takiego, jaki miał Mi-
łosz w Krakowie. ■

**Czesław Miłosz / Tymoteusz Kar-
powicz, Korespondencja 1965–
2003, Wydawnictwo Warstwy,
Wrocław 2024, s. 160.**

Hybrydy (15)

TOMASZ BOCHEŃSKI

Podnosisz rękę

Paliła się słoma, od słomy zajął się brzeg zagajnika. Przyjechało sześć wozów strażackich, w dziesięć minut stłumiono pożar. Cała okolica się zbiegła, ze dwieście osób, ja patrzyłem z daleka. Blisko ognia rosną stare olchy, osobno „Trzy gracje” i „Trzynaście głupich siostr”, na szczęście do nich ogień nie doszedł. O drzewach, które się paliły, mówiono „Franciszki”, od imienia właściciela. Przeżyły i teraz, zanim zdążyłem nazwać je po swojemu, mówi się o nich „Czarne franciszki”. Podobna mi się ta zmiana.

Nazwałem ją zanim lepiej poznałem – Buba. Podnoszę rękę, żeby zapiąć guzik pod szyją, kuli się, drży, krzyczę do kuriera *zraz otworzę*, pełźnie, oczy wyrażają skruczę za szczekanie, karmię, nie je bez pozwolenia, nie wyjdzie przez drzwi i bramę, gdy nie powiem *chodź*, a jak krzyknę *chodź tutaj*, podchodzi najbliżej na metr, czołga się, czeka na cios. Wiele potrafi, noga, daj łapę, drugą, przynieś, czekaj, skacz, stój światła, uważa auto, ktoś ją nauczył, kto? Ktoś wyrzucił ją przed Bożym Narodzeniem, ośmioletnią, niemożliwe, żeby wyrzucić po tylu latach, nauczyć i wyrzucić? Wcześniej inne miała imię, Xena albo Reksa, albo Cara. Cara chyba nie, to nie jest groźne imię, raczej zabawne, dadaistyczne. Pierwsza myśl, ktoś w mundurze ją wychował, kto uważa świat cywilny za wielki bałagan, on Xenę ułożył. Chodziła za nim jak więzieni, koszary, posterunek, aż związała i musiał ją wyrzucić. A może ułożyła ją treserka, oddano Rekse do szkoły, bo uciekała z domu, ułożyła, ale nie całkiem. Bałem się pomyśleć, że menel, a właściwie menel – stoik nauczył Carę miasta, skrzyżowań, obojętności na tłum, odporności na ciosy. Nie, od niego by nie uciekała.

Buba – wymawiam miękko, jakbym śpiewał romans, *to tylko skrzyżowanie dwóch ścieżek, ruszaj*. Muszę powtórzyć, samo imię nie potrafi odtresować, nawet wyśpiwane. Może powinno się zmienić imię, kiedy się samemu odtresowuje? Stawiaj nogi prosto, wyjmij

rękę z kieszeni, ustaw buty, trzymaj sztucę za koniec, nie kładź książki grzbietem do góry. Tyle osób ma teraz nowe dorosłe imię, najczęściej obce, czasem naprawdę ładne pseudo, ja nie mam. Ale to stare imiona za Bubą i mną chodzą na spacer. Czasem wyobrażam sobie, kogo za sobą ciągniemy, ze smyczą, z karą i nagrodą. Zobaczmy, kto jest na przedzie, kto dowodzi? Chciałbym, żeby w awangardzie byli nauczycielka od fletu, trener siatkówki, który kochał grę kombinacyjną, ojciec matematyk i kilka innych osób od uwolnionej formy, oraz ja sam, ale na przedzie kroczy z pewnością armia treserów. Gdybym obejrzał się za siebie, jedni znikną, inni, niekochani, zostaną, *czarne franciszki*. Mam na nich sposób, gwizdę sobie arie, w sam raz na takie spacer. Buba wtedy sądzi, że co chwila ją wołam, co dwa wersy. Gdy nie przestaję gwizdać, podbiega z dziesięć razy. Mówię do niej *farfallone amoroso*, zwracam się także do siebie, to oczywiste. Patrzy mi w oczy, jakbym jeszcze raz chciał zmienić jej imię.

**Proszę usiąść**

Proszę usiąść. Jak pan wszedł do mnie, pięknie się pan uśmiechnął. Powtórzy pan ten uśmiech? Nie umiem powtórzyć. Nie ma sprawy, proszę spojrzeć w tę stronę. Paweł robi zdjęcia z ręki, zamiast poprawiać, ustawiać, sam się poprawia i ustawia. Proszę rzucić okiem, dobrze wyszło? Zrobię jeszcze jedno. Mnie trudno się uśmiechać, życie mnie naznaczyło. Siedzę w zakładzie fotograficznym, słyszę dobrze rozmowę. Podnoszę się, żeby wyjść na chwilę. Przepraszam, chyba pod słuchuję. Niech pan zostanie, to żadna tajemnica. Połamali mi ręce, chcieli zabić, długo ich potem szukałem, ale znalazłem. Znalazłem. Teraz zwraca się już do nas, do mnie i do Pawła. Kiedy to się zdarzyło? Pięćdziesiąt lat temu, dziesięć lat później ich znalazłem. Paweł zagaduje to „znalazłem”, pyta o dzieci, wnuki. Mam tylko córkę. A ten nos, wie pan, byłem bokse-rem. To wyzwanie, mówi Paweł,

próbuję złapać kawałek tej historii, zdjęcia będą po szesnastej. Weszła następna osoba, babcia Bartka. Bartek bardzo dobrze wyszedł. Proszę zobaczyć tu są trzy portrety, wszystkie dobre. Spoglądają oboje na wielki ekran. Mogę spytać, ile ma pan zdjęć w tym komputerze. Paweł klika w sierpień. W sierpniu, jak co roku, zrobiłem bardzo dużo. A od początku studia? Od początku studia, nie tak dużo, to tylko trzy lata. Gdyby ustawić tych ludzi obok siebie, to dociągnęliby tylko do skrzyżowania. Zamiast oglądać zdjęcia Bartka, patrzą na ekran wypełniony ikonkami. Wraca na chwilę bokser, bo chyba nie podziękował, szuka słowa, za tę ceremonię. Wszedł w środek pytania – pamięta pan twarze czy robi zdjęcie i zapomina? Ludzie robią teraz tyle zdjęć i nawet nie zdają obejrzeć.

Znikł sklep spożywczy, zamknęła się osiedlowa pralnia, obiady domowe dają tylko na wynos, w dwóch sieciówkach nikt się nie zatrzymuje na dłużej, dobrze, że kwaciarnia żyje i zakład fotograficzny, tam można pogadać. Niech pan zobaczy, mówi do mnie babcia Bartka, ciągle przybywa kamer. Żartuję, że to powódź błyskawiczna. Szybko przyszła i szybko się skończy. Nie, to się nie skończy, nie ma pan racji. Nawet w lesie coś mnie ciągle filmowało. Wpadłam w fotopułapkę, kamery ostrzegały mnie przed wyrzucaniem śmieci i przed wjazdem w boczną drogę, jacyś ludzie robili sobie selfie przed wielką hubą. Zauważył pan, im więcej robią zdjęć, tym mniej rozmawiają. Do głowy powoli mi przychodzi inna konkluzja, bo to konkluzja powolna. Chodzi o jakiś związek między twarzą a kamerami. Może taka, przejmują naszą biografię. Nie, mam lepszy pomysł, ścierają historię z twarzy jak operacje plastyczne.

W nocy koszmar. Ktoś bez twarzy dorabia sobie zmarszczki na czole, żeby uchodzić za intelektualistę. Przed gabinetem kolejka jak na obrazach przedstawiających sąd ostateczny. Reklamy przedstawiają Arendt, Becketta, Ciorana i jakiś nieznanych mi analityków futbolu. Można sobie wybrać twarz.

Kto zjadł Picadora?

RYSZARD JASNORZEWSKI

Tematem ładnie wydanej *Pierwszej drużyny* uczynił autor – Daniel Lis – debiut olimpijski polskiej reprezentacji narodowej. Do tego niewątpliwie historycznego wydarzenia doszło przed stu laty na ziemi francuskiej. W 1924 roku nasi rodacy rywalizowali zimą w Chamonix (skądinał nie wiedząc, podobnie jak ich rywale, że startują w igrzyskach, gdyż tę rangę „Tydzień sportów zimowych” otrzymał już po czasie), zaś latem w Paryżu. Minął wiek. W lipcu i sierpniu aktualnego roku białoczerwona ekipa zaliczyła powtórkę. Nie tyle chodziło jednak o areny olimpijskie, ile o podobnych rozmiarów rozczarowanie i równie głośny lament.

Rodzima drużyna olimpijczyków była przed stu laty oczywiście i rzeczywiście pierwsza, ale swoisty debiut mogły odnotować także polskie niedociągnięcia, kompleksy i narzekania. Refleksję sprzed wieku korespondenta „Przeglądu Sportowego” – „płakać się chce nad naszym polskim sportem w ogóle, a rzyć nad organizacyjną stroną naszych olimpijskich podrygów” – powtarzał dzisiaj niejeden dziennikarz i całkiem spore grono kibiców. Do oceny występów (i postępów) większości współczesnych wybrańców całkiem zgrabnie pasowałaby również krytyka (po części samokrytyka), na którą zdobył się sto lat temu szermierz Adam Papée: „sieroty z prowincji, które przyjechały na zawody”. Jeden z obserwatorów doniósł, że duże, orle godła na koszulkach sportowców bardzo ułatwiły dostrzeżenie efektów startów pobratymców („ci ostatni to Polacy”). Współczesne uniformy reprezentantów ozdobiły co prawda godła znacznie bardziej dyskretnie, lecz poszukiwanie ich w stawce współzawodników dostarczało zaskakująco podobnych, wręcz analogicznych wrażeń.

Do podsumowania zgryźliwego wątku polskiej obecności olimpijskiej niezbędne jest przytoczenie uwag o stylu wydawania pieniędzy publicznych. Nie po to organizowano publiczne zbiórki – grzmiał żurnalista lwowskiego „Sportu” – by „stojący blisko głównego ołtarza PKIO satelici mieli za co urządzać sobie przejażdżki”. Chodziło o pominięcie Wacława Kuchara (w roli panczenisty) w ekspedycji do Chamonix, ale praktyki w Polskim Komitecie Igrzysk Olimpijskich są niezupełnie obce decycentom ze współczesnego Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Tak przynajmniej uważa minister sportu i rozproszona nieco opozycja w samej organizacji.

Polska niepodległa i odrodzona miała ujawnić ambicje olimpijskie już w 1920

roku, na igrzyskach w Antwerpii, ale w debiucie przeszkodziła wojna z sowiecką Rosją. Nie tylko jednak z powodu tego konfliktu pierwsi olimpijczycy byli generacją wojenną. Wielu zawodników miało za sobą służbę w armiach zaborców podczas wojny światowej, niejeden przeszedł szlak bojowy Legionów lub uczestniczył w powstaniach w Wielkopolsce i na Śląsku. W piętnaście lat po Paryżu losy i biografie sportowców – nie tylko zawodowych żołnierzy – zderzą się z drugą wojną światową.

W 1924 roku wojny nikt jeszcze nie przeczuwa. Może jednak coś ma do rzeczy sentencja, którą pułkownik Kazimierz Kierzkowski dostrzega uwiecznioną na marmurze w siedzibie Francuskiego Związku Strzeleckiego: „Tym więcej szanują dany naród, im więcej posiada on dobrych strzelców”. Szanować jest miło i zacnie, ale osobiście obawiałbym się narodu wzorowych strzelców. Polaków – przynajmniej w pojedynkach sportowych – nikt się nie boi, bo forma nie ta i broń byle jaka. Przyzwoity wynik uzyskuje porucznik Marian Borzembski, delegowany do konkurencji pistoletu szybkostrzelnego. Jego koledzy zdobywają lokaty ostatnie lub do ostatnich zbliżone.

Równie źle radzą sobie w Paryżu biegacze, a także lekkoatleci, którzy rzucają oszczepem i dyskiem, skaczą w dal do piaskownicy lub pokonują poprzeczkę za pomocą tyczki. Wyróżnia się dziesięcioboista Antoni Cejzik, ale dwunaste miejsce trudno uznać za przesadnie wysokie. Jedyna niewiasta – florecistka Wanda Dubieńska – nie trafia skutecznie żadnej rywalki. Bokserzy kończą pierwsze i jedyne swoje walki porażkami przed czasem, nieco lepiej dzieje się zapaśnikom, ale tego samego nie można powiedzieć o wioślarzach i osamotnionym żeglarzu. Pływacy są nieobecni. Nie bez powodu. Ktoś zauważa: „Jesteśmy krajem, gdzie się zalewa robaka, topi zmarzwienie, a rzadko wypływa”. Nie sprostala oczekiwaniom kibiców „reprezentatywna” piłkarzy, którzy ulegli zero do pięciu Węgrom. Optymiści (lub zwolennicy zasady, że nie kopie się już pokopanego) twierdzili, że przegrana był honorowa, a na pewno bez ujemny dla reguł fair play.

Lis montuje narrację z mało znanych lub zapomnianych świadectw i ciekawie, nie zapominając o szerszym tle igrzysk, układa gawędę o naiwnych, niedoświadczonych i heroicznym sportowcach z Polski, którzy stawili się w Paryżu, aby dowieść, że nie zginęli. Na szczęście (ostatniego dnia) błysnęli mężczyźni, którzy wykorzystali



do osiągnięcia medalowego celu rowery lub wierzchowca. Dokładnie rzecz ujmując, cyklistom powiodło się jedynie na torze, gdyż udział w igrzyskach specjalistów jazdy szosowej („drogowej”) należy pominąć litościwym milczeniem.

Czwórka kolarzy – Józef Lange, Jan Łazarski, Tomasz Stankiewicz i Franciszek Szymczyk – zdobyła na welodromie srebrny medal w wyścigu na 4000 metrów na dochodzenie. Źródeł raczej niespodziewanego lauru doszukiwano się w bogatych tradycjach kolarstwa na ziemiach polskich, ale też w tym, że torowcy – w odróżnieniu od rodaków uprawiających inne sportowe dziedziny – „najmniej hałasu robili przed wyjazdem, ale za to może najsuwniej i najsolidniej szykowali się do walki”. Sukces kwartetu był jednak mimo wszystko niespodzianką. Z roli faworyta – chociaż jednego z wielu – wywiązał się natomiast porucznik Adam Królikiewicz, brązowy medalista w konkursie skoków przez przeszkody.

Podium było zasługą zarówno kawalerzysty, jak i jego wiernego rumaka. Picador zrazu miał na imię Maciek i służył w taborach. Królikiewicz dostrzegł w koniu talent sportowy i przyuczył do skoków. Para zdobyła wiele pucharów, doskonale się rozumiała i podobno nawet przyjaźniła. Mimo to Królikiewicz sprzedał przyjaciela niejakiej hrabinie di Frasso. Picador zmieniał właścicieli. Ostatnią stajnię odnalazł w Rzymie, na Zatybrzu. Nie na długo. Medalistę z Paryża, niezdolnego już ani do wyczynów, ani do pracy, przerobiono na kielbasy.

Daniel Lis, *Pierwsza drużyna*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2024, s. 350.

Poezja Głuchych

BARBARA FARSKA

Dziedziniec szkoły katolickiej. Gdzieś w Ameryce. Tej dostatniej i sytej. Prze-rwa między lekcjami. Wieloetniczna gromadka w schludnych mundurkach. Ożywienie, zabawa, rozmowa. Na pierwszym planie fotografii Jamesa Mollisona upokorzenie. Podpis wszystko wyjaśnia: „chłopcu zatykającemu uszy właśnie dokuczano”. To częste nie tylko w zabawach dzieci: nie chcę o tym słyszeć, nie chcę tego słyszeć, wolę wsłuchiwać się w siebie, w ból, którego nie muszę przekładać na słowa, tłumaczyć słowami.

Polszczyzna zaświadcza, że wojna ma wiele wspólnego z mówieniem, gdyż jedni ludzie mogą ją wypowiedzieć innym ludziom. Czasem rzeczywistość przychodzi do kogoś jak słowo. Banalne i brutalne. Koniecznie należy odpowiedzieć. Ale dialog nie jest możliwy. Wojnę trzeba przemilczeć, przezwyciężyć milczeniem. Nie wiadomo, czy przeżyją ci, którzy będą głusi na wojnę. Na pewno ocalą godność.

Jest wiele miast i miasteczek, których losem jest identyczna historia o tej samej ekspozycji. Któregoś dnia przybywają żołnierze. Podobno, aby „bronić naszej wolności”. Nie można zrozumieć, o jaką wolność im chodzi. Nielatwo też zrozumieć, dlaczego już pierwszego dnia swej obecności zabijają bezbronnego. Mord oznajmi się, powie wszystko pogarda i nienawiścią. Mieszkańcy miasteczka zamkną uszy i nie będą chcieli ich otwierać. Językiem solidarności i oporu stanie się język migowy. Znaki są odważne i pełne wyrazu: „Mamma Gala pisze kredą NIKT WAS NIE SŁYSZY na bramie koszar”. Znaki zdają sobie sprawę, czym ryzykują.

Urodzony w 1977 roku w Odessie, niedosłyszający Ilya Kaminsky to poeta języka angielskiego. Język nieojczysty wybrał (lub został przez ów wybrany), gdy jego rodzice – z nim szesnastoletnim – uzyskali azyl w Stanach Zjednoczonych. Przetłumaczona na polski *Republika Głuchych*, to – jak diagnozuje Jerzy Jarniewicz – „opowieść o słowie – cielesnym, angażującym nas w tym najbardziej podstawowym wymiarze naszego istnienia, jakim jest nasza fizyczność”. To właśnie tej fizyczności inna fizyczność wypowiedziała wojnę na śmierć i życie, na śmierć. W Wasence, w małym miasteczku, gdzieś w Europie Wschodniej, nigdy nie znajdując wspólnego języka.

Mową żołnierzy jest śmierć. Mają ją bardzo dużo. Nic dziwnego, że „Nasz kraj zbudził się następnego ranka i przestał słuchać żołnierzy”. Ciało żołnierza wy-

konuje skłony i pokłony, staje w szeregu, patrzy przed siebie i nie widzi żadnych wątpliwości, maszeruje, biegnie i rozpycha się. Przestaje być ciałem albo jest nim jedynie tak, jak jakby było ciałem manekina, z którego nikt nigdy nie zdejmie munduru.

Ten mundur potrafi rozkazywać, sztydzić ze słabych, zadawać ból. Gotów jest upodlić i zabić. Czy warto rozmawiać z mundurem? To nic nie da. Żołnierze „mówią językiem, którego nikt nie rozumie”. Świat jest teatrem – „Nasz kraj jest sceną” – mundury grają krzykliwą farsę. Mieszkańcy Wasenki schronili się w kameralnej pantomimie, odgrywają cienie i odcienie słów, pokazują echa słów. W pewnej chwili nie wiadomo, czy to pantomima ludzi, czy marionetek teatru lalek.

Cesare Pavese pisał w *Rzemiośle życia*: „obroną przed sprawami świata jest cisza (...)”. Trzeba jednak sobie ją narzucić, nie pozwalając, żeby nam ją kto inny narzucił. Nawet śmierć. Mieszkańcy Wasenki spieszą się, by nauczyć się ciszy na pamięć. Mają niewiele czasu. Wiedzą, że żaden ze zmarłych nie dostanie drugiej szansy.

Republika Głuchych to udratyzowany poemat, ze spisem osób u progu, podzielony na dwa akty, na dwa osobne, ale rozpaczliwie za sobą stęsknione umierania – jedno Alfonsa, drugie Soni, lalkarzy. Chór mieszkańców, zbiorowy przewodnik, opowiada o zdarzeniach. Nikt się nie ukryje w poemacie. Momma Gala – właścicielka teatru lalek – „szykuje powstanie”. Na świat przychodzi, w świat wchodzi Anuska, córka Alfonsa i Soni: „jej pierwsze kroki, na cel wystawione jak wszyscy pozostali”. Na scenie miasteczka najwięcej mają do powiedzenia marionetki – one nigdy nie musiały odrzucić mówienia, bo milczą od urodzenia, bo gra mówiła za nich. Ale ciała ludzi też odcięły się od słów. Są bezbronne i milczą. Za bunt przeciwko słowom, za ucieczkę od mówienia zapłacą wszyscy: ludzie, ciała ludzi, marionetki. Poezja jest grą w pytania zadawane światu. Poezja – mimo że nic nie mówi – odpowiada sama sobie: „Czym jest dziecko? / Cisza między bombardowaniami”.

Ulice milczą – „Na tych ulicach głuchota jest naszą jedyną barykadą”. Jakże niewiele trzeba, aby pojąć, po co jest życie: „Sześć słów / Panie: // wyzwól proszę / od pieśni // mój język”. W milczeniu nie ma heroizmu. Milczenie – jak strach – dostępne jest każdemu. Najlepiej wiedzą o tym wszyscy, którzy podnosili z ulicy ciała swoich bliskich. Ciała zamęczone na



śmierć nigdy się nie mylą. Żyjący i zmarli po równi potrzebują ciszy: „Czym jest cisza? Czymś z nieba w nas”. Ale niebo nie sprost ludzior. Nie pomoże: „Aresztowani muszą iść z podniesionymi rękoma. Tak jakby chcieli poznać siłę wiatru przed planowanym opuszczeniem ziemi”.

Jest wiele miasteczek takich jak Wasenka. W Europie Wschodniej, gdzie indziej. Pod obojętnym niebem. I co z tego, że „Na procesie Boga zapytamy: dlaczego pozwoliłeś na to wszystko? / Odpowiedzią będzie echo: dlaczego pozwoliłeś na to wszystko?” Właściwy narrator *Republiki Głuchych*, autor poematu, jest wszytkowiedzący. Wie coś ważnego w naszym imieniu: „podczas wojny byliśmy szczęśliwi”. Wie, że obce nam nie nasze wojny i cudze śmierci. Wie, że poniżeni dźwigają gesty, szkicują dłońmi znaki, których nikt inny poza nimi nie jest w mocy pojąć naprawdę. I że nie oczekują na wiele. Potrafią cierpieć w ciszy. Czy kogoś z nas – rozgadanych – stać na solidarność z tymi, którzy zaniemówili?

We śnie szukałam drzwi do biblioteki. Błądziłam, byłam za daleko lub za blisko. W końcu drzwi odnalazły się same i otwarły przede mną. Na chwilę. Tylko po to, by poznać, że właśnie się zamykają. A może nic nie mówiły. Nie przekroczyłam progu biblioteki. W tym śnie nie to było najważniejsze. Milczenie nie myli się nigdy. ■

Ilya Kaminsky, *Republika Głuchych*. Wiersze, z jęz. ang. przeł. i opatrzyła kom. Anna Łazar, wstęp i red. lit. Jerzy Jarniewicz, postł. Daniel Kotowski, Warsztaty Kultury w Lublinie, Lublin 2023, s. 96.

Zabieg Pancza Karma

Takie życie
Taki wiersz
Leżę i czekam na biegunkę
Ale nie przychodzi

Dostałem wreszcie ryż
Na moją głodówkę
A doktor smutny
Że tylko sikam

Okno otwarte
A biegunka nie przychodzi
Czekam na biegunkę
Jak na zbawienie
Znowu pada deszcz
Takie życie
Taki wiersz

6.07.2024 Nashik (Indie)

Kontrola

zamieszkać na białej kartce
nie zawsze mi się to udaje
choćbym nie wiem jakie wymyślił tramwaje
z tłumem pasażerów czytających poezję
co słowo
to przystanek
kontrola mojego długopisu
no co pan tutaj tuta panie
jak trzeba

zwolnić miejsce pisaniem
no proszę się nie pchać
no mężczydługopis jakiś...
no
jaki ulgowy?
etymację proszę

14.06.2024

Wierszyk z Indii

Może by tak pójść za pierwszą kreską
tego co mnie otacza
by wyrazić życie w indyjskim miasteczku
te masaże pełne oliwy i tańca rąk na moim ciele
te kolorowe stragany na ulicach krowy i wielbłądy
te klaksony samochodów rządzące ruchem drogowym
te wszędobylskie śmieci wśród uśmiechniętych twarzy
tę moją tęsknotę za domem i polskim jedzeniem
te moje za słabe literki
żeby to wszystko wyrazić

8.07.2024 Nashik (Indie)

zamieszkać na dobranoc
w swojej pustelni
gdzie skarpetki już zadowolone
po całym dniu leżą pod łóżkiem
i polityka skarpeciana
ciągle żywa jak widać

i jutro znów przyjdą do władzy
na moich nogach

ach zamieszkać
se pomyślałem
jak pustelnik

14.06.2024

Dramat uniwersalny

Witoldowi Gombrowiczowi

W nadszarpniętym guziku
w dziurze skarpetki świecącej
niewagą
ileż ukrytej modlitwy o litość
ze wszystkich wieków gdzie ludzie
nad brzegami rzek
zamieszkali aż do bólu
który stał się ich wspólną rybą

15.10.2021

Prezent na Boże Narodzenie

golę się dla mojej żony
by coś zrobić dla niej
pod choinkę
zarost jak zarost
pianka do golenia
pędzel
maszynka
lustro
od cały ludzki kościół golenia się
bo moja żona lubi mnie ogolonego
jak pachnę kremem CIEN MEN BALM
nie wiem czy jest w tym trochę poezji

21.12.2021

Dobranoc w pustym łóżku małżeńskim

Dobranoc mówię do poduszki
a ona nie ma nóżki
i tego wszystkiego co wypełnia wszystkie biblioteki
kobietopodobne włącznie z panią sprzątaczką z groźną
ścierką w ręce

dobranoc bo jej kondycja całkiem wzorowa
ale nie odzywa się tylko jej czerwone maki
i fikuśne bratki coś mówią

nie wiem co mi chcą powiedzieć
wystarczy na razie tyle
drapię się po ręce
to taka moja wieczorna molitwa bez d

Ciasno w tym łóżku
zgrubłaś poduszko małżeńska
nie wiem co ci się śni
czy to co ci kiedyś obiecywałem?
zaburczało w brzuchu
wszystkim burczy w brzuchu
cała wieś gada ze sobą tymi brzuchami
że nadchodzi świt
i mówi Nie lękajcie się

14.12.2021

Wiersz odkurzacza

pisałem dziś wiersz odkurzaczem
wsysałem każdą szparkę by linijkę z nich
jakaś ułożyć

o tych niechcianych drobinkach
dużo łóżek bombardowanych i zakamarków
obstawianych obrazami i starymi meblami
wciągałem to wszystko w rurę rzeczownika
by nerwy mi się uspokoiły
ale i tak bardziej pulsowały

jak wyssałem wszystkie pokoje
trudno mi było znaleźć puentę
odkurzaczu co chwilę przewracał się
jak żółty głupek

w końcu wyłączyłem prąd
zwinąłem kabel
i tak zakończył się ten wiersz

20.12.2021



rys. Bogna Skwara

Sztuka w służbie ducha i ciała

MONIKA WACHOWICZ

Od momentu kiedy przeniosłam Fundację Sztuka dla życia im. Marty Paradeckiej z Kołobrzegu do Katowic, kontynuujemy cykl Sztuka w służbie ducha i ciała, który zapoczątkowała inicjatorka fundacji Marta Paradecka. W tym roku to już 4 edycja cyklu. Mam ogromne poczucie sensu naszych działań, zależy nam, aby zaktywizować osoby mierzące się z chorobami onkologicznymi poprzez szeroko rozumianą sztukę. Co roku proponujemy spotkanie z teatrem, performansem, filmem, medytacją, jogą terapeutyczną, muzyką i fotografią. Działamy w miejscach związanych ze sztuką jak i samą chorobą tj. z Uniwersyteckim Centrum Klinicznym im. prof. Kornela Gibińskiego Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, Teatrem A Part, Teatrem Śląskim, Instytutem im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, Kinoteatrem Rialto, Studio Portretowym Joanny Nowickiej w Katowicach, Ewa Lily Joga Studio oraz – po raz pierwszy – z miesięcznikiem społeczno-kulturalnym „Śląsk”.

Na chwilę wróć do I edycji cyklu, zaprosiłam wtedy Radka Kobierskiego, poetę, pisarza, fotografika, aby swoją wrażliwością pisarską przełał na papier i uwiecznił nasz projekt. Pojawiły się wtedy ważne tematy, pytania, które nadal zostają bez odpowiedzi, nie ma gotowej recepty jak wspierać chore osoby, jak przełamać temat tabu, czyli samotność w chorobie. Do tego świadomość, że nigdy nie ma dobrego momentu, nie jesteśmy gotowi, przygotowanie na informację o ciężkiej chorobie. Możemy powtarzać: to nie ten czas. A więc, potrzebujemy pomysłów, osób,

instytucji, aby można było wszystko to realizować krok po kroku.

Pozwolę sobie przywołać fragment tekstu Radka z I edycji: „22 października miało miejsce otwarte spotkanie *Cztery pory raka*, które odbyło się w katowickiej ASP, z powodu pandemii było również transmitowane w sieci. Monika Wachowicz rozmawiała z Ludwiką Konieczną-Nowak, kierownikiem katedry muzykoterapii na AM w Katowicach i praktykiem w instytucjach opiekuńczych (dzieci w systemie opiece zastępczej). Dyskusja w zasadzie dotyczyła podstaw stosowania terapii muzycznej: integracji, tworzenia narzędzi komunikacji ponad barierami (i indywidualnymi biografiami), oswajania tabu, jakim jest choroba onkologiczna, charakteru terapii celowanej (nie muzyka sama w sobie jest lekarstwem, ale połączenie działań i strategii wykreowanych przez terapeutę i farmakoterapię). Kompleksowo temat został przedstawiony w nagraniu, jakie zrealizowała Katarzyna Nowacka z ramienia Dolnośląskiej Szkoły Wyższej (Psychoonkologia DSW) z Piotrem Bursiewiczem, wykładowcą, rehabilitantem i autorem programów rehabilitacyjnych. Rozmowa oscylowała między dwoma ważnymi sferami: społeczną i prywatną. W skrócie mówiąc: Piotr Bursiewicz przedstawił obraz systemu opieki, która nie do końca spełnia swoją funkcję. To znaczy skupia się na leczeniu, ale ma charakter ilościowy nie jakościowy, przedmiotowy a nie podmiotowy, związany z postępowaniem medykacji a nie holistyczny – uwzględniający rzeczywiste potrzeby osób chorych na raka i nowotwory. Mówiąc o sys-

temie, Bursiewicz zwracał szczególną uwagę na rehabilitację, która nie służy aktywizacji chorych oraz o przestrzeni symbolicznej. W tej przestrzeni chore nie podejmuje wyzwania ale podlega wykluczeniu. «Nie mamy systemu rehabilitacji psychoonkologicznej opartego na badaniach naukowych» (a te badania mówią wprost: należy ćwiczyć, wspierać emocjonalnie, nie dać się zdominować chorobie). «Powinniśmy wprowadzać od najmłodszych lat system przygotowania do wsparcia terapii pod względem fizycznym i emocjonalnym, dopiero połączenia psychologii z rehabilitacją przynosi pełny efekt [...] Choroba nie jest wykluczeniem, powinien być wzmocnione pasje pacjentów, powinni być stymulowani do przeżywania pozytywnych emocji». To tylko kilka cytatów z tej ważnej rozmowy. Co ważne – rozmowy i refleksji popartych solidnie własnym doświadczeniem. Bursiewicz – można powiedzieć – najpierw przetestował wszystko na sobie, intuicje i praktykę rehabilitacyjną, zen i osiągnięcia kultury zachodniej, medytację jako pracę z oddechem i wiedzę z zakresu psychoonkologii – po to żeby jego walka a nowotworem nie poszła na marne, żeby inni pacjenci mogli z niej korzystać. Żeby zwrócić uwagę na niedociągnięcia systemu, żeby wygenerować inicjatywy oddolne – bo tylko one – zdaniem Bursiewicza – mogły mieć w przyszłości wpływ na metodykę i poprawę pracy rehabilitacyjnej z pacjentem.

Nie wiem doprawdy, ile osób tamtego dnia oglądało ten materiał. Siedziałem przed ekranem swojego laptopa – jeszcze zdrowy (wedle całkiem słusznej i realistycznej prognozy Piotra) – i zastanawiałem się, dlaczego wiedza i praktyka odnosząca się do chorób już uznanych za cywilizacyjne, nie staje się elementem powszechnej edukacji? Dlaczego pozostaje zupełnie niszowa? To znaczy – częściowo – znałem odpowiedzi na te pytania. I niestety – niemniej realistycznie – prognozowałem, że nic się w tej materii nie zmieni...”

Niestety minęło kilka lat i nadal zostaliśmy z pytaniem Radka bez odpowiedzi. Ale to nie znaczy, że my, pojedyncze jednostki nic nie będziemy robić i czekać aż odpowiedź-reakcja spadnie z nieba. Nie, idziemy dalej, nadal organizujemy cykl, poszerzamy nasze propozycje zajęć, związanych ze sztuką dla osób poszkodowanych

fot. Agnieszka Seidel-Koźnich





W zawieszeniu, plakat, Artur Turek



W zawieszeniu

onkologicznie. *Zależy nam, aby wejść do świadomości obywatelskiej i zwrócić uwagę instytucji samorządowych i pozarządowych. W tym roku dostaliśmy dofinansowanie z Miasta Katowice (zadanie współfinansowane z budżetu Miasta Katowice) oraz ponownie otrzymaliśmy patronat honorowy Prezydenta Miasta Katowice, a Instytut im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu jest z nami od pierwszej edycji.*

Wróć jeszcze do programu. Od samego początku był pomysł, aby połączyć kobiety poszkodowane onkologicznie z różnymi światami sztuki, w tym z fotografią. Zaprosiłam do współpracy wspaniałą artystkę, fotografkę Joannę Nowicką. Jak pięknie napisał Radek: „Portret fotograficzny jest najbardziej intymnym rodzajem takiej interakcji. Piszę to z całą pewnością i odpowiedzialnością: nic bardziej i precyzyjniej nie opisuje naszej historii (jak i seksualności) niż twarz... Nowicka wykonała kilkanaście wielkoformatowych portretów, tworząc cykl, którego bohaterkami są wyłącznie kobiety, ujęte w proporcji $\frac{3}{4}$, *en face*. Tło jest jasne (poza trzema wyjątkami), światło bardzo miękkie, cienie charakteryzują się również miękką tonalnością. To, co natychmiast rzuca się w oczy to fakt, że poszczególne kadry (i cały cykl) nie opowiada o zmaganiach kobiet z rakiem. Owszem, dwie nasze bohaterki straciły włosy w efekcie chemioterapii, ale ten brak wcale nie narzuca się ze swoją oczywistością. Na «pla-

nie zdjęciowym» panuje zupełny luz, nie widać tu żadnego skrępowania czy napięcia. Twarze są pogodne, właściwie harde, patrzą śmiało w obiektyw (w przyszłość). To nie są, powtarzam, portrety walki. To są twarze zwycięstwa. I nie da się tego efektu uzyskać za pomocą poleceń: rozluźnij się, wybierz jakiś ciuch, w którym będziesz się czuła wygodnie, uśmiechnij się, wyglądaj jak milion dolarów. Nie da się tego efektu uzyskać przekonując siebie wewnętrznym, że teraz na chwilę schowam głowę w piasek i udam, że nic się w moim życiu nie wydarzyło. To tak nie działa. Jeśli piszę, że cykl nie opowiada o doświadczeniu choroby onkologicznej a jednocześnie, że portrety są twarzami zwycięstwa, czy ujawniam sprzeczność? W pewnym sensie tak. To zupełnie normalna sesja portretowa. Nie zdradza ona swojego celu. Ale jednocześnie cel i geneza są określone i rzucają dodatkowe światło (a może cień) na projekt; nie da się po prostu o nim myśleć inaczej niż poprzez ten kontekst. Co się takiego wydarzyło w studio Joanny Nowickiej? Czy można powiedzieć, że kobiety odzyskały swoje ciała, podmiotowość, imiona? Czy odzyskały je znacznie wcześniej i chciały pokazać światu, jak to się robi? Joanna Nowicka wykonała jeszcze jeden ruch, który uchylił nieco problemy z jednoznacznością. Nie ograniczyła sesji do samych fotografii (idea portretu niby stawia opór anonimowo-

ści a jednocześnie ją podtrzymuje), odbitki – zresztą pięknie zapakowane i oficjalnie przekazane portretowanym po spektaklu *W zawieszeniu* – zawierają również meta-przestrzeń, to tu anonimowość zostaje podwójnie wykreślona. Imię i myśl. Imię i motto (może na całe życie, może tylko na czas zmagania z chorobą, z pewnością jednak «o życiu»). Wymienię kilka z nich. Gabrysia: «Pozwólmę każdemu odnaleźć jego własną drogę do szczęścia». Anna: «W życiu ważne jest życie». Paulina: «Docień wszystko, co masz, uwierz w siebie, ciesz się chwilą». Beata: «Żyję. A ty?»...».

Zapraszam do przeczytania całego szkicu Radosława Kobierskiego: *O naderozinach projektu „Sztuka w służbie ducha i ciała”*, który jest na naszej stronie w zakładce: Cykl 2021 „Kręgi na wodzie”.

6 października otworzyliśmy wystawę *Portret kobiety* Joanny Nowickiej w galerii Teatru Korez, 35 portretów oraz następną sesję 12 pań z tej edycji. Wierzę że wystawa będzie trwałym śladem naszych działań, darem dla osób biorących udział w sesji jak i oglądających wystawę. Kończymy cykl 3 grudnia w Teatrze Śląskim seansem teatralnym *W zawieszeniu* w reż. Artiego Grabowskiego na który już teraz zapraszamy. Z ŻYCIEM!!!

Cały program cyklu: <https://sztukadla-zycia.pl/sztuka-w-sluzbie-ducha-i-ciala-2024-wspolpromieniowanie/>





Gra o sens

JOANNA WAROŃSKA-GĘSIARZ

Powieść *Chłopcy z Placu Broni* Ferenc Molnára powstała w 1907 roku, gdy Węgry były częścią cesarstwa zarządzanego przez Franciszka Józefa. A jednak mimo rozmaitych zmian nadal jest to lektura polskich uczniów. Z czasów szkoły zapamiętałam Bokę, Feri Acza i oczywiście Nemeczka. Nie byłam wprawdzie entuzjastką tej książki, choć pewnie napisałam charakterystykę jednego z chłopców, by nauczyć się analizy postaci, ale zapamiętałam, że książka opowiada o ważnych sprawach.

Nie płacz, Nemeczku. O chłopcach z Placu Broni to pierwsza premiera sezonu w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie przygotowana wspólnie z teatrem PAPAHEMA i dofinansowana przez Miasto Białystok. To również egzamin reżyserski w zakresie Małej Formy Teatralnej Agaty Nierzwickiej, zrealizowany pod opieką Agaty Biziuk-Brajczewskiej. Wkład częstochowski: dwoje aktorów (Sylwia Karczmarczyk w roli nie tylko Ferenc Molnára oraz Karol Czajkowski jako Feri Acz), Agata Biziuk-Brajczewska, zespół techniczny oraz klimatyczna scena kameralna im. Iwo Galla. No i w jakimś procencie Mateusz Trzmiel (Nemeczek); dobrze go było znowu zobaczyć w naszym teatrze i docenić rozwój aktorskiego warsztatu.

Aby uczynić za dość recenzenckim obowiązkiem, powiem, że obok Nemeczka, Feri Acza i Ferenc Molnára pojawiają się jeszcze Boka (Paweł Rutkowski) oraz Gereb (Helena Radzikowska). Pięć aktorów stworzyło wielopoziomową opowieść na temat świata powieściowego, współczesnych odbiorców skonfrontowanych z niedysyjszymi postaciami i tradycyjnymi modelami postępowania, a także życia Molnára. Na pewno jest to spektakl do przedyskutowania z młodzieżą. W tekst zostały bowiem wpisane „pytania naiwne”, jak mówią o nich postacie-aktorzy: Co to znaczy być szczęśliwym? Czy trzeba być bohaterem? Czy warto być najlepszym? I za jaką cenę? Czy nie wystarczy być „normalsem”, przeciętniakiem (to określenie poza naukami przyrodniczymi brzmi dość pejoratywnie). Jaki jest sens życia oraz sens śmierci?

Głównym chwytem spektaklu jest adaptowanie *Chłopców z Placu Broni* do rozgrywki RPG. To może być podpowiedź dla nauczycieli języka polskiego. Mamy więc karty postaci zwięźle charakteryzujące bohaterów (główne cechy oraz poziom ich natężenia), kości do gry, mechanikę

gry, czyli świat stworzony przez Molnára. Reszta zależy od wyobraźni, kreatywności oraz zdolności wczuwania się w rolę poszczególnych graczy. Brakuje chyba tylko Mistrza/ Mistrzyni Gry. A może jest nim właśnie Molnár, który wprawdzie pozostaje z boku, ale próbuje wyjaśnić powody zastosowanej w powieści konstrukcji, a także przywrócić ład zdarzeniom. Chce, by dochowano wierności jego powieści. Uczestnicy mogą jednak wybrać inną drogę i nieco zmodernizować fabułę, zachowując zasadę prawdopodobieństwa. Rozgrywka RPG prowadzona przy stoliku w głębi sceny, w części wydzielonej z terenu gry (scena jest wówczas pusta, jakby czekała na gospodarza) pozwala uczestnikom przeanalizować motywy postępowania i konsekwencje zachowań bohaterów oraz doświadczyć ich emocji. Pojawiają się pytania: czy ciąg przyczynowo-skutkowy można powstrzymać? Które zdarzenie jest kluczowe? Ostatecznie jednak to rzut kostką będzie decydował o powodzeniu wybranego działania.

Spektakl dyplomowy miał potwierdzić opanowanie języków teatru, techniki i rozwiązań i jednocześnie zaprezentować możliwości aktorów. Dominowała teoria Bertolta Brechta: o postaciach mówi się w trzeciej osobie, obecność Molnára przypomina o fikcyjności wydarzeń, a fragmenty akcji przerywane są dyskusją na temat wybranych scen, by wyeksponować rzeczywistość rozgrywki. To kolejny spektakl w Częstochowie burzący iluzję teatralną, m.in. poprzez jawne przyjęcie roli przez aktorów.

Odpowiedzialny za tekst Łukasz Zaleski respektuje chronologię zdarzeń, choć pojawiają się odstępstwa od powieści, inny rok, inaczej ukształtowane postacie. Najbardziej zmieniono Feri Acza – jest on grany nieco nonszalancko, w sposób mający rozbawić widownię. To chłopiec pewny siebie, wysportowany, który marzy, by zagrać w palanta z chłopcami z Placu Broni. Pragnie nie tyle przestrzeni placu, ile raczej wspólnej zabawy.

Styl lektury *Chłopców z Placu Broni* zmieniał się wraz z okolicznościami. Przed I wojną światową powieść mogła przygotowywać do podjęcia walki i wierności ideałom. Nic dziwnego, że wzorem był najmniejszy i niepozorny, szeregowiec, syn krawca. To on pokonuje Feri Acza niczym Dawid Goliata, a finałowa śmierć, nieco sentymentalna, utwierdza legendę o małym chłopcu, który nie



foto: Piotr Dłubak

chciał być niewolnikiem (ze sceny słyszemy nawiązanie do *Pieśni narodowej* Sandora Petöfiego). Współcześnie grający Nemeczka kwestionuje takie zakończenie, stawia pytanie, czy śmierć chłopca była potrzebna. W świecie przedstawionym zdaje się ona bezużyteczna – Plac Broni i tak przestanie istnieć. Przekształci się w plac budowy kolejnej kamienicy czynszowej.

Motywy gry RPG wzmacniane są upodobnieniem sceny do planszy (przypominającej szachownicę), co eksponuje metaforę świata jako gry i teatru, prezentowania, ale i konstruowania siebie w gestach i zachowaniach, będących skutkiem z podjętych decyzji. Spektakl rozgrywa się w minimalistycznej scenografii (Juliusz Żółty), przy dużym udziale światła (Maciej Iwańczyk). To jakieś wszędzie i nigdzie. Postacie ubrane są współcześnie. Nawet krótkie spodenki Nemeczka nie przywodzą na myśl XIX wieku, ale raczej wskazują na niedojrzałość; to przecież dziecko zatrzymane w procesie dojrzewania.

Najważniejsze rozgrywa się w głowach chłopców, a także graczy. Co wybrać: samozadowolenie i zwycięstwo nad przeciwnikiem czy nastawienie na współpracę. Według realizatorów spektaklu bohaterowie byli momentami „za bardzo w głowie, za bardzo w myślach”, co może chyba oznaczać jakąś nieuwagę na sytuację, przy jednoczesnej potrzebie realizacji przygotowanego planu, wymyślonego samodzielnie lub przejętego z otoczenia. Kim więc chcesz być: bezrefleksyjnym uosobieniem wzorców i stereotypów, zdeteminowanym, by zaspościć swoje wyobrażenia o sobie i oczekiwania innych, czy uczestnikiem dyskusji w poszukiwaniu rozwiązań akceptowanych przez wszystkich. I czy takie rozwiązania zawsze są możliwe?

Ogrody ukryte w sztuce

MARTYNA KLESZCZ

Ogrody od zawsze były wdzięcznym motywem sztuki malarskiej. W średniowiecznych przedstawieniach jawiły się jako utracony raj, namiastka wiecznego szczęścia. Malarstwo niderlandzkie, choć kojarzone ze scenami rodzajowymi, pozostawiło po sobie zjawiskowe obrazy martwej natury, prześiknięte bogatą symboliką i głęboką paletą kolorów. Największą fascynację ornamentyką roślinną przyniosła jednak secesja, pozostawiając po sobie pełne kwiatów obrazy, kolorowe witraże, fantazyjne meble czy zadziwiające lekkością elementy architektoniczne. Zdarzało się, że motywy kwiatów czy ogrodów pojawiały się w sztuce niespodziewanie, zaskakując znawców sztuki i jej odbiorców. Ten żywy wciąż malarstwo temat można zresztą śledzić dzisiaj, nie bacząc na akademicką chronologię. Historia sztuki pełna jest przecież obrazów rajskich ogrodów, bogatej roślinności i martwych natur – w tej podróży możemy wędrować bez końca, odkrywając zadziwiający świat natury ukryty w dziełach sztuki.

Lilie, poziomki i malwy, czyli rajski ogród średniowieczny

W sztuce średniowiecznej powszechnie występującym motywem był *hortus conclusus* (pol. ogród zamknięty), ogród mieszczący się zazwyczaj w przestrzeniach klasztornych lub zamkowych. Miał on w większości wypadków charakter zamknięty, otoczony był murem lub precyzyjnie przyszytym żywopłotem. Nierzadko w ogrodach tych pojawiały się ławki, fontanny, altany, studnie i inne elementy dekoracyjne. Zawsze jednak ogród pełen był kwiatów, krzewów i drzew, odwzorowanych niezwykle realnie, z botaniczną wręcz wiernością. Nie były to jednak ogrody uprawne, raczej ozdobne, kontemplacyjne, a przede wszystkim silnie naznaczone kontekstem religijnym. Tak jak *Rajski Ogród* Mistrza Górnoreńskiego, obraz z 1420 r. przedstawiający ogród z Matką Boską i bawiącym się nieopodal synem. To niewielkich rozmiarów dzieło uderza spokojem i uporządkowaną

kompozycją. Wokół Maryi, znajdującej w centralnym punkcie obrazu, kwitną kwiaty i owocują drzewa. Bogata roślinność zdaje się przyćmiewać same postaci. Tymczasem każdy najmniejszy kwiat, każde drobne zioło niesie ukryte znaczenie. Rośliny odgrywały bowiem w sztuce średniowiecznej ogromną rolę symboliczną. Reprezentowały bowiem one wartości moralne, innym razem pocuwały lub były przestrożą dla grzesznych. Z kolei zestawienie roślin z postacią Maryi było w XV-wiecznych sztukach plastycznych praktyką powszechną. Kult maryjny był wówczas bardzo popularny, a nieodłączną jego częścią był właśnie *hortus conclusus* jako przestrzeń idylliczna i jednocześnie maryjna. Co więcej, Maryi przypisywano stały, często powtarzalny repertuar roślin, naznaczonych religijnym znaczeniem. Na *Rajskim Ogrodzie* Mistrza Górnoreńskiego dostrzeżemy między innymi białe lilie (*Lilium candidum*), kwiaty maryjne, symbolizujące dziewictwo i nie-



winność. Kwiaty te były charakterystyczne dla średniowiecznych przedstawień maryjnych. Znajdowały się one często blisko postaci Maryi, aby podkreślić jej czystość i niewinność. Dla porównania w obrazie Sandro Botticellego Archanioł Gabriel wręcza lilię Matce Boskiej na znak jej dziewictwa. Co ciekawe, w późniejszych obrazach lilia zaczęła pojawiać się również w towarzystwie dzieci, jak chociażby w efemerycznym obrazie *Goździk, lilia, lilia, róża* Johna Singera Sargenta.

Lilie, dziś uchodzące za kwiaty typowo ozdobne, w czasach średniowiecznych uprawiane były w ogrodach klasztornych jako rośliny lecznicze. Przeczytamy o tym w średniowiecznych herbarzach, które stanowiły niezwykle ważne źródło wiedzy o zastosowaniu różnorodnych ziół. Syreniusz, autor słynnego do dziś *Zielnika*, opisuje lilię jako roślinę o właściwych wysuszających, pomagających przy problemach skórnych takich jak liszaje, wrzody czy rany skórne. Botanik w swoim *Zielniku* podaje również przepis na mieszanekę przyspieszającą poród, w której obok kwiatu lilii, znajdują się nasiona orlika, cynamon, szafran, boraks, biały cukier i róg jednorożca¹. W polskiej tradycji ludowej lilia używana była do pielęgnacji skóry oraz leczenia brodawek lub róży skórnej. W monografii *Rośliny w wierzeniach i zwyczajach ludowych. Słownik Adama Fischera*, przygotowanej przez Łukaszę Łuczaję, możemy przeczytać, że lilię wplatano do wianków panien młodych, innym razem sadzono na grobach młodych dziewcząt². Tradycja ta niewątpliwie ma swoje źródło w średniowiecznym symbolizmie lilii i jej utożsamieniu z niewinnością.

Obok lilii w ogrodzie Mistrza Górnoreńskiego dostrzeżemy również inne lecznicze zioła, takie jak chociażby babka zwyczajna (*Plantago major*), która miała chronić przed złymi mocami, czy mniszek lekarski, symbol mądrości i nauki. Oba zioła wciąż stosuje się we współczesnym ziołolecznictwie. Babka lancetowata, z uwagi na substancje słuzowe, które zawiera w swoim składzie, stosowana jest od wieków w problemach górnych dróg oddechowych. Jej świeże liście sprawdzają się także przy podrażnieniach skóry i skaleczeniach. Z kolei mniszek lekarski (*Taraxacum officinale*) poleca się w zaburzeniach pracy dróg żółciowych, problemach z wątrobą czy trawieniem. W celach leczniczych wykorzystuje się jego korzeń, liście, jak i kwiaty.

Wśród ziół, które wciąż stosuje się w naturalnych terapiach jest także poziomka, obecna na obrazie *Rajski ogród*. Liść poziomki, dzięki swoim właściwościom ściągającym, uznaje się za środek wspomagający organizm przy biegunkach i zatruciach pokarmowych. Liść posia-

da ponadto w swoim składzie substancje przeciwpalne. Henryk Różański, specjalista w zakresie fitoterapii, poleca napar z liści poziomki na dolegliwości oczu, w tym między innymi na nadmierne łzawienie, sińce czy stany zapalne powiek³. Obecność poziomki w sztuce malarstwa średniowieczna to także motyw typowo maryjny. Białe kwiaty poziomki symbolizowały czystość Maryi, z kolei czerwien owoców jej macierzyństwo. Kwitnąca poziomka była więc przedstawiana zazwyczaj razem z owocami, tak jak dzieje się to na obrazie *Rajski Ogród*.

Wśród rajskich roślin, jakie pojawiały się w malarstwie średniowiecznym, w tym na obrazie Mistrza Górnoreńskiego, znalazły się także dostojne malwy (*Alcea*) z pięknymi rozłożystymi kwiatami. W Polsce malwy stanowią nieodłączny element przydomowych ogródków, zarówno wiejskich, jak i tych miejskich. Sadzono je niegdyś przy domach, w których znajdowały się panny na wydaniu. Podobnie jak lilie, wrotycz, rutę czy nagietek⁴. Od wieków te piękne kwiaty łączono z kobiecością, dojrzałością i przebaczeniem. Symbolika ta niezaprzeczalnie łączy się ze zdrowotnymi właściwościami kwiatów malwy, które z powodu zawartych w niej fitoestrogenów znalazły zastosowanie w fitoterapii dolegliwości kobiecych.

Małe ogrody Stanisława Wyspiańskiego

Wspomniane malwy uwielbiał również jeden z największych polskich artystów Stanisław Wyspiański. Uwiecznił je między innymi na polichromii przekazanej kościołowi w Bieczu (dziś polichromia znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie). Malarz o malwach pisał słowami: „Malwy, dziewanny – co to za cudowne rośliny. Jakie to strzeliste kwiatów pędy, jakie to żywe, rozumne kwiaty. Najbujniejsze tych kwiatów krzaki powyrwałem z łąk i skał pod Bielanami i snop cały przyniosłem do siebie, że mi ustawiony na stole sięga warkoczami do pułapu i ocienia wszystko wokół. Jak ja lubię wśród tych kwiatów siedzieć”⁵. Artysta uwielbiał zioła, kwiaty, liście, a nawet trawy. Stworzył własny zielnik pełen szczegółowych rysunków polskich roślin. Sam swoich szkiców nigdy nie wydał w całości, ale botaniczne karty, które po sobie pozostawił, mówią, jak wielką inspiracją musiały być dla niego rośliny, które ze szkiców trafiały później na obrazy. By zrozumieć tę rzadką fascynację artysty, wystarczy przyjrzeć się tym precyzyjnym szkicom roślin opartym na cierplivej obserwacji przyrody. Wiele spośród nich możemy obejrzeć w Zielniku wydanym dopiero po śmierci malarza.

To jednak nie malwy są najbardziej rozpoznawalnymi kwiatami z arsenału botanicznego Wyspiańskiego. Jednym z najpopularniejszych dzieł artysty jest

bowiem obraz *Nasturcje*, przedstawiający tytułowe kwiaty łagodnie splecione lodygami. Obraz powstał w oparciu o szkic przygotowany dla kościoła Franciszkanów w Krakowie. Ten sam szkic przysłużył także do przygotowania widniejącej dzisiaj w kościele polichromii. Te dwa dzieła, choć powstały w oparciu o ten sam rysunek, różnią się od siebie. Oba jednak po dziś dzień ukazują wielką botaniczną fascynację Wyspiańskiego. Artysta stworzył bowiem ponad 100 odręcznych rysunków o tematyce roślinnej, które miały ozdobić wnętrza zabytkowego budynku. Choć wiele z nich nie zostało wykorzystanych, w krakowskim kościele, poza *Nasturcjami* można podziwiać obecnie kilka polichromii wykonanych przez malarza. Do dziś zadziwiają swoimi barwami i lekkością przedstawienia. Choć ostatnio przeszły kontrowersyjną renowację, wciąż można uchwycić na nich botaniczną fascynację jednego z największych artystów polskich.

Czy jednak Wyspiański znał do końca bogactwo, jakie kryje w sobie nasturcja? W zachowanych notatkach i listach do przyjaciół, w których wychwalał polne i leśne zioła, nie znalazły się informacje o jej zdrowotnych właściwościach. Artystę interesował raczej estetyczny, a nawet terapeutyczny wymiar przebywania wśród roślin. Tymczasem nasturcja posiada wiele cennych substancji aktywnych, które determinują jej lecznicze działanie. Choć powszechnie nasturcje traktowane są jako kwiaty ozdobne, ostatnio ich popularność bardzo wzrosła. Rosnące zainteresowanie tematyką roślinną oraz jadalnością kwiatów sprawiło, że nasturcja zaczęła pojawiać się na restauracyjnych talerzach. Kolorowe kwiaty nasturcji idealnie wpisały się w wiosenne kompozycje w salatkach i innych lekkich daniach, podobnie zresztą jak jej liście. Nasturcja jest bowiem w całości rośliną jadalną. Kwiaty, liście, jej pączki można wykorzystywać w kuchni na wiele sposobów. Zwolennicy dzikiej kuchni potrafią przygotować z niej zupę czy pastę na kanapki. Marynują jej nasiona, a kwiaty smażą obtoczone panierką na patelni. Na tym bynajmniej nie koniec. Nasturcja posiada bowiem silne właściwości zdrowotne. Wykazuje między innymi działanie trawienne i regulujące pracę dróg żółciowych. Jak zaznacza dr Henryk Różański, nasturcja posiada także działanie przeciwbakteryjne i przeciwpasożytnicze. Pobudza krążenie krwi i wydalanie potu⁶. Z nasturcji można przygotować również domowe kosmetyki, na przykład tonik poprawiający kolor skóry lub napar z jej świeżych kwiatów, który łagodzi trądzik.

Bukiet pośmiertny Ofelii

Wśród przedstawień roślinnych są obrazy nietypowe, w których kwia-

ty i zioła przedstawione są w nowym, całkowicie nieprzewidywalnym, często zadziwiającym kontekście. Tak jest w przypadku słynnej *Ofelii*, obrazu namalowanego przez brytyjskiego malarza Johna Everetta Millaisa. Ciało szekspirowskiej bohaterki dryfuje na nim na wodzie wśród delikatnych, jeszcze żywych kwiatów. Z łatwością można rozpoznać pośród nich fiołka trójbarwnego, czerwone maki, irysy, niewielką różę czy dobnego miłka. Niezwykle bogactwo znaczeń kulturowych odnajdujemy także w niewielkim bukietcie kwiatów, które Ofelia trzyma jeszcze w ręku, jakby zebrała je tuż przed śmiercią. Są w nim goździki (*Dianthus caryophyllus*), będące symbolem cierpienia, podobnie zresztą jak w średniowieczu. Jest też mało znany w Polsce złotogłów (*Asphodelus fistulosus*), kojarzony głównie ze śmiercią. W *Odysei* Homera obrastał on łąki podziemnego świata. Pisał o nim również Oscar Wilde. Z kolei przy policzku Ofelii dostrzec można delikatną różę, odwieczny symbol piękna i miłości. Róża ma jednak swoje drugie oblicze, a to za sprawą kolców, które posiada. Kojarzą się one z cierpieniem i poświęceniem. Na szyi Ofelii widnieje naszyjnik z fiołków. Te z kolei od tysiącleci niosą ze sobą całe spektrum znaczeń; są symbolem czystości, delikatności, niewinności i wierności. Ze względu na swój krótki czas kwitnienia fiołki reprezentują również śmierć, niezrządkiem niespodziewaną lub przedwczesną. W *Hamlecie* Szekspira, gdy Ofelia w akcie szaleństwa popelnia samobójstwo, jej brat Laertes wypowiada słowa:

*Spuśćcie ją do grobu,
niechaj z tych pięknych,
nieskalanych szczytków
fiołki wykwintną!*¹⁶

Szczególną uwagę w obrazie przyciąga mak o soczystej czerwonej barwie. Kwiat ten w epoce wiktoriańskiej oznaczał przede wszystkim śmierć i sen, co wynikało zapewne ze specyficznych właściwości rośliny. Mak lekarski (*Papaver somniferum*) zawiera bowiem w swoim składzie grupę substancji aktywnych o nazwie alkaloidy, które wykazują działanie nasenne, uspokajające, narkotyczne i silnie przeciwbólowe. To właśnie one podane w określonych ilościach mogą powodować halucynacje, co jednoznacznie nasuwa skojarzenia z motywami szaleństwa i samobójstwa Ofelii.

W ziołolecznictwie z kolei mak posiada bardzo długą tradycję stosowania. Wzmianki o jego właściwościach zdrowotnych pojawiają się między innymi u Szymona Syreniusza w jego słynnym *Zielniku* czy u Krzysztofa Kluka w *Dykcyonarze roślinnym*. Niektóre z nich dotyczą płatków, inne jego makówek czy mleczu. To właśnie te ostatnie zawierają wspomniane alkaloidy. Płatki z kolei, ze względu na zawartość cennych śluzów, stosowane były przy podrażnieniach przewodu pokarmowego, suchym kaszlu czy stanach zapalnych oczu.

Dominującą część obrazu zajmuje jednak wierzba (*Salix*), posiadająca w tradycji europejskiej niezwykle bogatą symbolikę. Drzewo to pozostaje bowiem od tysiącleci symbolem życia i śmierci. W tradycji ludowej dorodna, zdrowa wierzba symbolizuje ra-

dość, powodzenie, vitalność i płodność. Jej delikatne i podatne na wiatr gałęzie budzą skojarzenia z delikatną naturą Ofelii i jej wrażliwością. Wierżono ponadto, że wierzbowe gałązki mogą uchronić przed niepowodzeniem i śmiercią. I to właśnie z tego powodu gałązki wierzby zabrał ze sobą Orfeusz, wyruszając do Tartaru w poszukiwaniu swojej ukochanej. W Chinach i w Europie istnieje do dziś zwyczaj wręczania sobie wierzbowych gałązek, życząc drugiej osobie szczęścia, pomyślności i zdrowia. W obrazie Johna Everetta Millaisa widzimy jednak wierzbę pochyloną, złamaną, niczym życie Ofelii. Wierzba jest więc tutaj symbolem niespodziewanej śmierci dziewczyny, analogią do jej krótkiego, przerwanego życia, a także ogromnego bólu, jakiego zaznała. Co ciekawe, w ziołolecznictwie wierzba posiada silne konotacje z cierpieniem i bólem. Kora z niej pozyskana jest bowiem źródłem niezwykle cennej substancji, jaką jest salicyna. Substancja ta posiada silne właściwości przeciwzapalne, przeciwbólowe, napotne i przeciwgorączkowe. Jest używana między innymi w ziołowych preparatach przeciwreumatycznych i antyprzeziębieniowych. Po dziś dzień kora wierzby służy do produkcji preparatów przeciwbólowych, będących alternatywą dla aspiryny, czyli leku zawierającego syntetyczną formę salicyny.

Ogrody arrasów wawelskich

Dzieła malarskie, takie jak chociażby *Ofelia*, wydają się skrywać niezliczone ilości roślin pełnych znaczeń i ukrytej symboliki. Tymczasem istnieje dzieło, które swoim wykonaniem



Everett Millais, *Ofelia*



Fragmenty Wawelskich Arrasów



przycmiewa niejednen znakomity obraz malarski. Królewskie arrasы znajdujące się na krakowskim Wawelu – bo o nich mowa – ukazują niebywałe bogactwo europejskiej flory. Cykl ogromnych rozmiarów tkanin został wykonany przez najlepszych brukselskich artystów w dziedzinie tkactwa, na zlecenie króla Zygmunta II Augusta. Przy ich tworzeniu wykorzystano wełnę, jedwab oraz złote i srebrne nici. Te misternie wykonane dzieła są nie tylko kroniką najbardziej popularnych gatunków roślin, ale również świadectwem ówczesnej fascynacji światem przyrody. Niedgdy zdobyły one królewskie komnaty i były tłem wielkich uroczystości. Do dziś zresztą zadziwiają bogactwem motywów roślinnych: drzew, kwiatów, owoców i wreszcie ziół. Co więcej, świat roślin widniejący na arrasach idealnie przeplata się ze światem zwierząt, tworząc przepiękną scenę dla również zadziwiających scen biblijnych.

Historia królewskich arrasów pełna jest burzliwych wydarzeń. Ten bezcenny skarb sztuki tkackiej wielokrotnie trafiał do rąk obcych władców i mocarstw. Wędrował z Krakowa do Sztokholmu, z Warszawy do Petersburga, aby w 1921 roku ponownie wrócić do Polski. We wrześniu 1939 roku, tuż przed wkroczeniem nazistów do Krakowa, arrasы szczęśliwym trafem zostały przetransportowane do Sandomierza, a stamtąd do Rumunii, Francji, następnie do Anglii, by

na końcu swojej odysei trafić do Kanady. Po zakończeniu II wojny światowej nie powróciły jednak od razu do kraju. Stało się to dopiero w 1961 roku. I to właśnie wtedy rozpoczęła się wieloletnia praca konserwatorska nad zniszczonymi tułaczką arrasami. Jej efekty można było zobaczyć w 2021 roku w Zamku Królewskim na Wawelu, podczas wystawy wszystkich ocalałych arrasów zatytułowanej *Wszystkie arrasы króla. Powroty 2021–1961–1921*. Odrestaurowane tkaniny ponownie ozdobiły królewskie komnaty, tak jak niegdyś ożywiały dworskie ceremonie i uroczystości.

Na arrasach, tuż obok odpoczywającej zwierzyny i ptaków ukrytych w liściach drzew, dostrzeżemy liczne, znane nam gatunki roślin: bujne bluszcze, owocujące maliny i jeżyny, trzciny i tataraki rosnące tuż przy wodzie, a także bardziej egzotyczne na ówczesne czasy egzemplarze botaniczne takie jak kukurydza, strąki kakao czy papryka. Tuż pod nogami biblijnych postaci widzimy kwitnące na żółto mniszki, niepozorną babkę lekarską czy czarnuszkę, ziele stosowane przy alergiach. Na arrasie *Bażanty i kuny* możemy zobaczyć kwitnącą poziomkę i niepozornego bodziszka, zioło o właściwościach przeciwzapalnych i przeciwnowotworowych. Arras *Dwa lamparty, bażant i małpka* z kolei ukazuje dostojną dziewannę, roślinę, której kwiaty stosuje się w przebiegach i przy problemach

z górnymi drogami oddechowymi, co więcej w towarzystwie pałki szerokolistnej i naparstnicy. Wiele roślin sportretowanych na arrasach to rośliny klimatu umiarkowanego, ale wśród całej botanicznej palety są również gatunki z cieplejszych zakątków Europy: cytrusy, winorośl czy figowce. Niektóre spośród roślin trudno rozpoznać, inne jeszcze trudniej dostrzec. I to właśnie owo poszukiwanie jest największą przyjemnością. ■

Przypisy

1 *Listy Stanisława Wyspiańskiego do Lucjana Rydla, cz.1: Listy i Notatnik z podróży*, oprac. L. Płoszewski, M. Rydłowa, s. 365–366.

2 A. Jezierska-Domaradzka, K. Domaradzki, *Aniołowe kwiaty – lilie w ujęciu farmaceutycznym i etnobotanicznym*, w: *Badania nad leczniczymi i toksycznymi właściwościami roślin: historia i współczesność*, red. B. Płonka-Syroka, A. Syroka, s.129.

3 Tamże.

4 <https://rozanski.li/2746/fragariae-folium-lisc-poziomki-w-praktycznej-fitoterapii/>

5 <https://rozanski.li/242/tropaeolum-majus-nasturcja-jako-przyprawa-i-lek/>

6 W. Shakespeare, *Hamlet*, Brody 1909, s. 127.

7 M. Drózd-Szczybura, *Symboliczne znaczenie roślin uprawianych w tradycyjnej zagrodzie*, w: „Środowisko Mieszkańców” nr 22, s. 41.

Dzień w którym byłeś szczęśliwy

mam prawa autorskie
masz masz
odpowiedziała matka ładując pralkę

kubek z logo
długopis
chyba nic więcej
piłeś kawę latami

Kłamstwa kryształowego pryzmatu
tymi słowami wygrałeś konkurs
na tytuł elektronicznego utworu
w Polskim Radiu

miałem może dwanaście lat
poruszenie
dzwoniłeś do redakcji
w sprawie wysyłki nic nieznaczących gadżetów
jakbyś odbierał wielkie trofeum

zagubiony adres w rozgłośni
opóźniona dostawa
płynące z kolumn przez kilka sekund
trzy wyrazy

Najmniejsze okno

kiedy myłem podłogi
w korytarzyku między pralnią a kotłownią
na ciemnoniebieskim niebie
księżyc
złota pełnia

oddalony o setki tysięcy kilometrów
obojętny na dom
Nowa Jabłonna 87 C
ogrodzenie bez frontu
od tyłu brak furtki
niezmienny
bez względu na postęp prac
w rozkładaniu włókniyny i sypaniu kamienia

głuchy na klótnie
zrzucanie winy
za nieumiejętne przyuczanie
dziecka do nocnika

nieruchomy księżyc
czekolada w kształcie monety
żółte opakowanie

przesyłka od krewnej z Anglii
ciotki mojego zmarłego ojca
której nigdy nie poznałem

Narodziny syna

15.07.2018
Francja Chorwacja
finał mistrzostw świata
powrót koleżanki z Norwegii

kolej na twoją drogę
kilka kroków
od drzwi wejściowych
do garażowej bramy

rajd ekspresówką
do najbliższego dużego miasta
ktoś ważny w szpitalu

trawnik
kostka
wydeptane ścieżki
pomeczowa analiza
im bardziej uczęszczana strefa
tym ciemniejszy kolor na mapce boiska

jesienna kurtka
uśmiechnięty
kiedy odejdiesz
obraz zostanie w pamięci

powiadomienia z innego świata
odwiedzane w tym roku miejsca
dwa razy okrążyłbyś równik

postać uchwycona przypadkiem
street view
wiosna
spacerem na obiad
ostatni dzień przed wyjazdem

ozdobne osty przy drodze
dom przyjaciela
czarny dach
połyskuje w południe

rys. Bogna Skwara

Przy starej fontannie

starszy mężczyzna
odpoczywa na ławce
problemy z oddychaniem

kobieta dzień w dzień
na placu zabaw
opiekuje się wnukami
te same twarze i ścieżki
ciężar
gorącego albo zimnego powietrza

drzewa
latarnie
zrujnowane korty tenisowe

wieczorem w ukryciu
dzieci ruszają ustami
koła z dumy papierosów

na pustym placu księżyc
kręci się wokół własnej osi
biała kula
traci kształt
coraz wolniej
wolniej
w końcu jak moneta
upada na ziemię

nocny ptak
podrywa się z krawężnika
do lotu z którego nie wróci

Julia Albo Sara

rękopisy
wyróżnienia w konkursach
egzemplarze autorskie
w trzyszufladowej komodzie

rękopisy niegramatyczne
konkursy lokalne
egzemplarze autorskie pism renomowanych
i pism które ostatnią deską ratunku

nocna obserwacja skrzynki mailowej
bo może o trzeciej nad ranem
szanowny panie
przeczytałem z zainteresowaniem

bolesny brak nazwiska
na liście nominowanych

kilkudniowy zachwyt
po otrzymaniu wiadomości
z planowaną datą publikacji

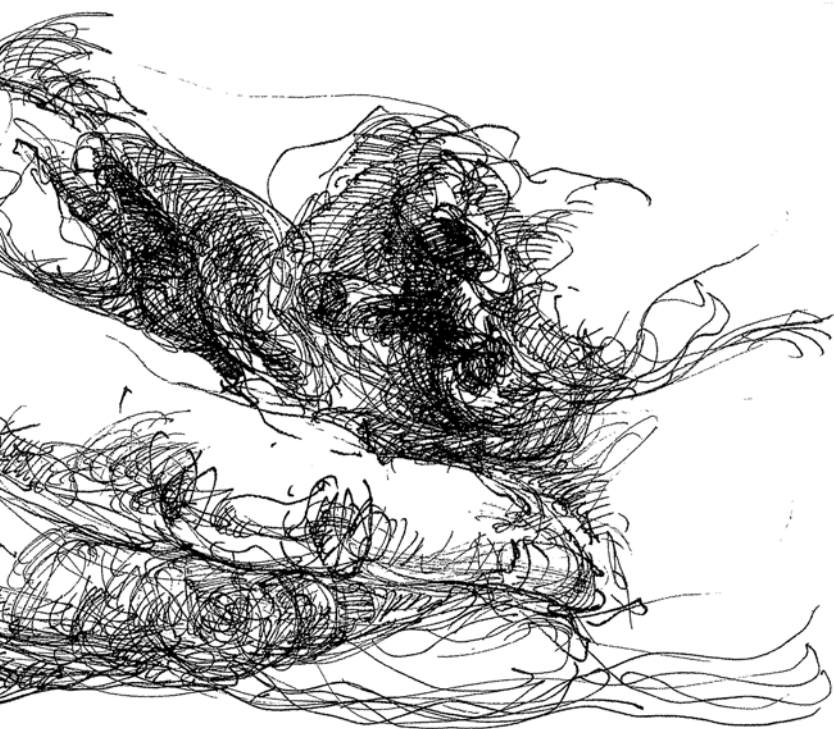
przedwczesne odejście ojca
długa choroba matki
nadwrażliwość jelita grubego
która choć uciążliwa
nie powoduje śmierci

śmierć nie potrzebuje
hipochondrycznego badania dwunastnicy
nałogowo zażywanych leków
na ból głowy i zęba

miał ulubiony fotel
w którym siedział w ostatni dzień
zanim zlał się ze ścianą

piętnastoletnia
kiedy zakończyła znajomość
z chłopcem na rzecz innego chłopca
odkrywa zawartość komody

pradziadek pisał wiersze
zdjęcie przyciska paragony
żeby nie zwiało



Franciszek Ziejka w kleszczach mobbingu. Jak walczyć z pomówieniami i insynuacjami?

JERZY PASZEK

Mam w ręku dwa numery miesięcznika Uniwersytetu Jagiellońskiego „Alma Mater” z roku 2007 i 2008. Pierwszy z nich jest poświęcony Stanisławowi Wyspiańskiemu (numer specjalny 97 / 2007; okazją była setna rocznica śmierci artysty), drugi zaś, z lutego 2008, okazuje się jubileuszowym, gdyż był to setny zeszyt pisma wychodzącego od roku 1996. Opiekunem merytorycznym obu tych numerów był założyciel periodyku, czyli Franciszek Ziejka. Ciekawostką edytorską może być informacja redakcyjna, iż nr specjalny miał nakład 3000 egzemplarzy, a nr 100 aż 3500 egzemplarzy i był o 50 stronici obszerniejszy. O Wyspiańskim piszą Maria Podraza-Kwiatkowska, Ziejka („U stóp Wawelu miał ojciec pracownię”), Magdalena Popiel, a wywiadów udzielają Ewa Miodońska-Brookes oraz Maria Rydlowa. Bohaterem setnego numeru jest sam Ziejka: Teresa Bętkowska przedstawia biografię dwukrotnego rektora UJ (z galerią zdjęć uczonego i jego rodziny), a sensacją jest *Dwugłos o jednej teczce*, czyli artykuł Piotra Franaszka *Franciszek Ziejka w materiałach Służby Bezpieczeństwa* oraz studium „detektywistyczne” i zarazem tekstologiczne Ziejki pt. *Dokumenty IPN w świetle moich „Dzienników”* (na s. 57–61 i 61–67). Dodam jeszcze, iż po śmierci uczonego (w roku 2020) w Internecie zasygnalizowano aż milion (sic!) mininekrologów, bo wszak rektor UJ był nie tylko polonistą, ale również dzierżył berło szczonego redawcy państwowego grosza jako przewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa (2005–2020).

W piśmie „Alma Mater” omówiona została przez Annę Czabanowską-Wróbel konferencja dotycząca Wyspiańskiego, która odbyła się w Krakowie w dniach 14–17 listopada 2007. Miałem na tej sesji wystąpienie dotyczące niezrozumiałstwa w *Weselu*, a Ziejka zaprosił mnie na spektakl, w którym Jerzy Trela czytał listy Stanisława Lacka do dramaturga. Sie-

działem obok rektora i autorki scenariusza – Miodońskiej-Brookes. W przerwie przedstawienia Trela wręczył jedną białą różę pani profesor. Po drodze do teatru Ziejka opowiadał mi o swoich kłopotach z lustracją i diariuszu odkrytym w garażu. Zapewniał mnie, że wszystkie dziennikarskie doniesienia na temat jego kontaktów z pracownikami wywiadu i SB są nieprawdziwe, o czym przekonałem się z artykułu w lutowym numerze pisma „Alma Mater” w roku następnym, czyli 2008.

Z Ziejką spotykałem się na studiach polonistycznych UJ w latach 1958–1963. Recenzowałem jego książkę pt. *W kręgu mitów polskich* („Życie Literackie” 1977, nr 51), a przed wyjazdem Franka do Prowansji pożyczyłem mu skrypt do nauki języka francuskiego autorstwa Bolesława Kielskiego. Mieszkaliśmy przez 5 lat w jednym akademiku przy Błoniach, a nawet opiekowaliśmy się tym samym niewidomym studentem polonistyki, Leonardem Sputo (on na drugim roku studiów, ja na czwartym). Ziejka chodził na seminarium magisterskie prof. Wacława Kubackiego, a ja pisałem pracę mgr pod kierunkiem prof. Henryka Markiewicza; obaj zresztą doktoraty ukończyliśmy u Markiewicza. Przez 40 lat kariery uczelnianej (1970–2010) bardzo rzadko bywaliśmy na tych samych obronach prac doktorskich czy habilitacyjnych; przypominam sobie jedynie spotkanie podczas przewodu hab. Teresy Wilkoń. To dziwne, że na sesjach naukowych, choć obaj byliśmy „młodopolakami” (on od Reymonta i Wyspiańskiego, ja od Berenta i Żeromskiego) w zasadzie stale mijaliśmy się. Powodem były wyjazdy Ziejki do Francji i Portugalii, a potem jego obowiązki rektora i celebrowanie (był najbardziej znanym polonistą-absolwentem UJ z roku 1963, choć konkuren-

cja była niemała: Sprusiński, Rogatko, Niedoba, Pieszczachowicz, prof. Dunaj, prof. Kowalikowa). Bo kto w Polsce miał 15 orderów z różnych państw czy 20 nagród literackich i 5 doktoratów *honoris causa*?

W przypisie do swojego artykułu („Alma Mater” 2008, nr 100, s. 67) Ziejka zapowiada nowe wydania książek, składających się na niedokończony „tryptyk europejski” (brak tomu *Moja Prowansja*), gdzie zamierza stworzyć sylwy sjentyficzne, nadbudowane na dawnych edycjach *Paryża młodopolskiego* (1993) oraz *Moich spotkań z Portugalią* (1984): „Najprawdopodobniej jeszcze wiosną bieżącego roku ukaże się drukiem w tomie pt. *Moja Portugalia* mój *Dziennik portugalski*. Pod koniec tego roku, albo też na początku przyszłego, winien ukazać się tom zatytułowany *Mój Paryż*, zawierający m.in. mój *Dziennik paryski*. Dzięki temu, jeśli tylko otwarte zostaną archiwa IPN, każdy będzie mógł skonfrontować materiały zawarte w mojej ‘teczce’ z moimi ‘ dzien-



fol. Fryta 73

nikami”. Chyba było to złudzenie Ziejki, bo jego wrogów żadne zapiski zachowane w garażu nie przekonają do tego, iż nie był on „konsultantem”, „tajnym współpracownikiem” lub „kontaktem operacyjnym”. A dla czytelnika rozprawy profesorskiej o Paryżu, nawiedzanym przez literatów Młodej Polski, 80 stronice dodanego dziennika (F. Ziejka: *Mój Paryż*. Kraków 2008, s. 13–93; skrót MP) może być smutnym opisem przygód autora w stolicy świata, która chlubi się swoją biurokracją i nieznajomością innych krajów (Maria Curie to wyłącznie Francuzka, nawet elita nie zna Mickiewicza). Połowa tego dziennika dotyczy wędrówek Ziejki z prof. Tadeuszem Bujnickim po francuskich muzeach, zabytkach i lokalach gastronomicznych. W indeksie nazwisk występuje sienkiewiczolog tylko raz, choć w tomie mowa o nim (jako przyjacielu Tadeuszu) wielokrotnie (MP 15, 16, 18, 19, 27, 32, 34, 35, 42, 46). Podejrzewam, że Ziejka nie chciał przyznać się do faktu, że to on, a nie starszy od niego Bujnicki, kierował owymi wycieczkami, gdyż badacz poezji rewolucyjnej zbyt słabo znał język francuski, o czym opowiadał mi romanista Aleksander Abłamowicz.

Gdy zważyć głosy recenzentów, wówczas *Mój Paryż* jest najbardziej docenianą książką w dorobku naukowym Ziejki. Bo o tomie tym pisali m.in.: Czabanowska-Wróbel („Ruch Literacki”), Ewa Ihnatowicz („Nowe Książki”), Barbara Koc („Pamiętnik Literacki”), Andrzej Z. Makowiecki („Teksty Drugie”). Ten ostatni pochwała informacyjny zasób wiedzy o Paryżu modernistycznym: „Sam tytuł [libeli Ziejki] może budzić ekscytację. Chodzi przecież o miasto-mit, i to mit stale obecny w dziejach kultury europejskiej, na przełomie zaś XIX i XX wieku osiągnący apogeum. [...] owa artystyczna Ziemia Obiecana staje się także przestrzenią zawodów i cierpień. Ziejka trzyma się faktów i stara się je komentować powściągliwie i obiektywnie (to także jedna z zalet tej książki), ale wymowa tych faktów skłania do wniosków niewesołych” (A.Z. Makowiecki: *Do Paryża i jeszcze dalej*. „Teksty Drugie” 1996, nr 1, s. 81–82). Nieśmiało uważam, iż powolna i wścibska – aczkolwiek zapewne niebezinteresowna, bo dostarczająca innego niż tylko poznawcze zadowolenie – lektura cennej pracy Ziejki ujawnia nieoczekiwany dla mnie horyzont: oto nikt nie panuje nad oceanem tekstów młodopolskich, bo nikt nie zwrócił autorowi uwagi na dziwne, a nawet dziwaczne potknięcia. Przykładowo: *Ludzie bezdomni* są bardzo znaną powieścią Żeromskiego (przez lata lektura obowiązkowa!), a tu w nazwisku znienawidzonego, realnego przeciwnika pisarza pojawia się u Ziejki „Różycki, kustosz rapperswilski” (MP 204) zamiast Rużyckiego (nawet w cytacie ze źródła ówczesnego należało to uzupełnić); Yvette Guilbert nie miała „wspañalej urody” (MP 103), bo była ogólnie



T R Y P T Y K E U R O P E J S K I

Franciszek Ziejka

MÓJ PARYŻ



uważana za brzydactwo: pisze o tym Berent w *Próchnie*, Kołaczkowski („przysadzista, tęga chłopka”), Kisielewski („niegdyś chuda, dziś bardzo tęga sylwetka”), Zapolska („ruchy młodej gęsi”, „ochryply głos i gesty drewnianej tej lalki”) w aneksie do mojej edycji w BN tego utworu z roku 1903. Dla mnie jedna wskazówka jest odkrywczą: Ziejka (MP 313) cytuje zdanie Marii Rakowskiej o tym, że *Oziminę* Berenta uznała za „książkę roku 1910” (o czym chyba nikt przed Frankiem nie powiedział!).

Mogło się wydawać, po publikacji setnego numeru czasopisma „Alma Mater” i dyalogii z cyklu „tryptyk europejski”, iż Ziejka wyszedł cało z nagonki po opublikowaniu listy Wildsteina. A tu nieoczekiwanie dla byłego rektora UJ 26 lutego 2018 wszczęto postępowanie w IPN prze-

ciwko niemu o to, że w roku 2008 skłamał, nie przyznając się do współpracy z SB. Został uniewinniony dopiero 24 czerwca 2020, czyli na niecały miesiąc przed śmiercią (19 lipca 2020). Ale i zgon szanowanego w Krakowie uczonego i działacza społecznego nie skończył „sprawy Ziejki”: oto 21 sierpnia 2020 roku na nowo wszczęto jego proces lustracyjny, który jednak 10 listopada 2020 ostatecznie zamknięto (zob. A. Nowakowski: *Rektor UJ Franciszek Ziejka. Historia pewnej lustracji*. „Gazeta Wyborcza” z 28. 10. 2022, mutacja krakowska). Franciszek Ziejka przeszedł boleśnie szlaki bohaterów *Procesu* i *Zamku* Franza Kafki, bo los chciał, iż nazwisko słynnego praskiego wizjonera w całości (choć nie po kolei!) mieści się w nazwisku i imieniu rektora UJ: FRANCISZEK ZIEJKA...

Dorośli – przynajmniej ci, którzy zachowują kontakt ze swoim Wewnętrznym Dzieckiem – łakną czasem bajek. Opowieści, w których zwycięża się smoki i za przyjaźnia z jednorożcami. Jednocześnie – o ile naprawdę są dorośli – wierzą ich morały wygłaszane tonem nieznoszącym sprzeciwu, nie wierzą w pół królestwa i rękę królowej darowane szlachetnemu szewczykowi, a i w owej szlachetności dopatrzają się kilku skaz i zmaż, zaś w smoku nie tyle złośliwej bestii, co jednostki nieprzystosowanej społecznie. Naprzeciw czytelniczym potrzebom dorosłych wychodzą *Bajki niepoprawne* Piotra Zaczekowskiego. Daleko im do przemądrzałego, oświeceniowego dydaktyzmu czy fantazji o krwawej zemście na złoczyńcach braci Grimm. Blżej natomiast do melancholii Hansa Christiana Andersena, filozoficznej zadumy Leszka Kołakowskiego czy ironii Stanisława Lema.

Powtarzającym się motywem w tych krótkich utworach jest lustro. W *Bajce weneckiej* cesarz rozważa rozbicie wszystkich zwierciadeł w państwie, by nie odbijały niepokojów społecznych. Doradcy zwracają uwagę, że fatalnie wpłynęłoby to na branżę modową, urodową i balet, „przyniosło rozmnożenie niechlujnych brodaczy, co utrudni identyfikację anarchistów”, zaś przede wszystkim nie pozwoli oszukiwać samego siebie ani przypatrywanie się egzekucjom przez lustra weneckie. W *Kaleczeniu zegara* słowa starające się opisać depresję „wlekły za sobą pęknięte lustra”, w związku z czym nie okazywały ludziom szankunku ani zrozumienia.

Bajki niepoprawne wchodzą w rolę zwierciadła przechadzającego się po gościńcu, by badać kondycję jednostek i tworzonego przez nie społeczeństwa, bez formułowania prostych recept na rozwiązanie trudnych problemów. Zdają sobie sprawę, jak łatwo stać się lustrem krzywym, zafiksowanym na wyolbrzymienia jednej cechy kosztem innych. Także jak łatwo patrzeć na świat przez diabelskie szkło, jak Kaj z baśni o Królowej Śniegu.

Książka Piotra Zaczekowskiego jest jednocześnie mocno osadzona w konkretnym miejscu i czasie – Polsce i Śląsku ostatnich lat, zmagających się między innymi z pandemią – oraz niesie uniwersalne przesłanie, które można dopasować do wielu różnych państw, ustrojów, epok. *Szkółka leśna* emanuje troską o dzieci objęte systemem edukacji zdalnej, kiedy to „stratowano grzyby, maliny i jagody, wykarczowano i zaorano bardzo dużo lasu, nie oszczędzając żadnej, długo i troskliwie pielęgnowanej szkółki – dla brzoźek, dąbków, świerków i sosenek z jodełkami. Wszystkim młodym, słabym i silniejszym, łagodnym i drapieżnym, leniwym i kujonom, a nawet prymusom, którzy marzyli o stanowiskach przodowników w korporacjach dla zwierząt, nieszczęście zajaśniało w oczy” (s. 23).

Jakie czasy, taki smok

KSIĄŻKI

Troska jest tym większa, że młodociane rośliny i zwierzęta nie bardzo mogą liczyć na dorosłych, pogrążonych w bezowocnych swarach, za którymi próbują ukryć własny lęk i bezradność.

Z kolei *Kucyki Apokalipsy*, umiejętnie stylizowane na język propagandy, przedstawiają dystopijną wizję państwa rządzonego przez Radę Starców: „Pomnikiem nieodwracalnych błędów, popełnionych w czasach bezpowrotnie minionych, stała się tak zwana Strefa Kultury w Katowicach, gdzie na terenach pokopalnianych wzniesiono centrum kongresowe, muzeum sztuki nowoczesnej i monumentalną salę koncertową. W śląskich rodzinach, gdzie przez wiele pokoleń zawód górnika przechodził z ojca na syna, jeszcze niespełna dwie dekady wstecz nakłaniano młodzież do podejmowania studiów humanistycznych i (w szczególnie drastycznych przypadkach) artystycznych. Tym samym zaburzono nie tylko porządek wartości, lecz doprowadzono także do niedoboru kadr w zawodach kopaczy, ładowaczy i przewoźników węgla”. W ramach powrotu do tradycji, Rada Starszych nie tylko wznawia wydobywanie węgla kamiennego, rezygnując z mrzonek o ekologii, kulturze i sztuce, ale też wykorzystuje stadninę w Janowie Podlaskim (czytelna aluzja polityczna) do hodowli specjalnej rasy koni, zdalnych do pracy w kopalni, jak to było w dziewiętnastym wieku.

Rozpaczliwa walka o uznanie kultury za społeczną wartość pojawia się również w innych bajkach Piotra Zaczekowskiego. *Mamut i karuzela* opisuje historię starego i słabego jaskiniowca, nieprzydatnego podczas łowów, lecz oferującego stworzenie malowideł „upamiętniających po wsze czasy odwagę innych i każdy epizod polowania”.

Kolejnymi powtarzającymi się motywami są depresja, poczucie wyobcowania



WERONIKA GÓRSKA

nia oraz zniewolenia, uciekanie przed śmiercią w życie o niepewnej, a nawet iluzorycznej wartości. Doświadcza ich między innymi bohater *Olbrzymiego płaczu*: „Do ucha tej wyjątkowo, potwornie czulej osobliwości wpadały strumyki wyzwick, bo ludziom puszczały nerwy i mówili do siebie za głośno – a właściwie nie potoki wpadały, ale ścieki, po myje, całe zatrute rzeki. I miał już dosyć olbrzym mądry, aczkolwiek wcale nie przemądrzały, samotny w sobie i poza sobą, lecz nie samolubny, od urodzenia patrzący co prawda na wszystko z góry, ale bez żadnych wygórowanych pragnień i nie po to, aby się nad kimkolwiek wywyższać”.

Radosław Kobierski w posłowie książki nazywa strategię literacką autora „czułym katastrofizmem”, który „z troską pochyla się nad ofiarami tego pędzącego ku przepaści świata”. Słusznie zwraca też uwagę na minimalizm i precyzję formy – w tych tekstach nie ma zbędnych ozdóbek, każde słowo jest celowe i konieczne.

Lektura bajek Piotra Zaczekowskiego nie pozwala Wewnętrznemu Dziecku na bez troskę zabawę ani nie oferuje cudownego leku pokiereszowanemu dorosłemu. Nazywa za to jego kontuzję, diagnozuje choroby, opatruje rany, a to samo w sobie bywa terapeutyczne, a przynajmniej odrobinę znieczula. Nie pozwalając sobie na nadzieję, nie przestaje marzyć, niczym bohaterowie finałowych *Naszych kotów*, o „kafkowym piecu zimą, (...) latem ptakach za oknem, a jesienią domu spokojnej jesiieni, byle do wiosny”.

Piotr Zaczekowski, *Bajki niepoprawne*, Biblioteka Śląska, Katowice 2024, 64 s.

Pochodzący z Koła pisarz Jakub Małecki debiutował w „Nowej Fantastyce”, a szerszej publiczności dał się poznać za sprawą wydawnego w roku 2015 *Dygotu*. Popularność przyniosło mu także *Święto ognia*, zekranizowane w 2023 roku przez Kingę Dębską. Twórczość Małeckiego ma różnorodny charakter: zaczynał od fantastyki i horroru, a aktualnie wpisuje się w nurt realizmu magicznego. W maju 2024 roku autor oddał w ręce czytelników nową powieść – *Korowód* – w której w skondensowany sposób ukazuje opowieść rozciągniętą na stulecia oraz stawia pytania o granice prawdy i fikcji.

Korowód składa się z sześciu części, z których każda jest z pozoru odrębną historią. Małecki zabiera czytelnika w podróż przez wieki: począwszy od osadzonej w XVI wieku lakonicznej opowieści o ucieczce Pawła Wróby przez zamrożony Bałtyk, po współczesną opowieść o pisarzu Kubie i jego młodości. W pozostałych segmentach utworu odnajdujemy listy Feliksa do ukochanej Marianny, dziennik młodej Barbary Brzozowskiej, marzące o karierze pisarskiej, oraz fragmenty jej powieści, *Teorii chaosu*, gdzie poznajemy losy wybitnego matematyka i kryptologa Tomasza Wilczewskiego, który miałby szansę złamać kod Enigmy, gdyby nie przytrafiła mu się obezwładniająca miłość. Przedstawione w *Korowodzie* fragmenty ludzkich istnień, choć na pierwszy rzut oka niepowiązane ze sobą, wzajemnie się przenikają, tworząc tytułowy korowód: Brzozowska zaczytuje się w epistolarnej historii pod tytułem *Twój Feliks*, z kolei Jakub regularnie wraca do otrzymanej od wuja *Teorii chaosu* oraz do matematycznych artykułów Wilczewskiego.

Na szczególną uwagę zasługuje piąta część utworu, w której Małecki, opierając się na autofikcji, podjął swego rodzaju literacką grę z czytelnikiem. Umieszczając w powieści elementy własnej biografii, pisarz prowokuje czytelnika do zadania sobie pytań o granice prawdy i fikcji. Bohaterem uczynił Kubę, a bieg jego książkowych losów świadczy o tym, że pisarz w *Korowodzie* zawarł część osobistych doświadczeń – jak na przykład debiut na łamach „Nowej Fantastyki” czy wydanie w 2011 roku pierwszej wersji *Dżozefa*. Zaznajomieni z twórczością Małeckiego czytelnicy bez trudu odnajdą także inne ślady świadczące o kontaminacji biografii autora oraz jego *alter ego*, powieściowego Jakuba. Taką poszlaką jest osadzenie tej części powieści w Kole, mieście urodzenia Małeckiego, do którego niejednokrotnie powraca on w swoich utworach. Z tego powodu pisarzowi zarzuca się czasem uwikłanie w rodzinną przestrzeń i opowiadanie wciąż tej samej historii. Po części można się z tym zgodzić: miejsce akcji, owszem, nierzadko jest podobne, jak również przedstawianie życiorysów ludzi zmagających się z afektami. Poszczególne książki Małeckiego cechuje jednak różnorodność, a samo Koło przyjmuje w nich charakter miejsca autobiograficznego, stając się źródłem literackiej inspiracji autora.

Na polifoniczność najnowszej powieści wpływają również obecne w niej elementy niezwykle, dzięki którym utwór ten można

Ktoś jeszcze

KSIAŻKI

wpisać w nurt realizmu magicznego, podobnie jak niektóre z jego pozostałych książek, jak chociażby *Dygot*, *Saturnin* czy *Sąsiednie kolory*. W *Korowodzie* autor w niecodzienny sposób przedstawia wewnętrzne zmagania wykreowanych przez siebie postaci. Niektórzy bohaterowie dostrzegają enigmatyczną postać, przypominającą szary kształt czy też cień, który pojawia się w chwilach dla nich trudnych. Co ważne, Małecki nie daje czytelnikowi jasnej odpowiedzi, czym ów szary kształt jest. Przypuszczać można, że jest on głęboko związany z psychiką bohaterów – każdy z nich bowiem jest uwikłany w przytłaczające go wydarzenia: jednemu zostaje oddane pod opiekę cudze dziecko, inny zmagając się z chorobą morską, a jeszcze inny przeżywa strach związany z grozą II wojny światowej. Kubie towarzyszy szary cień, odkąd jako dziesięciolatek był świadkiem drastycznych wydarzeń. Uwagę zwraca fakt, iż początkowo istota ta wzbudza w bohaterze strach, szybko jednak zostaje przez niego uosobiona i przyjęta za stały element egzystencji. Świadczy o tym zmiana pisowni, użycie wielkiej litery wskazuje wręcz na imię czy też inną nazwę własną: „Kształt”. Przypominająca cień postać ma na Kubę niesamowity wpływ: nie tylko przekazuje chłopakowi echa przeszłych wydarzeń, lecz także kilkakrotnie zyskuje fizyczną władzę nad jego ciałem. Małecki przy pomocy figury bezosobowego kształtu przedstawia więc walkę bohaterów z własnymi umysłami. Nie jest to pierwszy raz, kiedy twórca podejmuje w swoich powieściach tematykę z zakresu ludzkiej psychiki. Podobne tematy autor przedstawił między innymi w *Saturninie*, gdzie zarysował zmagania z wojenną traumą czy też w *Sąsiednich kolorach*, w których ukazał bohaterów pogrążonych w melancholii i depresji.



NATALIA SZOPA

Szósta część *Korowodu* może zaskoczyć czytelników, jako że znacząco różni się od pozostałych, umieszczonych w utworze historii. Została ona pomyślana jako zachęta do stworzenia przez odbiorcę własnej opowieści i wejścia w narracyjną spiralę utworu. Tym samym czytelnik ma możliwość podjęcia zapoczątkowanej przez pisarza literackiej gry.

Korowód zdecydowanie jest wart polecenia, choć przed przeczytaniem tej powieści dobrze jest zapoznać się z przynajmniej kilkoma wcześniejszymi utworami Małeckiego – wtedy jego lektura będzie najbardziej satysfakcjonująca. Odbiorcy, zaznajomieni z twórczością pochodzącego z Koła pisarza, odnajdą tu wiele literackich nawiązań. Powieść ta jest też swego rodzaju hołdem dla czytelników – to oni pierwsi, a nie recenzenci, mogli zapoznać się z jego treścią, na okładce też jakiegokolwiek opisu, który zdradzałby przebieg fabuły. Skondensowany charakter zawartych w *Korowodzie* historii może pozostawiać pewien niedosyt, ale tylko dlatego, że wzbudza pragnienie kontynuowania owej literackiej przygody. Każdą bowiem część utworu można określić mianem potencjalnej powieści. Autor świadomie decyduje się na taki sposób prowadzenia narracji, zostawiając odbiorcy miejsce na własne przemyślenia i reakcje. Pokusa, aby poznać dalsze losy bohaterów targanych afektami, jest ogromna, Małecki jednak kreuje świat przedstawiony tak, aby zapewnić czytelnikowi jak najbardziej indywidualne doświadczenia lekturowe. ■

Jakub Małecki, *Korowód*, Kraków 2024, s. 256.

Ałbena Grabowska debiutowała w 2011 roku autobiograficzną książką *Tam, gdzie urodził się Orfeusz*, jednak ogromną popularność zyskała nie jako propagatorka Gruzji, lecz jako autorka powieści obyczajowo-histerycznych (*Doktor Bogumił*; *Rzeki płyną, jak chcą*; *Doktor Anna*; *Doktor Zosia*; *Najważniejsze to przeżyć*). Biorąc pod uwagę jej dorobek literacki, można uznać ją za jedną z najbardziej pracowitych pisarek ostatnich dwóch dekad. Grabowska publikuje dużo i dla czytelników w każdym wieku: zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci. Mimo narzuconego sobie tempa pracy, jej kolejnym powieściom nie można zarzucić niedopracowania i mielizn. Być może książki Grabowskiej nie są stworzone z maestrią, jednak warto docenić, że dba ona o to, by jej publikacje nie zamieniły się w schematy fabularne wymagające jedynie podmiń imion bohaterów.

W przypadku Grabowskiej można wskazać konkretny moment uzyskania popularności nie tylko wśród czytelniczek i czytelników. W 2019 roku zaczęto emitować serial *Stulecie Winnych* oparty na trzytomowej sadze o tym samym tytule, która została opublikowana w 2014 roku. Ekranizacja sprawiła, że pisarstwem Grabowskiej zainteresowali się nie tylko admiratorzy jej talentu, lecz również ci, którzy chcieli sprawdzić, na ile serial emitowany w telewizji publicznej różni się od oryginalnej wersji. Emisja serialu zbiegła się z premierami nowych książek Grabowskiej, dzięki czemu zainteresowani mogli przeczytać powieści wydane po 2019 roku. To idealna sytuacja dla pisarki ze względu na możliwość dotarcia do „nieprzekonanych” lub fanów serialu, którzy jeszcze nie znają innych powieści. Dzięki ekranizacji Grabowska stała się pisarką rozpoznawalną i kojarzoną z tematyką wojenną. Jak dotąd żaden pisarz (poza Remigiuszem Mrozem) nie eksploatował tego tematu równie intensywnie co Grabowska.

Próbując odpowiedzieć na pytanie o powód nagłego zainteresowania tematem martyrologii wojennej, należałoby wskazać nie tylko popularność powieści określanych jako „bestsellery o Zagładzie” (*Tatuażysta z Auschwitz* Heather Morris; *Strefa interesów* Martina Amisa), lecz również zdolność literatury do wywoływania w czytelnikach określonych stanów, które wiążą się z doświadczeniem absorbowania cierpienia innych. Można założyć, że współczesny czytelnik chcący dowiedzieć się czegoś więcej o powstaniu warszawskim wybierze powieści Grabowskiej a nie książki Marii Kobielskiej (*Polska kultura pamięci w XXI wieku: dominanty: zbrodnia katyńska, powstanie warszawskie i stan wojenny*) lub Marcina Żarembę (*Wielka twórga: Polska 1944–1947: Ludowa reakcja na kryzys*). Krytykowanie tego wyboru okazałoby się zasadne, gdyby czytelnicy mieli wybierać między specjalistycznymi opracowaniami, a powieściami koncentrującymi się na przemocy i trywializującymi temat. Grabowska nie wkracza na ścieżkę wytyczoną przez Morris i Amisa – częściej decyduje się na ujawnienie długotrwałych konsekwencji traumatycznych doświadczeń niż wyzyskuje możliwość przedstawienia pewnych epizodów w sposób podkreślający podejrzenie intencji autorki (gwałty itd.).

Literackie zbliżenia na powstanie

KSIAŻKI

Najnowszą powieść *Odlecieć jak najdalej* warto czytać wraz z wydaną w poprzednim roku *Najważniejsze to przeżyć*. W obu publikacjach Grabowska rekonstruuje losy rodzin obserwujących nie tylko destrukcję Warszawy na skutek działań nazistów w 1944 roku, lecz również zaprowadzanie nowego porządku politycznego. Postacią spajającą wszystkie wątki w *Najważniejsze to przeżyć* jest Mirka Pataczkówna – bystra trzynastolatka, która znajduje wyjście z każdej opresji. Jej postawa kontrastuje z zachowaniem Tereski – siostry żyjącej przeszłością i usiłującej odzyskać dawną miłość. Pierwsza koncentruje się na interesach i handlu, które pozwalają jej odkrywać prawdziwą naturę innych handlarek, druga wciąż rozpamiętuje odrzucenie ze strony Alka, który brał udział w powstaniu warszawskim. Mirka potrafi odnaleźć się w nowej rzeczywistości, a Tereska wciąż konfrontuje się z nieprzyjemnymi komentarzami dotyczącymi ucieczki z Warszawy.

W *Odlecieć jak najdalej* głównymi bohaterami jest grupa maturzystów (miedzy innymi Ola Czerniawska i Janek Leśniewski), którzy przygotowują się do egzaminu dojrzałości w latach sześćdziesiątych. Choć od powstania minęły dwie dekady, nastolatki wciąż żyją w cieniu wojny. Wspominają o niej ich rodzice i dziadkowie, jej ślady osadziły się w życiorysach poszczególnych członków rodziny (przypadek Karoliny Leśniewskiej, która na skutek postrzału trafiła do szpitala psychiatrycznego w Tworach). Reprezentanci pokolenia urodzonego zaraz po wojnie muszą dokonać ważnych wyborów i skonfrontować się z przeszłością, która nie daje o sobie zapomnieć. Grabowska w swoich najnowszych powieściach głównym spoiwem fabuł czyni powstanie warszawskie. Choć udział w nim wiązał się z od wagą, długotrwałe konsekwencje (kalectwo, trauma, świadkowanie przemocy) zmuszają



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

do weryfikacji opinii na temat celowości przeprowadzenia zrywu.

Pisarka powraca do toczącej się w Polsce dyskusji o ocenach powstania, które uwzględniały realne szanse na pokonanie okupanta oraz straty po stronie cywilów i powstańców (powstanie pochłonęło młodzież wkraczającą dopiero w życie – tzw. pokolenie Kolumbów). Grabowska unika jednak publicystycznego tomu, owszem, w jej dwóch najnowszych powieściach można dostrzec reminiscencje dyskusji przeciwników i zwolenników powstania, ale jej strategia pozostaje daleka od rekonstruowania sporów o zasadność podjęcia decyzji o organizacji powstania. Zadaniem, jakie postawiła przed sobą pisarka w najnowszych powieściach, było podkreślenie wpływu traumy na uczestników powstania (dorosłych i dzieci) oraz zwrócenie uwagi na konieczność zagospodarowywania życia na ruinach i w niesprzyjającym systemie politycznym (donosicielstwo).

Choć powieści Grabowskiej to fikcje, które opierają się na wiedzy pozyskanej z kompendiów, i wyobraźni pisarki, warto czytać je ze względu na ich przynależność gatunkową (saga rodzinna) zapewniającą poszerzoną perspektywę oglądu. Teksty literackie dotyczące powstania, których autorki i autorzy byli świadkami opisywanych wydarzeń, prezentują inny sposób ujęcia zagadnienia (wystarczy wspomnieć o *Pamiętniku z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego i *Budowałam barykadę* Anny Świrszczyńskiej. Dzięki Grabowskiej możliwe jest prześledzenie losów pewnej formacji, która musiała dorastać w cieniu powstania, i wciąż konfrontować się z jego skutkami.

Ałbena Grabowska: *Odlecieć jak najdalej*, Rebis, Warszawa 2024, s. 349.

Studium Marii Banaś jest jedną z najnowszych pozycji, które zaliczyć można do kręgu tradycji śląskiego środowiska socjologii literatury. Autorka przebojem wdarła się do tego grona, najpierw broniąc, a potem wydając pracę doktorską: *Współczesne dystopie. Socjologia w powieściach Margaret Atwood*.

Ewolucja dystopii to dojrzałe studium z zakresu socjologii literatury (oparte na rzetelnych, w tym przypadku przede wszystkim ilościowych, badaniach empirycznych), poświęcone nieco zaniedbanej we wcześniejszych analizach charakterystyce pozycji mężczyzn i kobiet w dystopii. Traktowana jest ona jednocześnie jako socjologiczne odbicie lęków swoich czasów, a zarazem zapis ówczesnych stereotypów i kliszy kulturowych. Znamienny wydaje się tytuł monografii. Socjolożka, pisząc o literaturze pięknej, sięga do filmu Claude'a Leluch'e'a: *Kobieta i mężczyzna: 20 lat później* (1986), będącego kontynuacją jego *Kobiety i mężczyzny* (1966). Nie bez znaczenia dla tak sformułowanego tytułu jest fakt, że pomiędzy publikacją najgłośniejszej książki George'a Orwella, a powieścią Margaret Atwood (a na ich analizie głównie skupia się autorka) upłynęło lat czterdzieści. Atwood i Orwell – a dokładniej ich twórczość – to główny temat analiz Marii Banaś. Ale nie wyłącznie. Banaś przyjęła bowiem w książce znacznie szerszą perspektywę komparatystyczną, porównując także inne klasyczne dystopie: Huxley'a, Bradbury'ego i Zamiatina (zauważmy – sami mężczyźni) ze współczesną, niezwykle wpływową literaturą dystopii Atwood. Kluczem przeprowadzonych przez autorkę badań socjologicznych jest dla niej istotna zmiana widoczności kobiety w przedstawionych dystopijnych narracjach oraz ewoluujące w czasie typy relacji kobieta–mężczyzna. Socjolożka czerpie w swoich poszukiwaniach nie tylko z dorobku takich klasyków światowej socjologii, jak Erving Goffman, Georg Simmel, ale i z dzieł polskich uczonych, min. autora *Spotkań z utopią* Jerzego Szackiego.

Najsłynniejsza, klasyczna dystopia analizowana przez Marię Banaś to oczywiście (przynajmniej dla piszącego niniejsze słowa) 1984 Geорга Orwella. Od czasów, kiedy brytyjski pisarz napisał swoje dzieło, wiele wody upłynęło w Tamizie. W przeszłości odbierano tę książkę jako protest przeciwko totalitaryzmowi – zarówno nazistowskiemu, jak i komunistycznemu. Orwell bronił wartości liberalnych. Dzisiaj sprawa nie jest już tak prosta. Członkowie pluralistycznych społeczeństw zachodnich, w zależności od wartości, z którymi się utożsamiają, w obozach przeciwników ideologicznych dostrzegają orwellovską gębę totalitaryzmu. Wystarczy wspomnieć, że dla lewicowych wyznawców zmartwychwstałego marksizmu na Zachodzie, totalitarnym systemem jest kapitalizm rządzony przez globalne korporacje, a dla konserwatystów – przymus podporządkowania się poprawności politycznej. I tak w książce Richarda Bradforda Orwella. *Człowiek naszych czasów*, biografii *Roku 1984* i *Folwarku zwi-*

KSIAŻKI

rzęcego, już na wstępie przekonuje się nas, że Orwell „nie byłby zdziwiony, widząc odtwórców głównych ról w nowych wersjach jego dzieł: May, Trumpa, Johnsona, Gove'a, Corbyna, Farage'a, Putina, Xi Jinpinga i innych”.

W obszarze dystopii socjologia literatury wkracza na zakłète rewiry zarezerwowane, wydawałoby się, dla socjologii polityki. Tym większe uznanie dla socjolożki za odwagę w wyborze materiału badawczego. Autorka w swoich badaniach jest niezwykle skrupulatna i nie pozwala zejść z obranej ścieżki chłodnej analizy socjologicznej. Skupia się nie tylko na ukazaniu różnicy płci (co wynika z tytułu), ale bada też pozostałe kategorie socjologiczne, takie jak: status społeczny bohaterów (podporządkowany, niepodporządkowany, uprzywilejowany etc.), poziom emocji (np. pozytywnych, umiarkowany etc.), zróżnicowanie interesów (subiektywne, obiektywne etc.), perspektywa dramaturgiczna (czy ma znaczenie lub nie), kod językowy (rozwinęty, ograniczony), czy pozycja w strukturze społecznej (formalna, nieformalna). Czerpiąc z dorobku klasyków socjologii, Banaś potrafi oryginalnie zastosować ich kategorie i pojęcia. I tak Goffmanowska *fasada*, zaczerpnięta z koncepcji dramaturgicznej, tutaj jest wykorzystana do opisu zachowania mężczyzny, który w reakcji na zaczepkę „(p)rzyjmuje fasadę osobistą manifestującą obojętność”. Badaczka analizuje również ciekawy rytuał konwersacyjny w zależności od stopnia podległości wobec władzy, przy tym nie obawia się przytaczać długich fragmentów analizowanych książek, pozwalających czytelnikom / czytelnikom swoich interpretacji i analiz, na wyrobienie sobie – w oparciu o teksty dystopii – własnego zdania.

Książka Marii Banaś jest jedną z nielicznych, a przy tym niezwykle oryginalnych prac naukowych, które w sposób atrakcyjny łączą analizy jakościowe z przejrzystością (z reguły kojarzoną z badaniami ilościowymi). Tej ostatniej służą rozliczne ta-



W lustrze dystopii

MARCIN GACEK

bele, wykresy, w których czytelniczka / czytelnik, znajdując wykonany z benedyktyńską cierpliwością rozkład ilościowych typów relacji, charakterystycznych dla badanych światów antyutopii.

Banaś kończy omówienie *Roku 1984* przytoczeniem fragmentu dzieła Orwella, traktującego o umiejętności odnalezienia przez funkcjonariuszy systemu totalitarnego osobistej, innej dla każdego, traumy. A to w celu zadania mu maksymalnego poziomu cierpienia. W przypadku bohatera *Roku 1984* Winstona Smitha był to strach przed szczurami. Maria Banaś cytując oryginał intuicyjnie (?) pozostawiła fragment, który przypomina o największym paradoksie, dotyczącym życia ludzi poddanych propagandzie i terrorowi psychicznemu. Oto Winston, gdy z przerażeniem odkrywa zamiar torturowania go przy pomocy znienawidzonych szczurów, krzyczy: „– Nie możecie! – zawył piskliwym, łamiącym się głosem. – Nie możecie! Nie! Nie!”. Podobnie zachowuje się płk Oleg Pieńkowski w filmie *Jack Strong*, o płk. Ryszardzie Kuklińskim. Oto gdy Pieńkowski orientuje się, że zostanie spalony żywcem w piecu hutniczym, histerycznie (co zrozumiałe w tych okolicznościach) i z przerażeniem krzyczy – cytując z pamięci – „Wam nie wolno tego zrobić! Nie! Wy musicie mnie pochować! Nie! Nieeeee!”. A przecież zarówno dla Pieńkowskiego (czy Smitha), jak i dla jego oprawców, mieszkańców i (współ)twórców totalitarnego systemu władzy powinno być oczywiste, że jego funkcjonariusze mogą, bezkarnie i cynicznie zrobić wszystko. I tu już obojętnie czy chodzi o mężczyzn, czy kobiety. ■

Maria Banaś, *Ewolucja dystopii. Kobieta i mężczyzna kilka dekad później*, Wydawnictwo Politechniki Śląskiej, Gliwice 2024. s. 311.

w śnieżną noc zatrucie czadem

mikroskopijne krople krwi spadają na biały puch ze smaganych biczem pleców zawodzącej do pradawnych bogów tatuatorki ludu Ainu, wtórując napierającej wraz ze wschodzącym słońcem chwale epoki Meiji

zaśnieżony ekran kineskopu z taniego plastiku skupia wszystkie swoje siły na doprowadzeniu pięcioletniego chłopca do zwątpienia we własną nieśmiertelność, gdy ten zbliżył do niego swój palec, mimowolnie zmieniając niemrawe mruczenie elektrycznych kociąt w syk

karty Pierwszej Wojny Postludzkiej zostają przetasowane po raz ostatni, gdy zdesperowana grupa ukrywających się w sieci połączonych faksem podmiejskich domków na drzewach partyzantów dowiaduje się, że mroźne opady stępią tej nocy siłę obliczeniową ich mechanicznych ciemieńców o 2%

„w kryształach lodu zapisana jest każda z nieskończonych możliwości wszechświata, ponieważ w ich cząsteczkowych fryzach i kanelurach wiecznie generuje się w pełni losowy zbiór nieprzetłumaczonych liczb” krzyczy młody technokrata na pustym placu

„śnieżny mech jest transcendentną drogą do upodmiotowienia naszych zakutych w kaligraficzne kajdany dusz, wysuszonych i zniewolonych pod ustawicznym ostrzałem neonowych świateł cywilizacji postprzemysłowej” deklamuje zodiakara z Tik-Toka, przedstawiając dadaistyczne grafiki zrobione w Canvie

śnieg jest śniegiem jest możliwością jest zbiorem jest drogą, nie, nie pamiętam jak smakuje, za dzieciaka zawsze szybciej zmieniał się w błoto niż dało się go włożyć do ust, a teraz nie wypada

opisać spadający śnieg — to przyznać konieczność topnieniu

niecałe dziesięć tysięcy szługów

serie dawnych karnych krzyków wystrzelane w niebo spadły bez huku
rozszarpane musieć musieć zostało z dwa czy trzy pokoje dalej
pierwszy pociąg odjechał ale na dniach przyjedzie kolejny i kolejny
wskoczenie w któryś da następnym krokom jakiś cel jakiś horyzont
w miesiącach oczekiwania namnożyło się słów które koją i tną
kilkadziesiąt roztrzaskanych i sklejonnych szklanek
no niby są pieniądze w kieszeni z tego wszystkiego
całość leci wszere oczu spragnionych ognia w dali

co jest ze skóry
powiedz mi co jest z poranionej skóry
to co pocięte to pocięte
to dawno to na rękach wytłoczonych tuszem

powiedz mi co jest z rzucania się w przepaść tylko dlatego, że za tobą stoi zwarty rząd luster

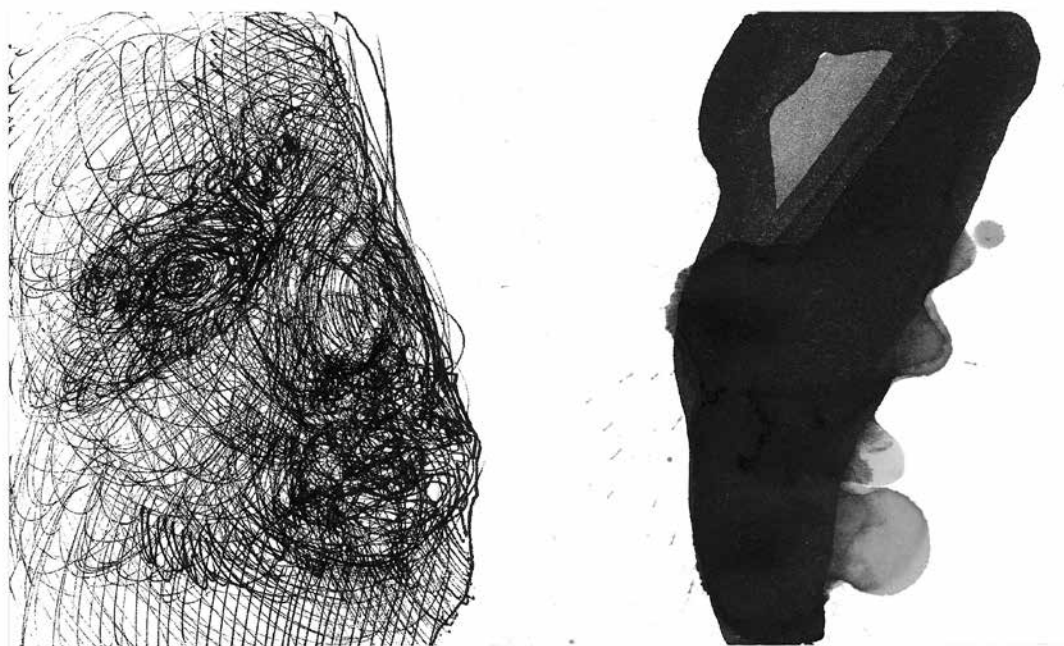
nie chcę samej prawdy
ale bilanse zostały wykonane
cała jasna świetlana przyszłość

nie chcę intuicji
ale uczucie podpowiada zazdrość i strach
tylko one pozostają

realnie
możemy już zrobić wszystko z ciałem

w przeliczeniu jakieś dziesięć tysięcy szługów
własnoręcznie skręconych i wypalonych
wieczory i noce z chwiejnych nóg i wielkich snów
poranki ze spojrzeń wstecz pod ciężkim dachem
wszystko to w miejscu szpitalnego łóżka
i ciebie na nim

rys. Bogna Skwara



baroqqqqque

kolega który pił trochę za dużo w liceum
zostaje neurochirurgiem
na zaliczenie praktyk dostaje na stół ciało Boga, z którego wycina receptory bólu
a że kolega był wierzący, chciał nawet kiedyś zostać księdzem
i nigdy mu to do końca nie przeszło
to bierze całą tę sieć żółto-szarych kulek, srebrno-białych nitek
cały pulsujący system
i wyrzuca je za okno

wyrzuca je, bo myśli że wytworzą sobie jakiś rodzaj mięsno-aerostatycznych skrzydeł
i polecą nieść tlen pierścieniom saturna
i osiadą na pierścieniach saturna
i podpalą płomienie saturna
dając niebu długo wyczekiwane Wieczne Światło Dwa™
i że Wieczne Światło Dwa™ będzie wielką grą na fortepianie wokół całego układu słonecznego
której będzie można słuchać lepiej lub gorzej w zależności od pory roku
to jest dobra nowina

ale one wylatują z tego okna na chodnik, w pełnym słońcu
godziny szczytu, rodziny z dziećmi, sznury samochodów
wszyscy się trochę na nie patrzą zastanawiają się
nie wiedzą czy wzywać policję czy tylko trochę postać
nie wiedzą czy coś się nie zmieniło bo generalnie nawet jeśli nie wiedzą to czują
co to jest
przez to niektórzy próbują jakoś spekulować co będzie
a będzie impreza – impreza trwa sześć dni
siódmego odpoczywamy

Słowo o sobie

MAGDALENA DUDA

Grafika była dla mnie zawsze rodzajem łamigłówki, ponieważ gotowe elementy mogłam wykorzystywać w różnych konfiguracjach i w wielu pracach. Ale brakowało mi kontaktu z materią i zawsze chciałam malować. Musiały jednak minąć lata, zanim odnalazłam swój temat.

Kontakt z przyrodą był zawsze dla mnie bardzo ważny, a palmiarnia była miejscem, do którego często przychodziłam, także z dziećmi, żeby po prostu pooddychać. To dżungla, ale pod totalną kontrolą. Nie ma tam owadów, a rośliny są zawsze idealne, nawet temperatura jest sprzyjająca i umiarkowana.

Z czasem moje obrazy z palmiarni stawały się coraz bardziej oderwane od tego miejsca i zaczęły opowiadać bardziej o granicach – tych między wnętrzem a zewnątrz, potrzebą kontaktu z dzikością a strachem przed nią, stresem a spokojem, obserwatorem a obserwowanym, gościem a gospodarzem i o odwracaniu ról pomiędzy tymi wszystkimi elementami. ■

Test struktury, olej na płótnie 2022



Jarosław Łukawski



Magdalena Duda jest absolwentką katowickiej ASP. Ukończyła z wyróżnieniem Wydział Grafiki i to grafika była jej podstawowym środkiem wyrazu. Jest laureatką konkursów krajowych i międzynarodowych; między innymi otrzymała Grand Prix Młodej Grafiki Polskiej w Krakowie, nagrodę regulaminową na II Międzynarodowym Biennale Grafiki w Chinach, jej prace wyróżniono na Triennale Grafiki Polskiej oraz na VI Międzynarodowym Triennale Grafiki w Japonii (czwarta nagroda). Jest uczestniczką licznych prestiżowych wystaw krajowych i zagranicznych, w tym Triennale Grafiki Polskiej w Katowicach, IV Graphic Art Biennial of Szeklerland, czy też VIII International Print Triennial Exhibition w Japonii. Magdalena Duda jest także stypendystką Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego i Urzędu Miasta w Sosnowcu. Dzisiaj pokazujemy jej nowe fascynujące prace, tym razem malarskie, które zaprezentowała niedawno na wystawie w tyskiej Gallerii „Na Wolności”.



Magdalena Duda, „Test długości fali”, olej na płótnie, 110x90, 2022



Magdalena Duda, „Wizytator”, olej na płótnie, 110x140, 2022



Magdalena Duda, Przedpołudnie, olej na płótnie, 90x120, 2021



Magdalena Duda, „Spacer”, olej na płótnie, 100x140, 2022



Magdalena Duda, „Dostrajanie częstotliwości, olej na płótnie, 90x120, 2021



Magdalena Duda, „Samokopiące drzewo”, olej na płótnie, 160x120, 2023

Kompozytor zamordowany

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



„Muzyka polska okresu międzywojennego rozwijała się bardzo bujnie; bodaj po raz pierwszy miała kontakt z najważniejszymi tendencjami nowej twórczości, ale kiedy dziś patrzymy na międzywojenny dorobek muzyki polskiej, przypominają nam się właściwie tylko dwa nazwiska, bez których jej obraz byłby niepełny: Karol Szymanowski [...] oraz Józef Koffler [...]” (cyt. za: Bogusław Schaeffer, *Kompozytorzy XX wieku*, Tom I, Kraków: Wydawnictwo Literackie 1990, s. 221).

Józef Koffler, nasz obok Karola Szymanowskiego rzeczywiście najciekawszy kompozytor międzywojennego dwudziestolecia, urodził się 28 listopada 1896 roku w Stryju. Przyszedł na świat w rodzinie kupieckiej, której jego ojciec, Hermann, zapewnił wysoce godziwe życie. Z dziada pradziada Żydzi, na co dzień posługiwali się polszczyzną. Byli patriotami, jako że w 1918 młody Józef wstąpił ochotniczo do wojska polskiego; brał udział w wojnie bolszewickiej; dostał się do niewoli, ale choć był oficerem, ocalał, co być może zawdzięczał pochodzeniu (bolszewicy częstokroć od razu zabijali polskich oficerów pochodzenia szlacheckiego oraz inteligenckiego). Wcześniej, w latach 1916–1918, służył w armii austro-węgierskiej. Jeszcze wcześniej, w roku akademickim 1914/1915 podjął studia prawnicze w Uniwersytecie Wiedeńskim, których wszak nie ukończył przeniosłszy się na muzykologię, gdzie studiował pod kierunkiem tak wybitnych i cenionych pedagogów jak m.in. Guido Adler, Karl Bühler, Wilhelm Jerusalem, Robert Lach, Rudolf Reiningger. Również w Wiedniu studiował kompozycję u bardzo zachowawczego Hermana Grädenera, zdeklarowanego „Brahmina”, ale najwidoczniej studia u epigona Brahmsa nie zaskodziły mu jako twórcy, twórcy, dodajmy, o żywej i bogatej wyobraźni, natomiast pomogły w nabyciu doskonałego tradycyjnego warsztatu kompozytorskiego. Naukę w Wiedniu dokończył już po powrocie z bolszewickiego frontu – było to lata 1920–1923. W roku 1923 uzyskał doktorat na podstawie pracy o kolorystyce orkiestrowej Feliksa Mendelssohna-Bartholdy’ego. Jesienią 1924 osiadł we Lwowie i podjął, jak się zwykle w takich przypadkach mówi, „energetyczną działalność” pedagogiczną, pisarską i kompozytorską (choć tę ostatnią głównie w miesiącach wakacyjnych; podobnie pracował Olivier Messiaen).

Poważne zainteresowania muzyczne i kompozytorskie wykazał młodziutki Józio jeszcze pod koniec pierwszej dekady XX stulecia; te pierwsze utwory zniszczył; były to najpewniej trywialne imitacje muzyki romantycznej, Chopina albo Liszta (bo tak to zwykle

bywało). Jako gimnazjalista uczył się prywatnie gry na fortepianie, harmonii i kontrapunktu, co później przyniosło wyborne rezultaty w trakcie studiów, następnie zaś w procesie komponowania. Jednak Koffler – jak jego ideał, Schönberg – był w dużej mierze samoukiem, o czym sam napisał w 1934 w tekście *Drei Begegnungen* [Trzy spotkania] powstałym z okazji sześćdziesiątych urodzin Schönberga: „Arnolda Schönberga poznałem po raz pierwszy ponad dwadzieścia dwa lata temu. W małym miasteczku Małopolski [tj. w Stryju], pozbawiony możliwości poważniejszych studiów muzycznych, pochłaniałem mnóstwo podręczników z zakresu teorii muzyki. Pewnego dnia wpadła mi w ręce *Harmonielehre* Schönberga. W rzeczywistości książkę tę kupiłem, zaintrygowany złośliwym i nieprzyjemnym jej omówieniem w jakimś czasopiśmie” (cyt. za: Maciej Gołąb, *Józef Koffler*, Kraków: Musica Iagiellonica 1995, s. 220). Łatwo tu sobie wyobrazić szesnastoletniego chłopca z zapartym tchem i rozpalonymi policzkami wgłębiającego się w – początkowo prawie niezrozumiałe – tajniki harmonii i innych aspektów świata zorganizowanego dźwięku, a dalej przekuwającego nabytą wiedzę w muzyczne utwory.

Nie komponował wiele, na dodatek niektóre partytury zaginęły w zawierusze II wojny, ale to, co znamy zdradza, jak powiedziałem, niebanalną wyobraźnię, wielki talent, techniczną wirtuozerię i organiczny zmysł formalny. Koffler niejednokrotnie określa się jako twórca ważnego dla muzyki polskiej, bowiem był naszym pierwszym dodekafonistą. Jest to stanowisko niewłaściwe i krzywdzące – tak, był Koffler pierwszym polskim kompozytorem, który przejął schönbergowską technikę, by użyć ówczesnego terminu, „dwunastopółtonową”, ale przy tym wszystkim był po prostu wybitnym muzykiem, świadomym swych celów – i swojej wartości. Jego najudatnione prace reprezentują najwyższy poziom europejskiej sztuki kompozytorskiej międzywojnia. Należy tutaj wymienić w ogóle pierwszy dwunastodźwiękowy utwór reprezentujący gatunek koncertu na fortepian z orkiestrą – trzyczęściowy *Koncert fortepianowy* op. 13 (1932), który wraz z koncertami Chopina uważam za najlepsze polskie dzieło w tym gatunku; Koffler nawiązuje zresztą w tej kompozycji do wzorca formalnego II koncertu naszego romantycznego mistrza. Inne tytuły zasługujące na miano klasyków to niewątpliwie wybitne lub wręcz fantastyczne *Trio smyczkowe* op. 10 (1928), utwór przepiękny, w polskiej muzyce nie mający sobie równych; *II Symfonia* na małą orkiestrę op. 17 (1933) oraz *III Symfonia* na zespół instrumentów dętych i perkusję op. 21 (1935) – są to dzieła mistrzowskie,

skoncentrowane formalnie i narratywnie oraz emocjonalnie skondensowane, które wypełnia zajmująca muzyka o szlachetnej, bezpretensjonalnej elegancji; *15 variations d'après une suite de douze tons* op. 9 na fortepian i op. 9a w wersji na orkiestrę smyczkową (1927/1931); kantata *Die Liebe* [Miłość] na sopran, klarnet, altówkę i wiolonczelę op. 14 do tekstu św. Pawła (1931). Ciekawą propozycją multimedialną jest balet-oratorium *Alles durch M.O.W. (Institut Korespondencji Codziennej)* na sopran, baryton, chór, orkiestrę, tancerzy i projekcję filmową op. 15 (1932).

Kofflerowska dodekafonia to technika nieskrępowana, niekonwencjonalna, nieograniczona w sferze eksploatacji oraz eksploracji muzyki – tej istniejącej i tej jeszcze nieodkrytej. Jak stwierdził Bogusław Schaeffer (op. cit.): „Dodekafonia nie przeszkadzała mu ani w realizacji zamysłów neostylistycznych [ogólnie rzecz biorąc, muzykę Kofflera zaliczyć możemy do nurtu neoklasycznego], ani w impresjonistycznym zestawianiu dźwięków [co słychać szczególnie w utworach fortepianowych], ani w motorycznym – tak modnym w okresie międzywojennym – kształtowaniu ruchu [np. w *Triu smyczkowym*], właściwie – w niczym”. To prawda. Kofflerowska dodekafonia była elastyczna, absolutnie kompozytora nie ograniczała, co więcej umożliwiała mu konstruowanie muzyki niemożliwej do skonstruowania na innej drodze – Koffler ciągle uczył się od materiału i w rezultacie tworzył dzieła, które i dziś uderzają świeżością i oryginalnością.

W Polsce za życia niedoceniany, często traktowany z protekcjonalnym lekceważeniem, uznanie zdobywał stopniowo z granicą. Przyszła II wojna. Trafił do getta w Wieliczce, potem się ukrywał. Nic prawie nie wiadomo o jego ostatnich dniach. Przypuszczalnie na początku 1944 roku Niemcy zamordowali jego, jego żonę Różę i kilkuletniego synka Alana.

I. Limeryki

Bytomir z Bytomia na serio zbyt
Zapraǳał kiedyś zgłębić byt.
Czytał masami,
Dniami, nocami.
Skutek? Doświadczył, jak boli odbyć.

Limeryk prawie po śląsku przez gorola zrychtowany

Hajer na zaksach w mieście Rouen
Pado: Mom w rzici tako ruła.
Z dwiema dziurami, gnido,
Nikaj mi się nie przidosz.
A zwoł się hajer tak: Niezguła.

Nad rzeką Pinios, historia rzewna,
Przemienia się w drzewo Dafne zwiewna.
Apollo się wzrusza,
Pyta Owidiusza:
Na pewno wszystko będzie już z drewna?

Patrzcie, śmiertelni! Bogom na przekór Syzyf z Efury
Wytoczył wreszcie diabelski kamień na szczyt pod chmury!
Cóż ma teraz robić?
Próżno się głowić.
Zrzucił głaz, zszedł na dół. Jął go toczyć ponownie do góry.

Po obolu bierze Charon u brzegów Acheronu,
A majątek uskładany od miliona zgonów
Odkłada na lokacie, by, pełen inwencji,
Gdy przyjdzie kiedyś pora, to u konkurencji
Zamówić pogrzeb na Olimpie z biciem wielkim dzwonów.

Juliusz Cezar z Rzymu swej żonie
W dobrze pomyślanej odsłonie
Swych kochanek nagości
Wśród zaciekawionych gości
Rzekł: kości zostały rzucone.

Ecce homo: Friedrich Nietzsche z Saksonii.
Od trzech lat nawet muchy z czoła nie zgoni.
Przewartościowane wartości,
Wola mocy – bez świadomości.
Postrzeże kiedyś na oknie kwiaty pelargonii?

II. Polimeryki

Mąż Zosi – Tadek ze Soplicowa,
Gdy widzi żonę, wzrok ciągle chowa,
Bo Telimenie –
I to ma w cenie –
Bardzo podoba się ich alkowa.

Oplem jadą Jagienka i Zbigniew z Bogdańca.
Chcą zwiedzić sławne Szczytno leżące na krańcach
Ziem krzyżackich, choć jest dylemat –
Stoi gród, lecz Krzyżaków nie ma!
Wnuk z tyłu na smartfonie walczy z nimi na szańcach.

Kazik w Rzymie, niech się Bóg nie gniewa,
Przed ołtarzem z Tereską, co miewa-
ła ekstaz kilka,
Rzekł, gdy minęła chwilka:
Lubię, kiedy kobieta omdlewa.

Mochnacki z nieśmiałością siadł przy klawikordzie,
Nie myśląc, że grał będzie w aż takim komforcie.
Wtedy gdy kirasjer z kąta
Sztajera tony płata,
Mochnacki wstał i podszedł, i dzielił po mordzie.

Cyprian Norwid, przytułek – rue de Chevrelet.
Ciało jego pod kocem mocno się telepie.
Naciąga więc koc po uszy,
Ustami ledwo poruszy:
Kiedy umrę, to proszę, przykryjcie mnie lepiej.

Wzdycha madonna z Otwocka: Józek,
Popatrz, jak kręci się piękny karuzel!
Konie! I bryka!
I magnifikat!
Józek! Chcę przeżyć to jako user!

Miał Wojacek we Wrocławiu pogrzeb
Nietypowy. Nie znasz faktów? Odgrzeb
Wieść – wyobraź sobie! –
O za małym grobie,
Albo w książce Szczawińskiego pogrzeb.



Sztorm

Dziwny sztorm wita na horyzoncie
Zerka na mnie i wywołuje niepokój
Powietrze pachnie elektrycznością
Każda rzecz
W zasięgu wzroku wzmacnia napięcie
Sztorm się zbliża!
Wszystkie komórki mojego ciała
Krzyczą
Wariują
Czują
Że morska burza za chwilę uderzy
Pioruny będą trzaskać
Wszystko na swojej drodze
A ja muszę się zamknąć i ukryć
Bo wtedy nawałnica
Nie dosięgnie nikogo
Kogo kocham.

Piasek w oczu

Jestem na dole klepsydry,
Każde ziarenko mnie przygniata,
Czuję, jak powoli się duszę,
Zatracam się w czasie,
Przytłacza mnie każda najmniejsza akcja,
Oczy mnie pieką,
Każda łza próbuje pomóc,
Nie wiem co robić,
Szkło jest za grube żeby się przebić,
Nie mogę się wydostać.
Smutne jest to, że dla innych ludzi,
Jestem ziarnkiem piasku w ich klepsydrze

Nie jesteś moim powietrzem

Myślałem ostatnio do czego mogę Cię porównać.
Na pewno nie do powietrza.
Nie potrzebuję Cię przez chwilę póki mi coś dajesz,
po czym wypuszczam i zapominam o tym, że istniejesz.
Chociaż to naturalne, że mam Cię obok,
To wciąż myślę o Twoim istnieniu.
Nie zapominam o Tobie.
Bez powietrza moja twarz staje się czerwona,
A bez Ciebie jestem śniady.
Nie potrzebuję Cię do życia jak powietrza,
Ale bez Ciebie to życie jest niczym.
Kiedy w pokoju tlen jest moim jedynym towarzyszem,
To nie czuję żebym żył.
Z Tobą nawet trwanie każdej sekundy to celebracja.
Z wiatrem nie porozmawiam
Z wiatrem nie będę się śmiać
Z wiatrem nie będę się kochać
Z wiatrem nie będę szczęśliwy
A z Tobą jestem.
Nie jesteś potrzebą,
Lecz tym co nadaje sens
Temu, że oddycham.



William Burn to mój pseudonim, którym przedstawiam się na co dzień. Nie jest to moje prawdziwe imię, jednak używam go, jakby było moje od zawsze. Studiuję filologię polską, a w wolnym czasie zanurzam się w moje pasje, między innymi takie jak poezja. Byłem uczestnikiem kilku festiwali poezji organizowanych na terenie Bielska-Białej i Czechowicz-Dziedzic, z których pochodzę. Najważniejsza w poezji jest szczerość i intymność. Poezja to mały fragment świata twórcy i przedstawienie go swoimi słowami czyni poezję poezją.

Ta opowieść ma swój początek w środku drugiej połowy XX wieku, a zaczyna się w średniej wielkości mieście na Górnym Śląsku. To mógł być Nowy Bytom, Łaziska, Chorzów Stary albo Mikołów, albo jeszcze inne miasto, gdzie jeszcze stały dość liczne familoki a też już stanęły powojenne nowe bloki pobudowane przez miejscowe zakłady przemysłowe. To działo się w ... nie powiem, by nie identyfikować postaci.

Trzy dwupiętrowe domy, hucznie zwane blokami zakładowymi firmy *Górnimetal**, ustawione były jak litera U, a między nimi był nasz plac. Na jego końcu zaś porządna, metalowa *klopszta*nga. Dopiero w dorosłości złapałem, że ta nasza bramka do gry w *bala na małe budki*, nazywa się trzepak. Wówczas nikt już na niej dywanów nie trzepał, wszyscy mieli odkurzacze. A jedynie u starej Michaliczki zachował się *kloper* i gdy napadało zimą sporo śniegu, Michaliczka prosiła nas, by jej pomóc wyklepać tym kloperem jej tepich na śniegu.

Gdy nie graliśmy w piłkę, to zbieraliśmy się przy klopsztańdze i zawsze mieliśmy o czymś do pogadania. A gdy na którejś z ławek przed domami chichotały dziewczyny z naszego podwórka, to robiliśmy za atletów, podciągając się na poprzecznym drążku trzepaka, a nawet zwisając głową w dół, huśtaliśmy się jak gałęzie na wietrze. Między trzepakiem a resztą podwórka rosły dość wysokie krzaki, być może posadzone przed laty jako zasłona przed wytrępywanym kurzem? Dla nas były zasłoną przed rodzicami. Było na naszym placu trzech Marków, ale tylko jednego nazywaliśmy Markus. Tak to imię do niego przylgnęło, że nawet ojciec, wzywając go zwykle o zmierzchu do domu, donośnie wołał:

Markus, do dom! Zza krzaków widzieliśmy jego postawną sylwetkę i wyciągniętą dłoń z wyprostowanym wskazującym palcem, jakby tym palcem chciał dokładnie wskazać, że to jego Marka – Markusa woła. Markus bez ociągania opuszczał nasze towarzystwo.

Te wyczynowe harce przy klopsztańdze Markus traktował poważnie jako zaprawę sportową. Tuż po podstawówce zapisał się do klubu do pobliskiej jednostki wojskowej. Tam trenował różne sporty walki, judo, karate, zapasy, taekwondo, zdaje się, że nawet kick boxing. Był w tym dobry, jako siedemnastolatek został mistrzem kraju juniorów. Wprawdzie często opuszczał lekcje, bo albo treningi, albo zgrupowania, albo zawody, ale zawsze był usprawiedliwiany. Może nauczyciele radzi byli, że w jakimś tam stopniu rozsławi nasze technikum? Przy tym był dobrym uczniem. Po maturze nasze drogi się rozeszły.

Spotkaliśmy się po kilku latach. Markus kończył AWF w Katowicach o specjalności rehabilitacja niemowląt. Tu też był prymusem. Praktykował w Górnośląskim Centrum medycyny i Rehabilitacji. Do zilustrowania treści pracy magisterskiej potrzebował kilkunastu zdjęć. Byłem już w tym czasie zaawansowanym fotografem, Markus wiedział skądś o moich wystawach fotograficznych, współpracowałem jako wolny fotoreporter z prasą śląską i lokalną TV i to było dla niego wystarczającą rekomendacją, że właśnie mnie poprosił o tę dokumentację. Foty porobiłem i w rzeczy samej o sprawie więcej nie pamiętałem.

Nasze drogi znów się rozeszły. Słyszałem, że się ożenił, że mają syna i że chyba opuścił Polskę.

Spotkaliśmy się po latach w Niemczech. Nie przypominam sobie dokładnie jak, ale bodaj poprzez internetową „Naszą Klasę” od-

naleźliśmy się ponownie. Markus mieszkał w okolicy Jeziora Bodeńskiego. Umówiliśmy się telefonicznie. W naszej urlopowej drodze do Szwajcarii, na jego zaproszenie, po drodze wstąpiliśmy; dwa dni byliśmy ponownie razem. Rozmowy, jakby upływ czasu nie nastąpił, były znów takie kumpelskie, swojskie, jak przed laty za żywopłotem na placu przy klopsztańdze.

Markus opowiadał. Miał otwarty przewód doktorski, gdy urodził się im Robert. On, zaangażowany terapeuta dziecięcy szybko się zorientował, że syn ma wadę wrodzoną. Rzadki przypadek porażenia mózgowego. Po kilku tygodniach już wiedział, że w PRL-owskiej rzeczywistości dla dzieciaka ratunku nie ma. Najbliżej



rys. Bogna Skwara

i najłatwiej było przenieść się do Niemiec. W tamtych latach nie było jeszcze emigranckiego tłoku. Na własne życzenie osiedlili się rodzinnie w niewielkiej miejscowości na południu. Tam byli pierwszymi przybyszami z Polski. To miało swoje dobre strony. Miejscowi, dowiedziawszy się o nowych mieszkańcach, pośpieszyli z pomocą. Po kilku dniach mieli mieszkanie urządzone, od mebli po pierzynę i całe wyposażenie kuchni.

Jeszcze podczas kursu językowego Markus zaczął oglądać się za pracą. W niewielkiej odległości znajdował się duży szpitalny ośrodek rehabilitacyjny. Sekretarka umówiła go na spotkanie z profesorem, dyrektorem tegoż ośrodka. Czym mógłby się zaprezentować świeży absolwent śląskiej uczelni, jakim dorobkiem? Markus zabrał ze sobą pracę magisterską, której rozbudowany podtytuł brzmiał „Eksperymentalne metody rehabilitacji wcześniaków wg profesora Montergaubena w praktyce śląskiego centrum rehabilitacji”. Jakżeż duże było zaskoczenie Markusa, gdy w umówionym dniu z fotela w sekretariacie poderwał go głos sekretarki: *Profesor Montergauben czeka na pana*. Banalnie dokończę ten epizod. Markus oczywiście został przyjęty; pracował w tym ośrodku kilkanaście lat.

Nie odstawił sportu. Od pierwszych dni zamieszkania w nowym miejscu, trenował w pobliskiej hali szkolnej, do czasu... gdy wybrali się z żoną w pogodną niedzielę do centrum miasta na doroczny jarmark. Na podwyższonym podium reklamował się atleta. Temu, kto go położy na deskach, należy się nagroda 500 marek. Podchodzili różni amatorzy i zwykle różnie prędko pokonani schodzili z jarmarcznej areny. Markus wyczekał kilku zawodników, zakładając, że jakim byłby, nie byłby ten siłacz przeciwnikiem, to jednak każda walka trochę go zmęczy. Gdy już nie było kandydatów do wejścia na ring, podszedł Markus. Tamten zawodnik sporej wagi a na przeciw niego szczupły, ale umięśniony przybysz znikąd. Objazdowy atleta nie był przygotowany na kilka błyskawicznych ruchów Markusa. Zmagania nie trwały długo. To były pierwsze 500 DM Markusa zarobione po przeprowadzce do Niemiec. On sam był zaskoczony błyskawicznym sukcesem.

Jeszcze bardziej zaskoczyło go spotkanie z dwoma nieznanymi mężczyznami, którzy podeszli do stolika, przy którym z żoną, po takim niespodziewanym zdarzeniu smakowali lody.

– Chcielibyśmy z panem porozmawiać. Tylko z panem.

– To jest moja żona, nie mamy tajemnic.

Nalegali, a gdy nie udało się, odchodząc, rzucili spokojnie.

– Znajdziemy pana, wtedy porozmawiamy w spokoju.

Faktycznie nazajutrz Markus dostał zaproszenie do pobliskiej jednostki wojskowej w Müllheim, do stacjonującej tam międzynarodowej francusko-niemieckiej brygady, a dokładnie do oddziału komandosów. Skracam opowieść; po rozmowie i treningu z plutonem żołnierzy, dostał angaż na trenera walk bezpośrednich w mieście. Markus pokazał mi film z jednego z takich treningów. On stoi w pozycji do zaczepki, żołnierz podbiega z zamiarem uderzenia i chwilę po tym, po niewielkim ruchu Markusa atakujący komandos ląduje na macie poza nim. Kolejny żołnierz tak samo. I tak cały pluton, jeden po drugim. Przyjaciół wyklarował mi metodę. Nie należy do walki ruszać z całą energią, a jedynie umiętym chwytem wykorzystać ener-

gię napastnika. Tego uczył Markus francuskich żołnierzy na niemieckiej ziemi, niezależnie od zawodowych zajęć w centrum rehabilitacji.

Mijały lata. Markus rehabilitował obcych małych pacjentów i nieustannie zajmował się synem, który rósł, ale ani nie chodził, ani nie mówił, nie był samodzielny dzieckiem. I wiadomo było, że na poprawę liczyć nie można. Pewnej niedzieli, gdy Robert miał już siedem lat, Markus poszedł na mszę do innego niż zazwyczaj kościoła. Z boku prezbiterium na podwyższeniu stała rzeźba, może Chrystusa, może znacznieszego apostoła? Postać w szatach do ziemi, wyprostowana, z uniesioną ręką i wskazującym palcem w kierunku Markusa. Ta uniesiona ręka, ten wskazujący palec. Taki sam jak przed laty u ojca. Im dłużej patrzył, tym coraz intensywniej słyszał wewnętrzny głos: *Markus do domu!*

Wyszedł ze świątyni. W natłoku myśli powoli wracał do domu. Gdy otworzył drzwi, z przedpokoju ruszył ku niemu syn Robert. Po raz pierwszy w pozycji stojącej, na swoich własnych dwóch nogach podszedł do ojca.

Markus dosyć często, dwa– trzy razy w roku odwiedza Polskę. W jego śląskim mateczniku żyje jeszcze matka, mieszkają niedaleko siostry z rodzinami. Są dumni z brata. W pracy Markus osiągnął nie tylko sławę uzdolnionego terapeuty niemowląt. Miał kilka tematycznych publikacji, bywa zapraszany na wykłady w różnych europejskich ośrodkach medycyny niemowląt. Po kilkunastu latach pracy w klinicznym centrum rehabilitacyjnym, namawiany wielokrotnie przez kolegę z branży, odszedł. Razem założyli prywatny, połączony z salą gimnastyczną i wyposażony w wiele nowoczesnych przyrządów treningowych ośrodek rehabilitacji ruchowej dla małych dzieci. Nie zaniedbał sportu. Kilka razy w roku uczestniczył w różnych turniejach w kraju i za granicą. Na mistrzostwach świata seniorów w Japonii zajął czwarte miejsce. Na landowych zawodach w Niemczech zazwyczaj staje na podium, nierzadko na najwyższym stopniu.

Nadal opiekuje się niepełnosprawnym, dorosłym synem. Dopóki życia starczy...

*) Nazwy i nazwiska zostały zmienione.

rys. Bogna Skwara



Fotografie pocztówkowe – pamiątki wielkiej wojny

TADEUSZ LOSTER

W 1897 roku firma Eastman Kodak Co. wprowadziła do sprzedaży mały aparat „kieszonkowy”, zaopatrzonego w celuloidową błonę zwojową, zabezpieczoną przed przypadkowym naswietleniem. Tego typu cudo techniki mógł samodzielnie obsłużyć użytkownik amator. Rozwój fotografii amatorskiej przypadł na okres przed pierwszą wojną światową (zwaną wielką wojną).



Reklama aparatów fotograficznych przeznaczonych dla żołnierzy

Metoda rejestrowania wydarzeń wojennych i związany z tym rozwój prasy ilustrowanej spowodował rozkwit fotografii reporterskiej. Fotografia frontowa, czy ściślej fotografia uwieczniająca wydarzenia wielkiej wojny, była modna również wśród żołnierzy i stanowiła szcze-

gólne pamiątki – dokumenty tamtych wydarzeń. Firmy wytwarzające aparaty fotograficzne reklamowały przeznaczone dla żołnierzy, uproszczonej budowy aparaty, które bez specjalnej znajomości techniki fotografowania potrafiły wykonać niezłej jakości zdjęcie. Tego typu zdjęcia, z czasem odbijane w formacie pocztówkowym, wysyłane były do rodziny jako frontowe przesyłki. Największa ilość takich fotograficznych pamiątek zachowała się na terenach ówczesnych Niemiec, a tym samym na Śląsku.

Wraz z wybuchem wojny zorganizowana została tzw. poczta polowa. Tego typu instytucje posiadały wszystkie armie. Była to pocztowa formacja wojskowa, przeznaczona do obsługi korespondencji żołnierskiej. Przesyłki wysyłane pocztą polową były bezpłatne, dlatego ilość ich była ograniczona. Były to przeważnie kartki o ujednoliconym formacie, zezwalającym żołnierzowi wysłać krótką (ocenzurowaną) wiadomość do najbliższych.

Mimo przyjętych reguł, poczty polowe tolerowały wysyłanie przez żołnierzy pocztówek w formie fotografii. Przesyłki te były opieczetowane pieczęcią formacji wojskowej oraz stemplem poczty



Awers i rewers fotografii pocztówkowej. Żołnierze 232 pp I bat. 9 komp. na linii frontu, 17.05.1917

polowej, co dokumentowało datę wykonania zdjęcia.

Jeżeli zdjęcie – pocztówka wysyłane było przez pocztę cywilną, znaczki kasowano stemplem – miejscownikiem, który dokumentował dodatkowo okolicę. Przekazywane w tego typu przesyłkach wiadomości oznaczone były podpisem wysyłającego, a niekiedy opisem miejsc i sfotografowanych osób. Adresy odbiorców stanowią niepodważalny dokument wskazujący pochodzenie lub miejsce zamieszkania osób najbliższych nadawcy.

Co przedstawiały te zdjęcia? Większość to zdjęcia grupowe, robione razem z towarzyszami broni „ku pamięci”. Najliczniejszą grupę stanowią zdjęcia ze szpitali wojskowych, pokazujące



Żołnierze 23 pp we Wrocławiu przed wymarszem na front, 31 grudnia 1914



Kompania wartownicza 124 pp Francja, okolice Valenciennes maj 1918 r.



Ozdrowieńcy w garnizonowym szpitalu w Memel, 11.12.1915 r.

ozdrowieńców w okresie rehabilitacji. Mało jest fotografii frontowych. Mimo różnego poziomu piszących mają one jeden cel: udokumentować, że piszący żyje, tęskni i pamięta o bliskich.

Oglądając te zdjęcia, można się domyślić, w jakim okresie wojny były robione. Te z początku wojny prezentują „zdyscyplinowane” wojsko, oczekujące frontowych sukcesów, a te z końca ukazują żołnierzy obojętnych, zmęczonych wojną o rozluźnionej dyscyplinie.

Inny charakter mają zdjęcia-pocztówki, wykonywane w pracowniach, czyli salonach fotograficznych. Przedstawiają one żołnierzy w odświeżonych mundurach w ułożonych przez fotografów pozach na tle malowanych ekranów. Wykonane na tekturkach przekazywane były do najbliższych w kopercie. Jeżeli taka pamiątkowa fotografia była ostatnią przed śmiercią żołnierza stawała się dla najbliższych świętością.

Fotografie – wykonywane indywidualnie przez żołnierzy oraz w pracowniach



Kanonier Wiktor Żurek z Rybnika na wojnie, 1918 r.

fotograficznych – należą obecnie do unikalnych zabytków. Były one wykonywane jednostkowo lub w kilku egzemplarzach, zachowały się nieliczne. Można je spotkać na targach staroci, sprzedawane po niewygórowanych cenach. Przypusz-



Rok 1914 początek wojny, fotografia tekturkowa. Żołnierz ochotnik na tle ekranu z rysunkiem okopów. Zdjęcie wykonane w pracowni Karola Hertena w Stuttgarcie (na odwrocie informacja: zakład fotograficzny w pobliżu koszar).

cznie dla potomnych są dawną, zapomnianą historią, zatartą w rodzinnych wspomnieniach po ponad stu latach.

Obecnie spotyka się najwięcej fotografii-pocztówek, wykonanych przez żołnierzy służących w armii niemieckiej lub austriackiej. Do rzadkości należą te sporządzone przez żołnierzy legionistów polskich, a prawie niespotykane są fotografie wykonane przez żołnierzy służących w armii rosyjskiej. Pierwsza wojna światowa odchodzi w niepamięć. Pozostały po niej fotografie pocztówkowe – niepodważalni świadkowie wielkiej wojny. ■

Czytając Konfucjusza

MARIAN KISIEL

Prawo i bezprawie

Konfucjusz mówi: „W kraju, w którym panuje porządek, bądź śmiały w czynach i mowie. W kraju, w którym nie ma porządku, bądź śmiały w czynach, lecz powściągnij mowę”.

Jest państwo prawa i państwo bezprawia.

Pierwszym kieruje, wsłuchany w głos swojego narodu, mądry przywódca, który nie obawia się, że jakkolwiek, nawet najbardziej nikczemny i zuchwały czyn jednostki naruszy ustalone fundamenty państwa, wywróci porządek życia społecznego, podda w wątpliwość jego organizację prawną. Mądry przywódca wie, że siłą państwa jest odwaga jego obywateli, ich śmiałość czyni i szczerość krytyki. Niezgoda na istniejące prawo, wypowiedziana jawnie i bez intencji niszczenia państwa, sprzyja państwu, a jednocześnie daje obywatelowi poczucie bezpieczeństwa i przydatności. Śmiałe czyny służą poprawie państwa, a śmiałość mowy otwarta jest również na krytykę mowy, prowadzącą do wypracowania wspólnej idei, która uwzględni prawa jednych i oczekiwania drugich. Na tym opiera się porządek, który zna wartość odwagi i kompromisu.

Drugim państwem kieruje przywódca autorytarny, niesłuchający głosu swojego narodu, podejrzewający nikczemność i zuchwałość obywateli, kontrolujący wszelkie przejawy życia społecznego i regulujący je przy pomocy wielu, niejednokrotnie z sobą sprzecznych, dekrétów. W państwie skrępowanym przez system nakazów i zakazów, regulowanym przez jego nadzorców, obywatele powściągają mowę, a jeśli nie milczą, to nie okazują jawnie swoich poglądów. Przywódca, który sam siebie zakuł w kajdany edyktów, nie jest pewien, czy obywatele jego państwa są uczciwi, sprzyjają rozwojowi, czy zgubie państwa. Podejrzewa to drugie, albowiem sam nie jest wobec swoich obywateli uczciwy. Powściągając mowę, nieujawniający się z krytyką porządku społecznego, są jednakże mocni śmiałością czynów, które w jakimś momencie zawsze ujawniają się w kraju, w którym nie ma porządku.

Bieda i bogactwo

Konfucjusz mówi: „W kraju dobrze rządzonej wstydzą się bieda. A w kraju rządzonej źle wstydzą się bogactwa”.

Tam, gdzie miał być porządek, jest nieład. Tam, gdzie jest nieład, ujawnia się chaos porządku. Kto jest winny? Ten, który dopuszcza do nieładu, czy ten, któremu

nieład nie przeszkadza? Konfucjusz mówi: bieda jest wstydem dla rządzących dobrze, zaprzecza ich usilnym dążeniom, by każdy czuł się szczęśliwy i otoczony opieką. Ale przecież nie rządzący się tym przejmują. To biedak postrzega swoją nicość na tle wykwintnego życia innych i ich wspaniałych posiadłości. Czymże jest jego marna egzystencja w marnej chacie?

A w państwie rządzonej źle: tam bogactwo razi oczy, a bieda piszczy na każdym kroku. Kto wstydzi się bogactwa? Przecież nie ci, którzy są jego posiadaczami. Wstydzą się bogactwa biedni. Obecność w cieniu bogactwa odbiera im godność.

W jednym i drugim wypadku Konfucjusz mówi z perspektywy biednego.

Nienawiść

Konfucjusz mówi: „Jeżeli nienawidzisz, wiedz, że cię zwyciężono”.

Nienawidząc, okazujemy słabość. Nienawiść nie jest uzewnętrznieniem siły, ale okazywaniem rozpacz, że siła nas opuściła i nie możemy osiągnąć tego, do czego dążyliśmy. Nienawiść jest stanem bezradności, ponieważ nasz czyn, który miał prowadzić do zwycięstwa, zostaje zastąpiony przez emocję, która nie ma w sobie żadnej mocy, poza tą tylko, która niszczy nas od wewnątrz.

Emocja nienawiści jest ogniem trawiącym, siłą niszczącą, nie dotyka przeciwnika, ale nas samych. Gdy zostaliśmy zwyciężeni, pozostała nam tylko nienawiść, kroczenie czarną drogą, u której celu nie widać światła.

Piękno

Konfucjusz mówi: „Piękno jest we wszystkim, lecz nie każdemu dane jest je zobaczyć”.

Świat, który nas otacza, owo *wszystko*, do którego mamy dostęp i do którego dostępu nie mamy, opiera się na fundamencie piękna.

Spójrz na drogę: misternie wiję się, ciągnie szlakiem prostym, nieoczekiwanie zawraca, biegnie pod górę, to znów opada w dolinę. Dostrzegłszy piękno drogi, zrozumiesz zamysł jej konstruktora, który swoim palcem wyżyłobił na karcie świata tę linię prowadzącą gdzieś, nie wiadomo dokąd, lecz dzięki której każdy odnajduje drogę do domu, powraca nią i odchodzi.

Ileż piękna jest w tej drodze, tak lekceważąco przez niektórych traktowanej, tak obojętnie przyjmowanej, jakby nic nie znała w tym świecie.

A teraz spójrz na tego, który w upale i deszczu, znojn timer, opróżnia pojemniki ze śmieciami, zamiata drogę, dba o to, byś nie musiał wdychać przykrych zapachów, nie brudził obuwia na drodze, na której walają się resztki tego, co przeznaczone na gnicie, rozsypkę i odór. Dostrzegłszy tego, który oczyszcza miasto z resztek, jakie ty pozostawiasz bez umiaru, zrozumiesz, że ktoś za ciebie wykonuje czynność, tak przez ciebie pogardzaną, a bez której twój świat zamieniłby się w śmietnik.

Ileż piękna jest w tej pozbawionej wdzięczności pracy, tak lekceważąco przez niektórych traktowanej, tak obojętnie przyjmowanej, jakby nic nie znała w tym świecie.

O tym mówi Konfucjusz: o pięknie *wszystkiego* i o tym, że nie chcemy tego dostrzec, ponieważ bezustannie poszukujemy czegoś wyjątkowego. Wyjątkowość jest mirażem, zaćmą, zakrywającą nasze oczy, a piękno jest w codzienności, *we wszystkim*, co nas otacza.

Miłość

Konfucjusz mówi: „Szczęście jest wtedy, kiedy cię rozumieją, wielkie szczęście, kiedy cię kochają, prawdziwe szczęście, kiedy kochasz ty”.

Są trzy rodzaje szczęścia. Każde jest sobie równie, ponieważ jest dobrem, które nas dotyka.

Kiedy jesteśmy rozumiani, świat jawi się jako ciąg znaków prostych. Każde słowo, które wypowiadamy, trafia do serc i umysłów innych, wywiązuje się jakaś osmoza między nami, a innymi ludźmi. Porozumienie z poziomem języka przechodzi na poziom rozumienia, czyli pełnej akceptacji świata i zjawisk jakie w nim następują. To jedna odsłona szczęścia.

Inna to ta, kiedy jesteśmy kochani. Wszystko wtedy jest łatwiejsze do przyjęcia, nawet ból, z jakim przychodzi nam się niejednokrotnie spotykać. A może właśnie wtedy, gdy nadciągają jakieś czarne chmury, gdy rozpacz przesłania nam zdolność do trafnej oceny rzeczy, miłość innych pozwala przełamać bariery, oddalić depresję, przywrócić nas życiu, w którym mamy swoje miejsce i odnajdujemy jego sens.

Trzecia odmiana szczęścia jest bezwarunkowa. Jest szczęściem prawdziwym, kiedy ty kochasz pomimo wszystko i bez jakichkolwiek uprzednich wymagań. Oto potęga dobra, o jakim pisali również inni – Wergiliusz w *Bukolikach*, św. Paweł w *Pierwszym Liście do Koryntian*.

WALDEMAR JAMA



Leo Linke
Berlin S.W. 15
Gartenstr. 11
Telefon Nr. 2153

RESTART

Fotografia

29/10/24 – 09/02/25

MUZEUM HISTORII KATOWIC ul. ks. J. Szafranka 9



Patronat Honorowy
Prezydenta Miasta Katowice
Marcina Krupy





WYSTAWA

26 X 2024 — 2 III 2025

Katowice → MUZEUM ŚLĄSKIE

organizator



sponsor wystawy



partnerzy



patronat honorowy



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Funded by
the European Union